



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Ziemia Cieszyńska</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p>185</p>	<p>Ilość skanów</p> <p>193</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p>193</p>
<p>Autor</p> <p>Gustaw Morcinek</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p>Wydawnictwo „Śląsk”</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p>Katowice</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p>1968</p>	
<p>Sygnatura</p> <p>---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>Album</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>19,2 x 24,2 cm</p>	<p>Stan zachowania</p> <p>---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>Średniowiecze, XVII wiek, XVIII wiek, XIX wiek, XX wiek, II wojna światowa, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jan Luksemburski, Jan III Sobieski, Marcin Luter, Jan Stanisław Bystrzeński, Napoleon Bonaparte, Paweł Stalmach, Leopold Szersznik, Paweł Oszelda, Ludwik Sułkowski, Ignacy Świerzy, Jan Sikora, Jan Michejda, Joachim Kleinberg, Franciszek Halfar, Jan Sztwiertnia, Theodor Haase, Jan Wantuła, Antoni Osuchowski, Jan Kubisz, Tadeusz Reger, św. Jonasz, Czarna Księżna, Elżbieta Lukrecja, Józef Koźdoń, Mikołaj Brodecki, Kazimierz II Cieszyński, Hanusz Pentat, Władysław II Jagiellończyk, Kazimierz III Cieszyński, Wacław Adam, Fryderyk Kazimierz, Karol Promnic, Adam Schaffgotsch, Jan Summegh, Henryk Solms, Fryderyk Haugwitz, August II Mocny, Aleksander Sułkowski, Klimczok, Ondraszek, Juroszek, Jan Maenhardt, Gerhart Hauptmann, Józef Bożek, Karol Hławiczka, Andrzej Podzorski, Andrzej Cienciala, Józef Londzin, Bolesław Lubosz, Franciszek Zawada, Józef Łabudek, Józef Glajc, Michał Gomola, Cieszyn, Skoczów, Ustroń, Czeski Cieszyn, Strumień, Stanisław Hadyna, Frysztat, Bielsko, Bielsko – Biała, Brenna, Istebna, Koników,</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>Ziemia Cieszyńska, Śląsk Cieszyński, cieszyńska, Piastowie Śląscy, chłop, rolnictwo, pańszczyzna, Biblia, leśne kościoły, głód, Czytelnia Ludowa, „Tygodnik Cieszyński”, Macierz Szkolna Księżstwa Cieszyńskiego, „Nowy Czas”, „Silesia”, „Ślązak”, Towarzystwo Ewangelickie Oświaty Ludowej, „Przyjaciel Ludy”, „Przegląd Polityczny”, „Gwiazdka Cieszyńska”, „Głos Ludu Śląskiego”, „Robotnik Śląski”, kopalnie węgla kamiennego, Zagłębie Karwińsko – Ostrawskie, Polska Partia Socjalno – Demokratyczna, Unia Horników, piwo, piwowarstwo, mieszczanstwo, burgrabia, handel, pożary, reformacja, kontrreformacja, rzeka Wisła, Piekietko, Bładnica, Wojny Napoleońskie, Kuźnia Ustroń, przemysł, hutnictwo, Wiosna Ludów, Zabiniac, Komora Cieszyńska, edukacja, szkolnictwo, młodzież, polski ruch narodowy, germanizacja, Śląska Partia Ludowa, ślązakowcy, renegaci, Nordmark, plebiscyt, Zaolzie, Polonia, bohemizacja, kultura ludowa, folklor, utopiec, Żabi Kraj, rzemysł sukieniczy, sukienictwo, włókiennictwo, przemysł włókienniczy, tkactwo, Cygański Las, lenno, prawo milowe, rzemiosło, zbójnictwo, Beskidy, Beskid Śląski, „Tkacze”, socjalizm, niemiecki nacjonalizm, Szyndzielnia, etnografia, etnologia, obyczaje ludowe, obrzędy ludowe, Olza, trówa, koronkarstwo, trombita, Ochodzita, gajda, Boże Narodzenie, turystyka, szlaki górskie, schroniska górskie, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, Gesangverein, Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, komunizm, Polska Partia Robotnicza, Gwardia Ludowa, Barania Góra, Armia Ludowa, okupacja hitlerowska, okupacja niemiecka, zbójstwo wojenne, Komuna Bezpańców, Wąwóz, Nardowa, Siki, Złozina, Tęcza, Pałki</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

Miejska Biblioteka
Publiczna w Ustroniu



94(438)

111 0 0089282 0



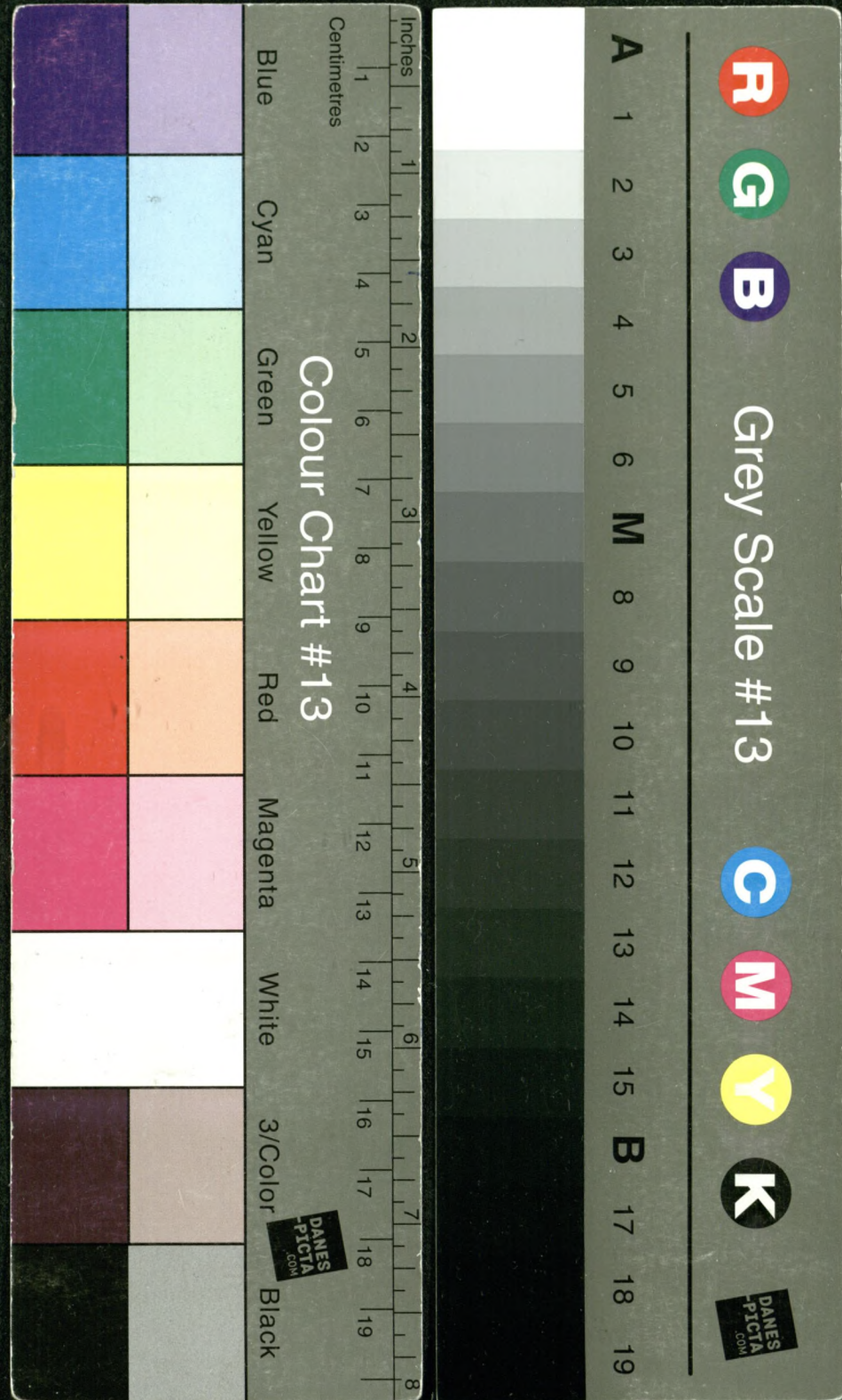
POLSKA • ZIEMIA • LUDZIE



GUSTAW MORCINEK

ZIEMIA CIESZYŃSKA

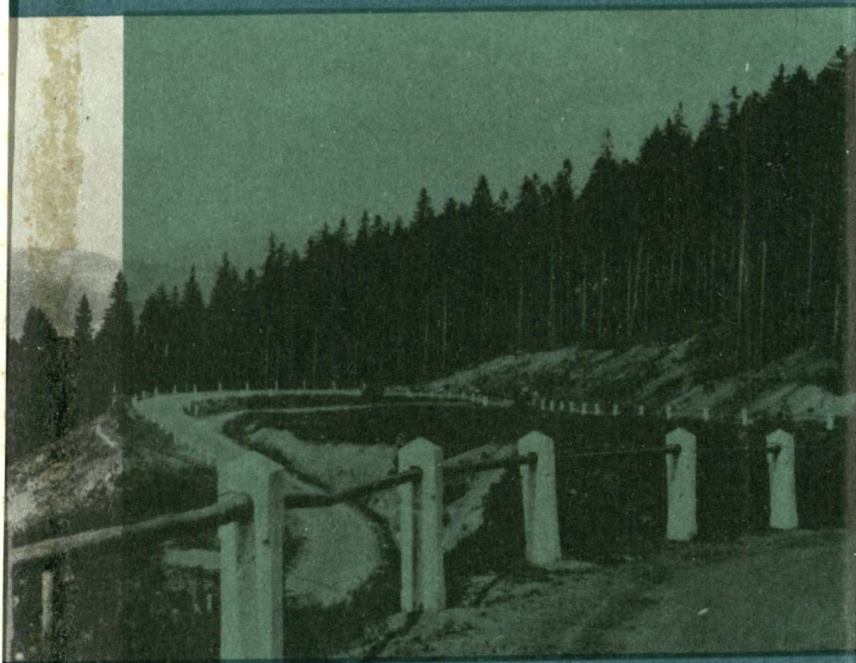
WYDAWNICTWO „ŚLĄSK”

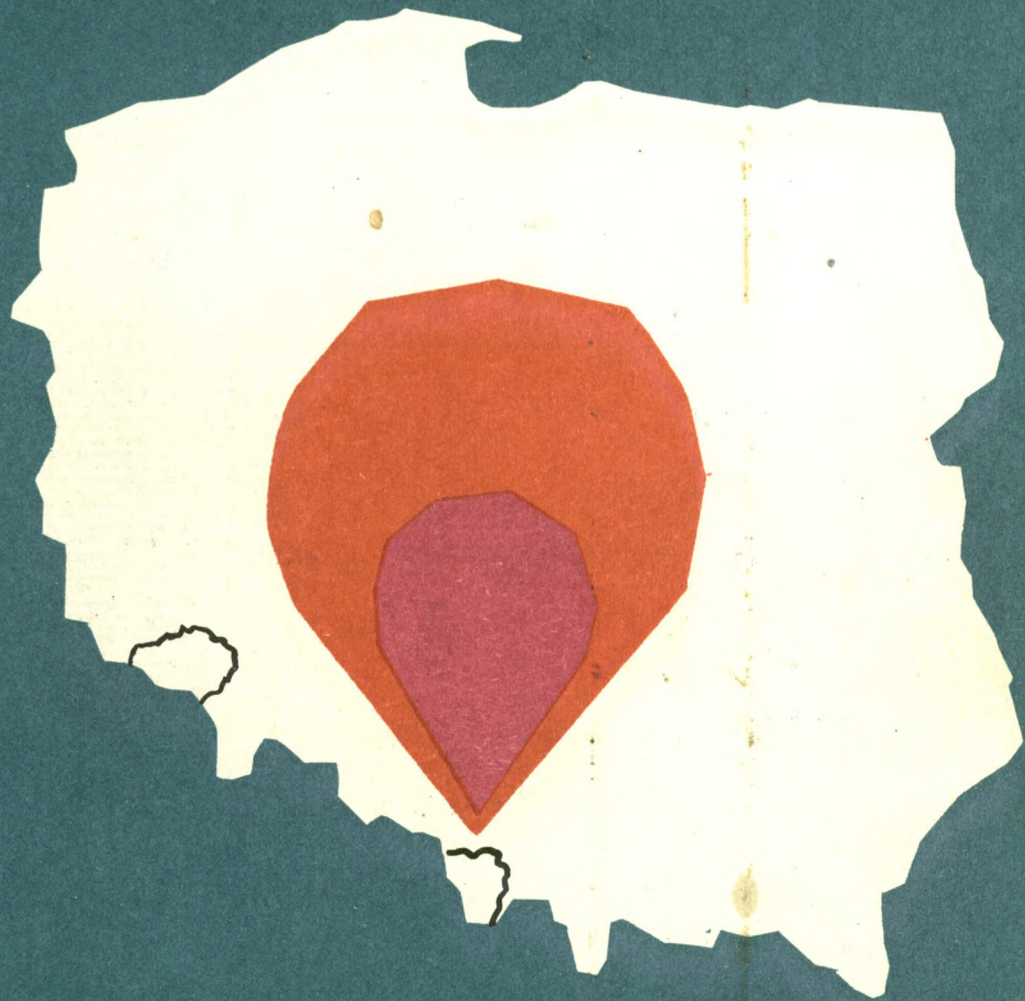


Książki z cyklu

POLSKA · ZIEMIA · LUDZIE

są eseistycznymi opracowaniami dziejów i teraźniejszości najróżniejszych ziem i regionów kraju. Nie są ani monografią historyczną, ani geograficznym zarysem, ani też reportażem o współczesnych dokonaniach gospodarczych czy kulturalnych. Są tym wszystkim tylko w części, stanowiąc nową eseistyczną całość, zawierającą elementy historii ziemi, przypominającą jej piękno oraz uświadamiającą jej miejsce na mapie dzisiejszej polskiej gospodarki i kultury. Są więc obszerną literacką wypowiedzią integrującą różne typy informacji o regionie w nowej i artystycznie konsekwentnie przemyślanej całości eseistycznej.





ZIEMIA CIESZYŃSKA

SERIA WYDAWNICZA

POLSKA • ZIEMIA • LUDZIE

ZIEMIA CIESZYŃSKA

GUSTAW MORCINEK

POLSKA • ZIEMIA • LUDZIE



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1968

Miejska Biblioteka
Publiczna w Ustroniu



94(438)

111 0 0089282 0

F
K 73
K 83
K 96
K 06
K 3



94(438)
Morciniek
ca

89282

Spis treści

1. Piękno Ziemi Cieszyńskiej	7
2. Człowiek na Ziemi Cieszyńskiej	28
3. Między pierwszą a drugą wojną światową	56
4. O książęcym mieście Cieszynie	69
5. O burgrabiowskim mieście Skoczowie	88
6. O utopcowym miasteczku Strumieniu	100
7. O sukienniczym mieście Bielsku	107
8. „Powiarki”, obrzędy i zwyczaje	121
9. Dzień dzisiejszy	143
10. Dnia dzisiejszego ciąg dalszy	155
11. Objaśnienia do tekstu	181



Ziemia bywa jak twarz ludzka.

Jedna zbiedzona i jakby zgryzotą w zmarszczki pomięta, o wyblakłym spojrzeniu. Inna znowu zamyślona, zamknięta w sobie i smętna. A jeszcze inna surowa. Gdzie indziej hyrna i dumna. I jeszcze inna bywa, przeróżna, jak przeróżne bywają twarze ludzkie.

Ale takiej ziemi, która by przypominała uśmiech młodej, zamyślonej dziewczyny, kiedy marzy o pierwszym kochaniu — takich ziem mało. Jedną z nich jest Ziemia Cieszyńska. Według legendy poczęła się ona w osobliwy sposób. Bo oto gdy Pan Bóg

postanowił ją stworzyć, nie rzekł ani słówka, tylko się uśmiechnął. I z tego boskiego uśmiechu miała powstać.

Ziemia Cieszyńska jest odgradzona od sąsiadów miękką, łagodną ścianą Beskidu. Ktoś powiedział, że Tatry — to gotyk, Beskidy zaś — barok. Ów barok widzimy nie tylko w kształcie Beskidów, lecz spotkać go można na całej tej ziemi. Skądkolwiek bowiem na nią spojrzeć, płynie w miękkich, falistych, łagodnych liniach i płynie — zdawałoby się — na skraj świata.

Beskid Śląski więc zamyka Ziemię Cieszyńską od południa, a jego gronie biegną od Klimczoka i Szyndzielnej począwszy, poprzez Stołów, Baranią, Stożek, Czantorię, Złoty Groń, Ochodzitą...

Gdy w marcowe rozmokłe dni nadlecą wichry od słowackiej strony i spiętrzone przelewają się z szumem przez beskidzkie gronie w doliny, wtedy wszyscy wiedzą, że to zwiastuny wiosny. Wichry pachną słońcem i przestrzenią, a z wichrami wracają ptaki z ciepła. Owa wiosna jest jeszcze podobna do zziębniętej pastereczki chuchającej w dłonie, z „ciupką” u zaczerwienionego noska, ptaki zaś są zmęczone i rozczochrane. W nocy, gdy taki wicher szumi pod granatowym niebem, pod gwiazdami, niesie się z nim klangor dzikich gęsi.

Ludzie słuchają tamtego nocnego szumu i gęsiego klangoru, i powiadają:

— Słyszycie? Wiosna idzie od słowackiej strony!...

I ogromnie się radują.

Gdy zaś w taki czas wędrować groniami, wtedy człowiekowi staje się lżej na sercu, jego myśli błękitnieją, on zaś ucisza się w sobie, a oczy nie mogą się nasycić pięknem szerokiego i dalekiego uroczyska. Rozkłada się bowiem przed nimi ogromna przestrzeń jakby kryształem napelniona, kryształ zaś jest przesłonięty opalową mgiełką. A gdy oczy przymknąć, pod powiekami powstaje wtórny jej obraz, jakby wyśniony w najszcześliwszej godzinie nocnej.

I nie tylko w czas słowackich wichrów niosących wiosnę! W którejkolwiek porze roku znajdzie się człowiek w Beskidzie, zawsze wraca z niego urzeczony i jakby odmieniony.

Przyjdzie weń o owej wczesnej wiosnie i stanie na groniu, wyczuwa z ulgą szum słowackiego wichru podniebnego. Wicher bywa ciepły i robi wrażenie, że po drodze otarł się o słońce. Jest on podobny do ułagodzonego wiatru halnego. Przewala się pod niebem, przewala w lasach z miękkim łoskotem, szumi jak ogromna, wezbrana woda, śniegi nikną w oczach, ciekną strużki pełne pokruszonego słońca, dzwonią, szczerkają po kamieniach, krzyczą ptaki, Beskid zaś pachnie tak dziwnie, że nie sposób opisać to słowami. A może to pachnie słowacki wicher? A może to wiosna pachnie?

I jedno, i drugie, i trzecie.

Cały beskidzki świat pachnie, a ludzkie serce staje się tak tym zapachem pijane, że przemienia się w głupiutkie serce. Bo ni stąd, ni zowąd taki człowiek o pijanym sercu zaczyna zniecka pokrzykiwać, helokać, śpiewać jakieś improwizowane pieśni zwariowane, a równocześnie ogarnia go pragnienie: „Hej, żeby mieć skrzydła i polecieć z tym wichrem!”



On już ma wtedy skrzydła u ramion, tylko o tym nie wie. Beskidzka wiosna potrafi bowiem zaczarować i oczarować człowieka. Lecz tylko wtedy, jeżeli ten człowiek nie ma w sobie kramarskiego serca lub kapuścianego głąba, lecz ludzkie serce.

I gdy on tak sobie, pijany wiosną, pokrzykuje, helokuje i pośpiewuje trochę baranim bekiem, tymczasem ze stu wykapów pod Baranią kapie woda, cieknie stu strużkami po kamieniach, strużki rosną w potoczki, potoczki w strumieniu, strumienie zaś grzmia i zamieniają się po drodze w Białą i Czarną Wiselkę. Potem obie Wiselki lecą, huczą, łamią lody i krzyczą, że wiosna, wiosna, wiosna!...

A to samo czyni Olza z drugiej strony Baraniej, szumi, wydziwia, wodospaduje. A to samo czyni Czadeczka z trzeciej strony Baraniej, szumi, kugluje, czaruje...

Wisła płynie aż do Bałtyku jako Wisła, Olza kończy swój żywot w Odrze, a Czadeczka w Dunaju, a raczej Wagu, by utonąć w Morzu Czarnym.

A więc Wisła, Olza i Czadeczka lecą na trzy strony świata, łamią lody, huczą i krzyczą, że wiosna nadchodzi.

A ludzie?

Ludzie wychodzą z chałup, wystawiają twarze do słońca, patrzą na spłowiałe jeszcze niebo, patrzą na Czarną i Białą Wiselkę, Olzę i Czadeczkę łamiące lody i powiadają jeden drugiemu poprzez szum słowackiego wichru:

— Słyszycie? Wiosna idzie!...

I ogromnie się radują. Jak dzieci.

A potem jeszcze tamten wichur zliże resztki śniegu, wydziobie go spod poszycia leśnego, wydłubie z dziur i spod kamieni, z ziemi zaś wyrastają piórka trawy, a między trawą przepychają się śniegulki i gęsie pępki¹, zaczynają się bielić kocianki, zaczynają niebieszczyć żabie oczka, a słońce wędruje coraz wyżej, niebo staje się coraz bardziej niebieskie, a wichur dudni pod nim i przelewa się z przenaremny² szumem w lasach. Jak wezbrana woda w czas powodzi. Ludzie jednak dobrorzeczą owemu szumowi, bo to jest powódź wiosny.

I tylko czekać, skoro z zimowych opowiadań starzyków uciekną jaroszki, takie małe diabełki z prosięcymi ogonkami, i zaczną się wałęsać po beskidzkich lasach, i kiedy w Białej i Czarnej Wiselce, Olzie i Czadeczce zaczną pluskać utopce, a wąż Złotogłowiec wyczołga się z Goduli i zacznie taplać się w najgłębszym plosie³ Olzy pod Kiczera.

A gdy wichur dudni i tłucze łbem w przyciesie góralskich chałup podczas nocy, ludzie budzą się, żegnają i szepcą:

— Słyszysz, stara? Diabły się gzą!... Jeszcze nam chałupę rozwałą!

Nie rozwałą, bo chałupa góralska mocno zbudowana z obrobionych tramów na zrąb, z mocną przyciesią, a ostatni tram podpierający okap dachu, czyli płatew nie dopuści, by ten wichur, podobny do regimentu rozjuszonych diabłów, zmiotł kopytami gontowy dach chałupy. A jeżeli wyrwie jeden lub drugi gont, czyli szyndziol, „poręczono” Panu Bogu. Gdy tamtych diabłów diabli wezmą, ustruga się nowe szyndzioly i naprawi dach.



Gronie, nasze gronie



Droga w głąb gór

Warto jednak dobrozreczyć temu słowackiemu wichrowi, podobnemu do regimentu diabłów, gdy przynosi wiosnę. A wiosna przynosi nadzieję, że owsy obrodzą i będzie owsiany placek. Wiadomo bowiem, że w górach koniec chleba, a początek wody.

Dziewczyny nie mogą wtedy zasnąć w swych komorach, tylko tęsknią nie wiedzieć za czym i przypominają sobie to wszystko, co w czas zimowych wieczorów opowiadali starzykowie. O utopcach w Olzie, o jaroszkach na Ochodzitej, o wężu Złotogłowcu z Goduli, a przede wszystkim o przesławnym zbójniku beskidzkim, Ondraszku na Łysej Górze. Leżą wtedy na wznak, patrzą w ciemne okna komory i nuca cicho, cichutko, żeby mamulka lub tatulek nie słyszeli:

*O, hej! Mój krasny Ondraszku,
Swobodny krogulaszku!
Przyjdź ty do mnie z Łysej Góry,
Puszczę cię do komory
Na calutką noc!
O hej, na calutką noc!...*

Zamiast Ondraszka przyjdzie Jano albo Jura i też jest dobrze. „Na zolyty” przyjdzie...

Potem wichry uwiędną, słońce wyjdzie jeszcze wyżej na niebo i wtedy Beskid Śląski staje się „płucami Czarnego Śląska”, „rajem turystycznym”, miejscem niedzielnych zbiegowisk przeróżnych wycieczek, „świątynią dumania” dla zakochanych.

Trwa to od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

W dolinie Czarnej i Białej Wiselki, w dolinie Wisły i Olzy, a poniekąd odległej Czadeczki roi się wtedy od letników, wczasowiczów, beztroskich włóczęgów, a po znakowanych ścieżkach wędrują młodzi i starzy, z plecakami i torbami, w damskich pantofelkach i w podkutych buciorach, zachodzą do schronisk na Równicy, Czantorii, Stożku, Przysłupiu, Salmopolu, Szyndzielnej, Klimczoku, Stecówce i Skrzycznem, biwakują w namiotach na polanach, sypiają w góralskich stodołach na sianie, opalają się, a czasem mokną. Mądrzy ludzie obliczyli, że najwięcej deszczów z całej Polski bywa w Beskidach. Być może. Deszcz jednak nie przeszkadza zbyt wiele włóczędze po Beskidach. Posiada nawet osobliwy urok.

W soboty i niedziele Beskid zamienia się w odpustowe kiermaszowanie. Samochody, ciężarówki, autobusy, motocykle, pociągi, rowery — wszystko z Czarnego Śląska zdąży do Beskidu, by nalykać się innego powietrza.

U stóp Szyndzielni, w dali Beskid Mały





Wodospady Białej Wiselki

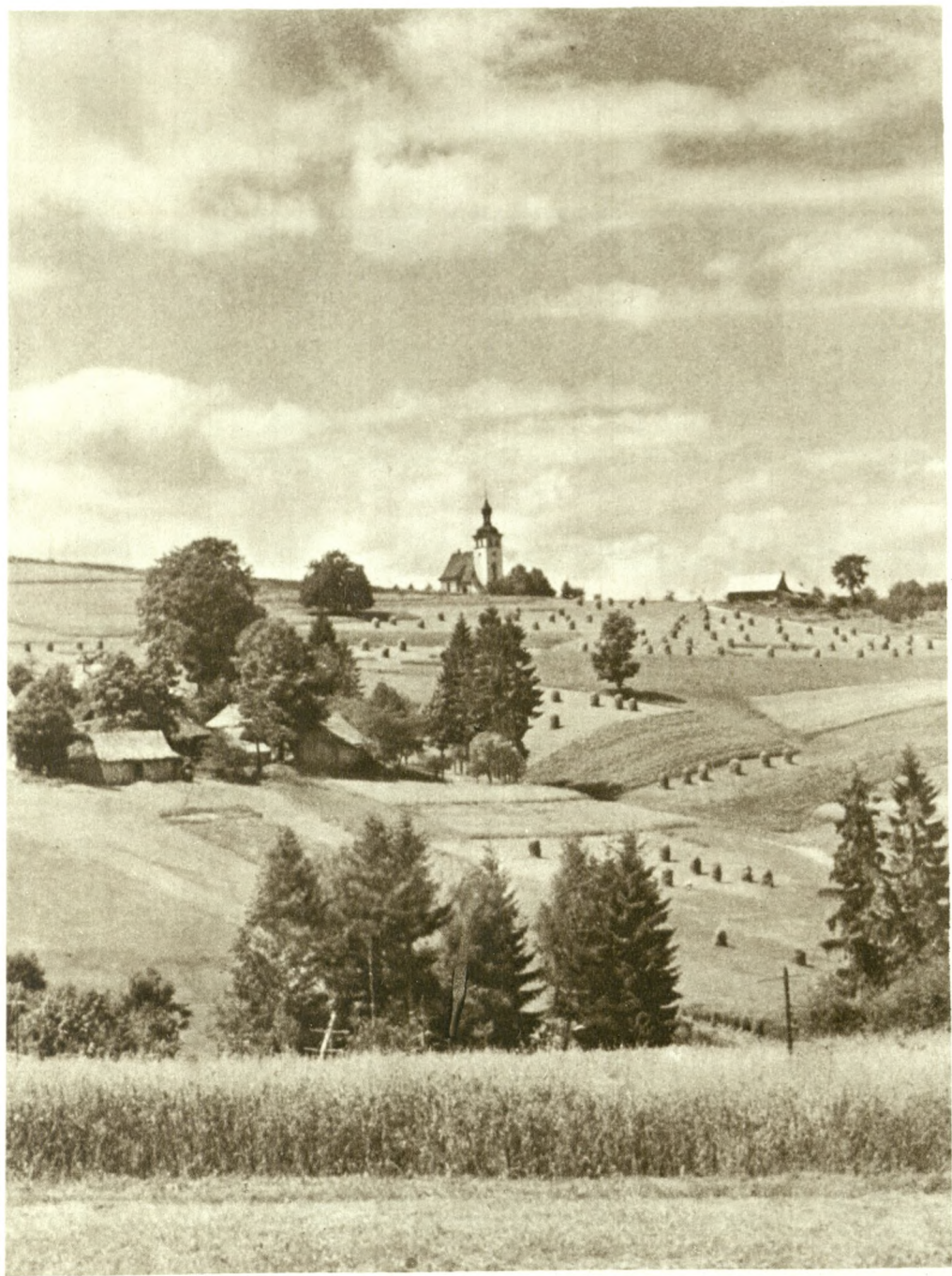
— O, jakie tu inne powietrze! — dziwią się tacy pątnicy z Czarnego Śląska. I pociągają owo powietrze nosami, smakują, oddychają głęboko i wciąż się dziwią, że w Beskidzie nie ma dymów, sadzy, pyłu, siarkowych i cynkowych oparów, że woda w Wiśle i Olzie jest czysta bez pawich ok tęczowych, że na dnie wody słońce przemienia się w migotliwe, złote pętelki, że nawet ryby pluskają w takiej wodzie, że tę wodę można nawet pić z dłoni...

Czasem jednak przypląta się tu jakaś wrzaskliwa hałastrą, robi pijackie piekło, pozostawia po sobie rozbite butelki po wódce, zatłuszczone papiery, śmietnik i cuchnący chlewik.

A gdy nadejdzie jesień, Beskid przemienia się w kolorowe uroczysko. Wtedy na jego stokach rudzieją buki. Lasy szpilkowe są ciemnozielone, buki kolorowe. Gama czerwieni



W ciszy jesiennego lasu



Widok na kościół ewangelicki w Istebnej

od jasnożółtej poprzez wszystkie odmiany aż do purpury rozlewa się plamami po ich stokach i wtedy znowu ludziska z dalekich, zadymionych dolin przystają, patrzą, dziwią się, kiwiają głowami i mówią:

— Boże, jak tu pięknie!...

Tamte kolorowe gody beskidzkie trwają przez całe babie lato. Potem nadlatują wichry chyba z całego świata. Niosą z sobą niskie chmurzyska opęczniałe dżdżem i wyganiają ostatnich beskidzkich włóczęgów do domu. Tak długo, aż spadnie pierwszy śnieg.

I gdy śnieg zasypie wszystkie ścieżki i szlaki, drzewa zaś ubierze w czapate płachcie i zsypujące się szrony, kiedy Beskid zamieni w baśń o szklanej górze — wówczas zaczyna się nań najazd narciarzy.

Dziwny to naród owi narciarze.

Łażą, wspinają się coraz wyżej, dotrą tam, gdzie by nikt bez nart nie dotarł, a gdy nareszcie znajdują się na szczycie, zaczynają szaleć. Taki jeden i drugi i dziesiąty powiecher leci na złamanie karku, kraje śnieg w zwiewne koleiny, zawraca kunsztownym łukiem, skacze, wyprawia harce, a potem znowu wspina się na szczyt.

Rzeka Olza





Istebniańskie zaloty

Tak czynią majsterkowie. Początkujący bowiem narciarze, przewani wzgardliwie „patałachami”, próbują nart na oślich łąkach, robią gęste „kropki”, zwalają się, nurzają w śniegu, gramolą i znowu usiłują naśladować prawdziwych narciarzy. A gdy komuś z nich wypadnie zjechać holwegiem, czyli ścieżką podobną nieco do rowu, wtedy przerażony siada na kijkach i wrzeszczy, jakby go ze skóry obdzierano. I tak długo jedzie na owych nieszczęsnych kijkach, co jest przecież niesłychanym despektem i dyshonorem, i tak długo wrzeszczy, aż w końcu fajtnie koziołka. Potem taki nieszczęśnik niesie złamane narty na ramieniu i kuleje.

Narciarscy majsterkowie zaś czynią cuda na skoczniach. Patałachy i kibice stoją w dolinie, zadzierają głowy i rozdziawiają gęby ze zdumienia. Bo oto gdzieś spod nieba leci taki skoczek jak lekko przygarbiony ptak, leci i leci, wymachuje ramionami, aż nareszcie pada na śnieg i zlatuje już na nartach w dolinę. Pałatachy zaś i kibice wrzeszczą, radują się i wielkim głosem okrzykują zwycięstwo lub porażkę zawodnika.

Pierwsi narciarze, jacy pojawili się w Beskidach, byli ogromnie śmieszni. Panie w długich spodniach i w kapeluszach na głowie, panowie z wysokimi kołnierzami i z kracia-



W oczekiwaniu gości z doliny

stymi krawatami, narty ich niezmiernie długie, a zamiast kijków jedna tyczka bambusowa lub leszczynowa. Ludziska z doliny i groni patrzyli na nich jak na biedaków lekko pomylnych. Lecz gdy przekonali się, że na takich deskach można dojść nawet tam, gdzie ich nikt nie posiał, gdy młode góralczyki i góraleczki zaczęły majstrować podobne „deski”, czyli „skije”, z klepek po rozspanych beczkach, a potem strugać je z desek i przywiązywać szpagatem do kyrpców, i gdy jęli śmigać w dolinę tatulkowi „po tabak do fajki”, a mamulce „po liter petrule” — tamci niewierni Tomaszowie przekonali się do nart i nie było już rznięcia w skórę, jakie dotychczas czekało w domu takiego narciarza.

W okresie zimowych ferii szkolnych zaludnia Beskid kudłaty ludek narciarski i dziewczynki w spodniach. I owo bractwo wyczynia wtedy radosne piekło na oślich łąkach.

I nikt nie łamie nóg.

Nogi łamią „narciarze” spod zakopconej gwiazdy. Przyjedzie taki jeden i drugi do domu wczasowego i powiada:

— Dawać narty! Ja wam pokażę, jak się jeździ!

Przypina biedaczysko narty, gramoli się na niewielki wzgórek i zamierza zjechać „szusem” w dolinę. Odepchnie się kijkami i zjeżdża. Daleko nie zjedzie. Potem trzeba go znieść na drogę i karetką pogotowia odwozić do szpitala ze złamaną nogą.

Tacy narciarze, to zakała Beskidu, podobnie jak zakała są owi niepodarzeni sobotni i niedzielni „turyści”, którzy pozostawiają po sobie śmietnik i próżne butelki po wódce.

Beskid przez kilka wieków był jakby „śląską Ukrainą”, gdzie chronili się chłopci zbiegli z pańszczyzny, pierwsi osadnicy z dolin karczujący lasy i uprawiający chude poletka. Obdarzano ich przywilejami piastowskimi na tyle a tyle lat, potem im je zabrano. Byli pasterze wołoscy, którzy przywędrowali z Wołoszczyzny grzbietami Karpat aż na Śląsk. Byli zbójnicy ze swym hajtmanem⁴ Ondraszkiem na czele. Byli przemysłowcy soli i tytoniu. Byli „rabczykowic”, czyli kłusownicy, uganiający się za niedźwiedziami, jeleniami, sarnami i zającami. A w końcu przyszli turyści.

Wędrują oni po Beskidzie od niedawna, bo od roku 1893. Początkowo byli nimi ciężsi Niemcy, pisarczykowie, kupczykowie, kanceliści, czyli „panoczkowie z miasta”. Czynili srogi szum, wyśpiewywali na groniach „Deutschland über alles” albo „Wacht

Na „ośleju łączce“



am Weichsel”, a wspierani przez niemiecki zarząd dóbr popiastowskich, czyli przez Komorę arcyksiążęcą w Cieszynie, panoszyli się w górach, budowali schroniska, ustawiali niemieckie napisy, słowem, usiłowali Beskid Śląski przemienić w „urdeutsches Beskidenland”.

Nic z tego nie wyszło, bo ich „heilowanie” wyparło polskie „helokanie” od roku 1910 począwszy, gdy Polskie Towarzystwo Turystyczne „Beskid” jęło konkurować z niemieckim „Beskidenvereinem”. I gdy dawniej wędrowali w Beskidzie „fraczkorze z miasta”, gadający koślawą niemczyzną, teraz jęła wędrować po nich polska młodzież szkolna i robotnicza z całego Śląska Cieszyńskiego.

A dzisiaj nie uświadczy już w nich ani jednego Niemca, bo ich nie ma.

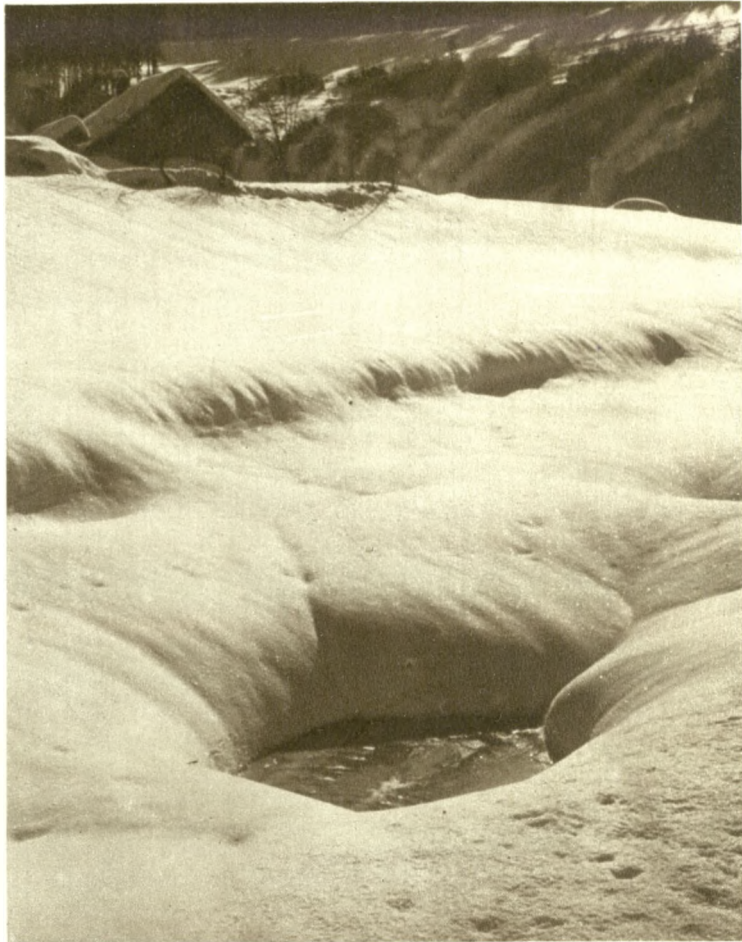
Poza tym Beskid dał się we znaki Niemcom hitlerowskim, gdyż podczas drugiej wojny światowej stał się siedliskiem partyzantki. Partyzanci siedzieli w lasach ukryci w tak zwanych „bunkrach”, zamaskowanych, w nocy zaś urządzali wyprawy w doliny na pociągi, mosty, maszty wysokiego napięcia. Ile pociągów z amunicją wykolejono i spalono lub zlikwidowano ich wojskowe załogi, trudno zliczyć. Ile mostów poszło w powietrze i ile masztów wysokiego napięcia zwalono — także trudno powiedzieć. Ile zuch-

Z wiatrem w zawody





Zimowe uroki Beskidu



Góry w słońcu i śniegu

walych wypraw odwetowych urządzono — także trudno policzyć. Niemcy lękali się zapuszczać obławą w beskidzkie lasy, a jeżeli się zapuścili, straty ich były duże.

Nasze straty także były. Mówią o nich pomniki nagrobne na istebniańskim cmentarzu i na cmentarzu w Brennej. I pomniki nagrobne polskich partyzantów na Zaolziu. I w samym Cieszynie nad Olzą. A czasem samotny krzyż drewniany w beskidzkich lasach.

Partyzanci mogli przeprowadzać jakąś akcję tylko w nocy. Gęste zaludnienie Śląska Cieszyńskiego uniemożliwiało wykonanie jej za dnia. Partyzanci wychodzili więc z lasów o zmierzchu i docierali tylko tak daleko, by po skończonej akcji móc wrócić do lasów przed świtem. Współpracowała z nimi grupa radzieckich spadochroniarzy i komandosów.

Dzisiaj mało kto wie o nich. Stali się bezimiennymi bohaterami i nieznanymi żołnierzami.

Czasem nie ma krzyża na grobie śląskiego partyzanta. Rośnie tylko paproć wielce bujna albo gruszczyca polna przyniesiona przed wiekami z Alp, albo bylica skalna, a czasem jaskier alpejski.

Wszystkie te rośliny ogromnie rzadkie i cenne znajdują się pod ochroną, gdyż grozi im wytepienie przez nierozsądnych „turystów”. Podobne wytepienie grozi kotewce, czyli orzechowi wodnemu, a przede wszystkim najrzadszej w Europie cieszyniance (*Hacquetia epipactis*).

Bo taki storczyk-obuwik i storczyk-kukawka i lilia złotogłów oraz naparstnica purpurowa już są prawie wytepiene.

Cieszynianka dotarła do nas gdzieś z Alp i prawdopodobnie jej nasiona przynieśli z sobą rakuscy wojacy generała Devagi, gdy oblegali zamek cieszyński podczas wojny trzydziestoletniej w roku 1647. A w zamku siedzieli Szwedzi i stąd powstała romantyczna legenda, że cieszynianka pochodzi ze Szwecji. Jakiś szwedzki rajtar ciężko ranny konał powoli w śląskiej chałupie siedlaczey pod Cieszynem. W nadobnym rajtarze zakochała się córka siedlaka, a kiedy jej umiłowany umarł, zdjęła z jego piersi woreczek ze szwedzką ziemią i wysypała ją na grób nieboszczyka. A wraz z ziemią nasionka kwiatu. Na wiosnę wyrosły na grobie, tuż za śnieżyczkami, bladożółte kwiatuszki bez nazwy. Przewano je przeto cieszyniankami, jako że pojawiły się pod Cieszynem. Z czasem rozmnożyły się w trójkącie między Cieszynem, Skoczowem i Ustroniem.

Chata góralska w Istebnej





Krajobraz beskizki



Kościółek drewniany w Zamarskach, z 1731 roku

Rzadka roślina (*Arum maculatum*), czyli obrazki, rozmnożyła się koło Strumienia.

Okolice Strumienia są już płaskie, nizinne, bagniste, pełne stawów rybnych i żab. Żab chyba jest najwięcej i stąd ową część Ziemi Cieszyńskiej przezwano Żabim Krajem. Ludzie z Żabiego Kraju nigdy nie dobrorzeczyli Wiśle, gdyż musieli bronić pól, domów i siebie groblami mozolnie sypanymi przed jej powodziami i zalewami. Odetchnęli dopiero wtedy, gdy na miejscu Zarzecza powstał zalew goczalkowicki, zapora gromadząca wody Wisły w ogromne jezioro.

Goczalkowicki zalew zmienił poniekąd krajobraz Żabiego Kraju. Jezioro nadaje mu obecnie inny charakter, bardziej atrakcyjny. Woda z zalewu jest doprowadzana na Górny Śląsk dla tamtejszego przemysłu, zapora zaś chroni przed powodzią nizinę od



Szumią świerki wysoko

Goczalkowice po Kraków. Okazało się, że podczas dwóch ostatnich powodzi w roku 1958 zwróciły się koszty zapory. I to z nadwyżką. Obliczono bowiem, że obie powodzie wyrządziłyby na przestrzeni Goczalkowice—Kraków więcej szkody, aniżeli kosztowało zbudowanie zapory.

Beskid zaczyna być za ciasny dla ogromnych rzesz sobotnich i niedzielnych wycieczek zbiorowych z Czarnego Śląska. Tereny koło zapory i Jeziora Goczalkowickiego odciążąły Beskid i część wycieczek znalazła tu miejsce wypoczynku.

I gdy tak wędrować z beskidzkich groni w dolinę Wisły i pójść gdzie oczy poniosą, spotyka się po drodze „święte źródelka” z „głodną wodą”, nazwy wsi o staropolskim brzmieniu; mija się ustronia, wzgórza, doliny, powoli teren się wygładza i kończy tamtym Goczalkowickim Jeziozem.

Wszędzie, gdziekolwiek taki wędrowiec stanie i obejrzy się dookoła, przekonuje się, że Ziemia Cieszyńska jest w swym pięknie istotnie podobna do uśmiechu młodej, zamysłonej dziewczyny, kiedy marzy o pierwszym kochaniu.

Kwiat cieszyńianki





Od roku 1339, gdy król czeski, Jan Luksemburski wyszachrował Śląsk od Kazimierza Wielkiego, ziemia ta przestała być dzielnicą Polski przez kilka wieków, aczkolwiek zamieszkiwali ją Polacy, a śląscy Piastowie wywodzili się z polskich Piastów.

I przez owych kilka wieków ziemia ta stała się jakby bezpańskim rozdrożem. Panowie wprawdzie byli, Piastowie i Piastowicze, lecz Boże się pozał z takimi niepodarzonymi panami! Skłócenii z sobą swarzyli się, uboželi, dzielili swe księstwa na księstwka lub zgoła na księsteweczka, niemczyli się i wymierali bezpotomnie. Trwało to kilka wieków, a przez tych kilka wieków lażyły tu przeróżne nacje, jurgieltniki⁵, zaciężni soldnerzy⁶,

wojacy, soldaci, wagabundowie, uzbrojone holoty i drapichrusty, a wszyscy dawali się we znaki przede wszystkim pańszczyźnianemu chłopu śląskiemu, przezwanemu otrokiem.

Zapuszczały się tu bowiem tatarskie zagony chyba z piekła rodem, podchodzili Turkowie, waleśali się Brandenburczycy, rozbijali i zbijali zbójeckim sposobem Szwedzi, rabowali wsie i miasta żoldacy Mansfelda i Wallensteina, czynili srogie zamieszanie i krwawe zawieruchy Husyci, laziły tu rakuskie i pruskie regimenty, awanturowali się łupieżcy Lisowczycy, słowem skaranie boskie na ten biedny naród chłopski.

Jedynymi jakby odświętnymi chwilami w tym ciężkim żywobyciu były przejeżdżające skrzydlate chorągwie króla Jana III Sobieskiego, udające się po sławetną glorię pod Wiedeń lub gdy tędy uchodził przed Szwedami nieszczęśliwy król Jan Kazimierz, lub gdy tędy wiódł swych ułanów książę Józef Poniatowski, jadący po swoją śmierć w rzece Elsterze pod Lipskiem, lub gdy zachodzili tu konfederaci barscy szukający schronienia w Bielsku i Cieszynie, lub gdy wreszcie pojawiały się tu w pojedynkę nie-dobitki powstania polskiego w roku 1863.

Owych odświętnych chwil było mało, a było dużo płaczu, krzywdy i śpiewanych żarliwie i żałośnie suplikacji. Gdyż jakby tego było za mało, grasował tu raz po raz czarny mór i wyludniał wsie i miasta. Były pożary trawiące je do przyciesi. Były okrutne powodzie wiślańskie i odrzańskie, potopy, istne sądne dni. Zlatywała się tu szarańcza. Bywały „głodne roki”, podczas których ludzie jedli lebiędę, a chleb piekli z utartej kory drzewnej.

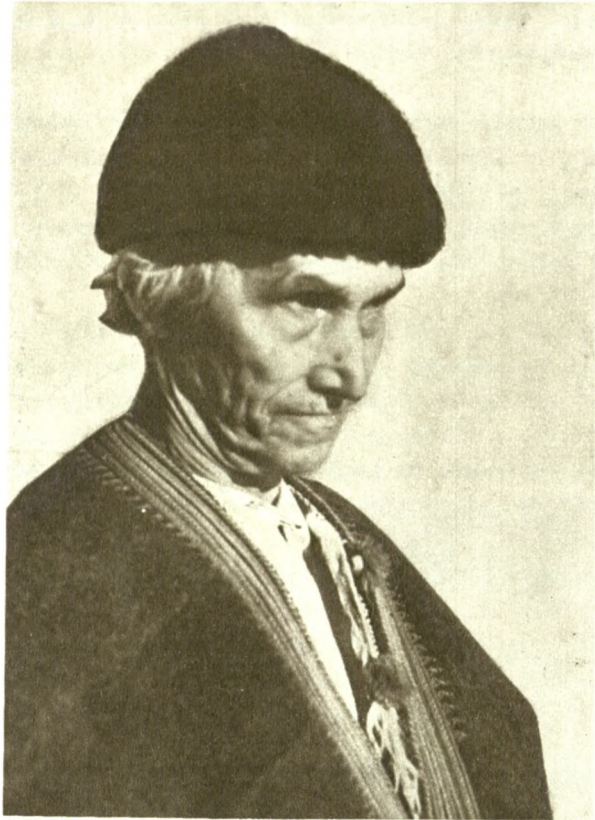
Książęcy zaś i miejscy skrybowie pisali w swych annałach „ku pamięci rodu ludzkiego”, jak to „kiedy Woyna bela żołnierze zapalili Miastho”, albo że „Miastheccko srodze ucierpialo, o czym siła by trzeba pisać Chronikarzom to poleciszy”, albo jak „anno 1734 szła Compania Rusów z bardzo Cudzo Ziemskiego kraju Hismatycy z wielkim uprzykrzeniem ubogiego Miastheccka”.

Ciężko więc była doświadczana Ziemia Śląska, a z nią i Ziemia Cieszyńska jako jedna z jej siedemnastu dzielnic.

Potem jeszcze pojawiła się reformacja.

Gdy na cieszyńskim zamku włodarzył książę Kazimierz II, będący królewskim namiestnikiem Śląska, czyli „supremus utriusque Silesii capitaneus”, Marcin Luter przybijał swoje obrazoburcze tezy na drzwiach zamkowego kościoła w Wittenberdze. Następca Kazimierza II, Waclaw Adam, chętnie słuchał jego nowinek religijnych, przyjął je jako „jedziną przez Boga dokazaną drogę do nieba”, a że wówczas obowiązywała zasada „cuius regio eius religio”, przeto za Waclawem Adamem poszli jego poddani, a więc mieszczaństwo i chłopci.

Syn apostaty Waclawa Adama, książę Adam Waclaw, stał się atoli konwertytą i wraz ze sprowadzonymi jezuitami jał tępić luteranizm w swoim księstwie. Jego wysiłki były jednak płonne, tak dalece płonne, że powstało wtedy znamienne porzekadło określające upartego człowieka, że „jest twardy jak lutersko wiara kole Cieszyna”.



Gazdoszek

Z owej zawieruchy wyznaniowej wynikła jednak wielka korzyść. Bo oto chłop śląski nauczył się teraz czytać i pisać, a więc w tym okresie, gdy niejedyn szlachcic polski, gdy nawet książę Radziwiłł „Panie Kochanku” podpisywali się trzema krzyżkami.

Protestanci, prześladowani podczas kontrreformacji, zapiekali się w swym uporze, po nocach w lasach beskidzkich przy dużych kamieniach ofiarnych, z wyłobionym na nich krzyżem i kielichem, modlili się i śpiewali półgłosem psalmy, wadzili się o kościoły i w swym przekonaniu urastali do zaszczytnej godności męczenników za prawdziwą wiarę, w oczach adwersarzy zaś schodzili do roli „parszywych owiec”. I odwrotnie.

W owym burzliwym czasie chłop cieszyński zapominał o swym mizer-

nym żywobyciu pańszczyźnianym, gdyż jego głowę zaprzętała troska, którą to „jezdnią drogą przez Boga dokazaną” dojdzie jego zgrzebna dusza do nieba i posiedzie koronę niebieską.

Mnożyły się więc waśni wyznaniowe między katolickimi i protestanckimi chłopami cieszyńskimi, a że w takich waśniach potrzebne są argumenty, argumenty zaś znajdowały się w księgach dewocyjnych i polemicznych, w różnych postyllach, żywotach świętych, apokalipsach, kazaniach i bibliach, przeto te „święte księgi”, układane w Polsce dla szlachty, były czytane na Śląsku Cieszyńskim przez chłopów. Ich treścią żurliwi⁷ wyznawcy jednego i drugiego kościoła krzepili swego niespokojnego ducha, a dla pogębienia przeciwnika szermowali argumentami wyczytanymi w tamtych nabożnych foliałach.

Były one oprawne w świńską skórę, zamykane na srebrne lub mosiężne skuwki, przechodziły w dziedzictwie z ojca na syna, z syna na wnuka, z wnuka na prawnuka, a gdy rodzice wianowali córkę lub syna, to oprócz krowy, pierzyny, tyłu a tyłu kur i gęsi dodawali jeszcze „świętą księgę” jako najcenniejszą „erbowiznę”. I dzięki owym księgom, dzięki Reyowi, księdzu Skardze, heretykowi Radziwiłłowi, Leopolicie, Ko-

chanowskiemu, Dambrowskiemu z Wilna i Gdacjuszowi z Kluczborka język polski na Śląsku zakrzepł w swych formach archaicznych, by z czasem stać się gwarą o nalocie staropolszczyzny. Dzięki owym księgom nie uległ wyćpieniu.

A gdy „święte księgi” stały się w końcu już tylko szacownym dziedzictwem i spoczęły w malowanych trówałach⁸ w komorze lub w zbiorach bibliofilów, rolę ratowania polszczyzny śląskiej przejęły pacierz i pieśniczki ludowe.

Jako już się rzekło, Piastowie wymarli i pozostały po nich tylko poszczerbione nagrobki, sarkofagi lub epitafia w kościołach i jeszcze bardziej poszczerbione zamki i zamczyska. Los Piastów podzieliła szlachta. Najpierw zniemczyła się, a następnie wymarła. Nic po niej nie pozostało, okrom powiarek, że ich dusze w postaci ognistego konia bez głowy pokutują na rozstajnych drogach i straszą pijaków lub zabłąkanych wędrowców, albo że biegają z ognistym łańcuchem po miedzach i odmierzają pola za karę, że kiedyś worywali się w chłopskie poletka.

Po Piastach i szlachcie przyszła kolej na mieszczaństwo. Piastowie bowiem sprowadzali kolonistów znad Renu i z Frankonii i osadzali ich jako rzemieślników czy kramarzy w miastach i miasteczkach. Owi Niemiec przybusie jeśli powoli wypierać polski język z rynku na przedmieście, a z przedmieścia na wieś. Z ksiąg cechowych i kościelnych jęły znikać takie nazwiska śląskich mieszczan, jak: Palichleby, Chybidziury, Bógdółowie, Moczygęby, Tłoczykrowy, Małyjurki i inne Kurzeszłapy, stały się w końcu prześmiewnymi przezwiskami, a ich miejsce zajęły różne Szperlingi, Hechty, Hausery, Denemarki i tym podobne Fuchsy.

Ostateczny cios polskiemu mieszczaństwu na Śląsku zadał Fryderyk II Wielki, król pruski, który rakuskiej cesarzowej Marii Teresie wydarł prawie cały Śląsk, zostawiając jej, jakby ogryzek, Ziemię Cieszyńską i Opawską.

Pozostał teraz tylko chłop.

Karta historii Piastów, szlachty i mieszczaństwa została już przekreślona. Karta historii polskiego chłopca na Śląsku jęła pisać o jego osobliwej odysei.



Ustroń. Tu modlili się ewangelicy

Kronikarz, niejaki Kneifel, pisał, że „chłopi śląscy są gościnni i uprzejmi wobec obcych, wobec przełożonych nieco bojaźliwi i pokorni, lecz dosyć weseli”.

Była to dosyć pochlebna charakterystyka.

Mniej pochlebna była ocena ich charakteru przez jednego ze śląskich plebanów.

„Są oni dumni — pisał — chciwi, zazdrośni, bezbożnicy, oszczercy i szydercy, rzadko chodzący do kościoła, a często do karczmy.”

Nie brak było również innych zarzutów — jak o tym pisze Jan Stanisław Bystroń w swych „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce” — że chłop był głupi, chytry, nieszczerzy, krnąbrny, słowem skłonny z natury do złego.

Innymi słowy siła złego na jednego chłopca!

Jego historia powiada co innego. Że nie był ani głupi, ani bojaźliwy czy zgoła pokorny, lecz raczej dumny i rogaty, a przede wszystkim twardy, jeżeli chodzi o obronę przed zdzierstwem ze strony panów i o język polski.

Wprawdzie niemieckie szkoły średnie w Cieszynie i Bielsku napłodziły całe regimenty renegatów, zaprzańców i przeskoczków o bardzo polskich nazwiskach chłopskich i ci odmieńcy poczynali sobie nieraz butniej i zuchwalej aniżeli prawdziwi Niemcy-przybusie. Z owych przeskoczków tworzył się półinteligentki klan mieszczański i urzędniczy, różni pisarczykowie, kanceliści, diurniści⁹, kupczykowie i miejscy panoczkowie. I chociaż nieraz pochodzili z żebraczej kobielei¹⁰ chłopskiej, gardzili „chłopem z dziedziny”, uważali się za coś lepszego, gdyż nosili wysokie, sztywne kołnierzyki u koszul, krawaty, wąsy smarowali szuwaksem, włosy miewali ulizane brylantyną, a gadali koślawą niemieczyzną.

Lecz mimo tego nieświadomiona polskość Ziemi Cieszyńskiej była nadal twarda i uparta, „jak lutersko wiara kole Cieszyna”.

Była to jednak polskość biała, anemiczna i niemowleca. Chłop śląski nie zdawał sobie bowiem sprawy, że jest Polakiem. Uważał się za Ślązaka gadającego „po naszymu”. Za Polaków uważali się ci, którzy liźnęli trochę nauki i wykształcenia.

Panami na Śląsku byli Niemcy. Ziemianin — to Niemiec. Kupiec w mieście — także Niemiec. Pisarczyk w urzędzie — Niemiec. Kupiec zaś na wsi — to był Żyd, który nie był ani takim, ani owakim. W domu szwargotał ze swoimi po niemiecku, z chłopami w swej karczmie czy sklepie kramarzył albo w żargonie polsko-niemieckim, albo gwarą śląską, jeżeli był zasiedziały na wsi.

Chłop z Cieszyńskiego, podobnie jak chłop na całym Śląsku, zdawał sobie sprawę ze swej narodowej odrębności w stosunku do owych panów i „panoczków” z miasta. Bo gdy jedni nazywali go „polnisches Gesindel”, drudzy łupili z niego skórę.

Gdy poczucie krzywdy wzmogło się do rozmiarów przerastających jego uległość, przestał wierzyć „wielebnym panom” i „tatulkom”, czyli pastorom, iż uległość jest cnotą przynależną kmiotkowemu stanowi, a porywał się do rebelii.

Wtedy wsi skrzykiwały się, zbroiły w siekiery, cepy i widły i rebelianci szli wielką kupą na dwory. Kończyło się zawsze klęską, gdyż panowie uśmierzali zbuntowane wsi pacyfikacją. Nasyłani rakuscy wojacy „robili porządek”, wyżerali chude spizarnie chłopskie, zamykali buntowników w dyby, gwałcili kobiety i dziewczyny, a po odej-

A D O Y Z I E S T O R O Y

Sochet rozbił gśu stany w etdam: przy
poslednich konczynach piustie. A pan szel
gest przed nim: elajuge cęstu przez den
stęze slup oblatowp: a przez noc stęze slup
o dżme: aby był wnodze cęsty obogicęo ca
su. A tdy nepożynul slup oblatu przez den
ani slup odme przez noc przed lidem.

Adoni faraó lid ktery: Moyses przywoz
przez morze suchu nohu. Zle faraó tam a wozy
stem otomil. Lid bohu wwierzył.



Kapitela xiii.
Mówił gest pak pán k Moysesowi
zła. A sław senuom Izraelským
at nawrátęce se rozbięu stany na
proti Faraoth: ktery gest mezy Magda-
lum a morzem proti Welsophon: na sezye
nu geho: polożyte woyska nad morzem. P
budet třezy Faraó o sęnyech Izraelských
Dżitem gśu na zemi: sewerzela ge piust. A
zatwrdym sędę geho. P budet stihati
wás: a budut oślawen z Faraona: y zew-
sęcho woyska geho. A poznagut Egipstij
zet gsem yá pán. P wczynili gśu tak. A zwi-
stowáno gest krali Egipstému: zeby wtę-
tal lid. P zmienieno gest sędę Faraono-
wo y sluzebnuow geho nad lidem a ze-
kú gśu: czo gśme to wczynili ze gśme pro pu-
stii: Izraele aby nám nslúžyl: protoz za-
práhál wozy: a westkeren lid swooy po-
yal s sebu. A wzał sstet set wozuow wybra-
nych: a czo kú po Egipcie wozuow bylo:
a kauptmany wšęcho woyska. P zatwrdil
gest pán sędę Faraona krali Egipstých:
a s stýžal gest sęny Izraelske: ale oni by-
li wylili w morze przewęšene. A tdyz gśu

konili ge Egipstu po sláhu nassli ge v wozy
stach nad morzem. A w sędęno ge dęze y
wozowe Faraonowi: a w sędęno woysko
bylo w Faraoth proti Welsphon. P tdyz
ge se bliży Faraó Wozdwięę sęnowe: y z
kaldslu ocy: vyzeli gśu Egipce za sebu
y letli gśu se naramine: y zwařali řu panu:
a mluwili k Moysesowi. Wnad gest neby-
lo srobuow w Egipcie: protoz gty powal-
nas abychem zenteli na piust: czo to wę-
niti. Stiel zec nas wywędłz Egipca. Wřal-
tato gest třezy ktery gśme mluwili k tobie w
Egipcie: rzłęze. Wdędy od nas at sližy-
me Egipstým: neb mnohem lepe bylo sli-
žiti Egipstým: neřli zentęci na piust.
P třezi Moyses k lidu. Nęchętey se ba-
ti: stuoyte a wřite wšite stęty panice: te-
rež bude puosobiti dnes. Egipstých gśme
kteryz nwnę widyte: nikdi wyęce nevyřy-
te nawřky: pán bude bogowati za was: a
wy budete w potęgi. P třezi ge pan k Mo-
ysesowi. E zoz wolař se nme. A sluw sę-
nuom Izraelským at gdu. Ale wy wzdwi-
žni řuol řuwi: a zřadni řuku řuwi na mo-
rze: a rozdiel ge: atby řli sęnowe Izra-
hslu prostředem morze po suchu. A at
pak zatwrdym sędę Egipstých: atby was
konili: a budut zweleben w Faraonowi y
we wšem woysku ge y w wozyech y w ge-
dęzech ge: a zwiędy Egipstij: zet gsem
yá pán: tdyz budut oślawen w Faraono-
wi: a w wozyech y tak w gedęzech geho.
A pozdwiř se angel pánice kteryz ge przed.
cházet woyska Izraelska: zassel gest za-
nie: a s nym spořu slup oblatowp: nečhaw
mýesta przednyeho: postawil se s řadu me-
zy woysky Egipstých: a woysky Izrael-
ských. A byl ge oblat temny a ořwřęge
noc: tak ze k sobie wespořet třečcho řasu
nocnyeho przystupiti nemořli. P tdyz wřta-
hl Moyses řuku na morze: rozdiel gest
ge pán: neb waal przenářly a hortę wyę-
te třece noczy a obrátil w suchost: y roz-
dielena gest woda a přęřli gśu sęnowe
Izraelslij prostředem sucheho mo-
rze. Wřla ge gśme woda yabřo zed na-
prawřy gřch y nalkwřy. A sližagęge
egipstij gęli gśu zanimi y wšęęno nandž
stwyę gedęzuow Faraonowých wozowe
ge y gęęny po postředě morę: gij pak by

Nemie. 11.
Josue. 2. b.
u. t. d.
Judit. v. 6.
Jalm. 1. 13.
Eccis. 1. 13.

ściu zostawiali w upominku francuską chorobę, przezwaną w gwarze „francowatą niemocą”.

Sporadyczne zrywy buntownicze, z których największy w roku 1776 ogarnął 137 gmin, były pośrednią przyczyną, że chłop śląski powoli jakby przecierał oczy. Ponieważ jego wróg klasowy był Niemcem, Niemiec zaś przezywał go wzgardliwie „polnisches Gesindel”, przeto na tle owej odrębności klasowej jęło wyrastać poczucie odrębności narodowej, już nie „tutejszej”, ale polskiej. Ów proces przyspieszały coroczne pącie, czyli pielgrzymki do Kalwarii Zebrzydowskiej, ba, nawet do Częstochowy, gdzie śląscy pątnicy spotykali się z procesjami z całej Polski. Takie spotkania przyczyniały się walnie do rozbudzania świadomości narodowej. Chodziło tu przede wszystkim o język. Zdumieni śląscy pątnicy przekonywali się, że pielgrzymi z „Polski” (miano tu na myśli ówczesną Galicję) i z „Ruskij Polski” mówią tym samym językiem, jakim posługują się Ślązacy.

— Po jakimu wy mówicie? — pytali śląscy pątnicy.

— A dyć po polsku!

— To wyście Polakami?

— A dyć Polakami!

„No, to my chyba także jesteśmy Polakami?!” — świtała nieśmiała myśl w ich pobożnych umysłach.

Zrodziła się ona wcześniej, zanim śląscy chłopci powędrowali do Panienki Marii w Kalwarii Zebrzydowskiej i w Częstochowie. Zakielkowała chyba po raz pierwszy za czasów Napoleona.

Chłop śląski bowiem, brany w rekruty do wojska austriackiego, znalazł się w Italii, gdy młody jeszcze, bo 27-letni Napoleon Bonaparte wiodł boje z Austrią w Lombardii. I ten rakuski „gemajne” ze Śląska Cieszyńskiego miał pobić jakiegoś tam Napoleona z piekła rodem, jego wąsatych wojaków gadających chyba po „egipcyańsku”, oraz na dodatek jakiegoś generała Henryka Dąbrowskiego z jego nie mniej wąsatymi wojakami, gadającymi — o dziwo! po polsku. Był to ten sam język, jakim mówiono koło Cieszyna, Strumienia, Skoczowa, Frysztatu i w Beskidzie, tylko jakby bardziej wypolerowany, oglądzony i trochę niby pański. Ale w każdym razie ten sam...

A że w rakuskich regimentach skrzeczeli mu nad uchem po niemiecku oficerowie i różne „zupaki” i bili go harapami, i znowu wymyślali od „polnisches Gesindel”, przeto jeden i drugi, i setny „gemajne” pomyślał, żeby tamci diabła zjedli i przechodził na drugą stronę. Do Legionów Dąbrowskiego. Z flintą i cieletnikiem, czyli tornistrem, i z nadzieją, że będzie przyjęty z otwartymi ramionami.

Owszem, generał Dąbrowski przyjmował takich dezertarów z otwartymi ramionami, lecz legionowi oficerowie nie mieli otwartych ramion, tylko wyzwiska od huncwotów i przynierów.

I ci cieszyńscy chłopci — jak pisze Berent w „Nurcie” — biorący na serio rewolucyjną kokardę swego obywatelstwa, zaprotestowali:

„Obywatelu kapitanie, my nie jesteśmy żadne przynierzy, ale owszem dobre żołnierze republikańscy i kapitan nie masz prawa...”

Ha, odezwiała się rogata dusza śląskiego otroka!

Potem piszą list do Dąbrowskiego:

„Przymaszerowaliśmy do Cesero o dwunastej w nocy w wielki deszcz, slotę i niepogodę. Jako będący wielce utrudzeni apar tego żeśmy byli zabezpieczeni wydanym rozkazem, uczyniliśmy sobie wygodę, a kto miał sprawunek jaki do miasta porozchoziliśmy się... Obywatel kapitan Nielepiec, spotkawszy kaprała, który jest już nieboszczykiem, jął go bić i płazować. Któremu dawszy razów siedem, opuścił go... I wpadł do kwatery fizylierów, gdzie ich zastał wszystkich śpiących i zaczął ich bić bez miłosierdzia i katować... Każe całej komendzie stanąć, którzy bez żadnej sprzeczki stanęli. A odezwawszy się jeden z nich zaczął mówić: Obywatelu kapitanie, za co nas obywatel kapitan dwa razy krzywdzi, słowem i uczynkiem? Zaczął go znowu tak bić, że z wielkiego rozmachu wyciąwszy pałaszem w kość, pękł obywatelowi kapitanowi pałasz... i sam się nim skaleczył. I zawinąwszy rękę, powiedział: Idźcie wszyscy, ja teraz od was nie chcę i poszedł.

...Aby za swe krzywdy i poniewierki sprawiedliwości dojść, udało się dwóch sierżantów i siedmiu żołnierzy do majora Wierzbickiego. Ten nie chciał żadnej prośby wysłuchać. Odpowiedzieli: Obywatelu majorze, kiedy nam obywatel major satysfakcji uczynić nie chce, będziemy przymuszeni udać się do generała francuskiego. Obywatel major usłyszawszy te słowa kazał ich wziąć do prezonu wszystkich dziewięciu. Wkrótce wydany był rozkaz, aby całe de po stanęło z bronią na plac. Kazano nam wszystkim złożyć broń i amunicję i zabrawszy tych wszystkich dziewięciu aresztowanych, natychmiast ów kaprał i jeden żołnierz rozstrzelani zostali; zaś co do reszty siedmiu zaczęli ich zabijać bez miłosierdzia kijami, że musieli wszyscy iść do lazaretu.

Na które to morderstwa i krzywdy przyznajemy wszyscy, cała komenda i dopraszamy się obywatela Generała, jako Protektora i Komendanta naszego o uczynienie nam sprawiedliwości.”

W tym rozżalonym eposie jakby starotestamentowym — zaznacza Berent — ukrywać się mógł wszczynający się rozruch.

Czy Komendant, obywatel, protektor i komendant w jednej osobie, Henryk Dąbrowski, „uczynił zadość sprawiedliwości” — Berent już nie wspomina. Lecz że pozostał gorzki smak nie znanej im dotychczas Polski, nie ulega wątpliwości. I chociaż rozżalony i rozgoryczony żołnierz legionowy jął potem przedrwiwać słowa Mazurka: „za twoim przewodem wszyscy zemrzem głodem”, albo też: „nas nauczył Bonaparte, jak rabować mamy”, to śląski otrok w mundurze polskiego legionisty przemierzał daleką drogę do tej dziwnej Polski, którą sobie inaczej wyobrażał, lecz której chciał być jednak wierny. I śpiewał, jakby to była pieśń kościelna, odpustowa, pontyfikalna, że jeszcze Polska nie zginęła, bo my żyjemy...

Przewędrowali więc śląc „gemajni” całą Europę, tłukli, kogo im wskazał generał Dąbrowski, a potem wracali na swoje Szląsko jako weterani obwieszani cudzoziemskimi medalami, kuternogi i dziady kalwaryjskie, i od swych panów brali baty na dębowej „barborze”¹¹ za to, że zamiast wracać, kiedy się należało, i odrabiać pańszczyznę, za-

wieruszyli się gdzieś na „polskiej wojnie”. Zupełnie tak samo, jak w opowiadaniu Żeromskiego o żołnierzu tułaczku.

A potem nieraz jeszcze starzykowie, wygrzewający się pod ścianą chałupy w słońcu, nucili osobliwą pieśniczkę o Polsce, która jeszcze nie zginęła, bo oni żyją. Wnukowie dziwili się jej tak długo, aż nadeszła Wiosna Ludów. Wtedy przestali się dziwić.

Gdzieś tam w dalekim świecie trzeszczały trony, w Paryżu, Wiedniu, Berlinie i gdzie tylko wznoszono na ulicach barykady, królowie i cesarze truchleli, wypłowie hasła wielkiej rewolucji francuskiej nabierały znowu rumieńców, a „Marsylianka” stała się ponownie bojowym zawołaniem rebeliantów. Słowem, powiał jakby ogromny wichur z dalekiego świata, wichur pachnący wolnością.

I wtedy śląski otrok uwierzył, że nie czas czuć mu się pokrzywdzonym chłopem pańszczyźnianym, gdyż należy mu się wolność i nie czas być krzywdzonym polskim Ślązakiem.

„Wiosnę Ludów poprzedziły dwa głodne roki, rok 1846 i 1847. Głód był spowodowany — jak pisze Jan Wantuła — nieurodzajem ziemniaków i zboża. Wiosną 1848 roku — pisze dalej — gdy słońce ogrzało ziemię, ludzie wyłazili z chat, istne cienie człowieka, wychudzone, blade, ślaniające się od słaboty. Rozchodzili się koło osiedli szukając źdźbeł ziół i chwastów, jak pokrzywy, jaskru, wydlubywali z ziemi korzonki, by je sparzywszy — spożyć. Z takiego pożywienia ludzie puchli, chorowali, masowo umierali. Obliczono na podstawie metryk, że na Śląsku Cieszyńskim zmarło przez dwa lata głodu do kwietnia 1848 roku przeszło osiem tysięcy osób. Że ludzie tak umierali, iż brakowało desek na trumny. Że w niektórych wsiach wymarły całe rodziny i gdzieś tam nie było komu grzebać zmarłych.”

Ówczesny kronikarz podaje, że „tam, gdzie dawniej byli postawni mężowie, pracowite kobiety i zdrowe dzieci, tam dziś nędzarze. Ojciec leży na barłogu w gorączce, matka płatająca się ledwo i zataczająca od słabości, dzieci jak cienie, szkielety w skórę obleczone, wszyscy półnaczy, wołający o chleb. Ludzie padali z głodu w chałupach, kolumniach, komorach, po polach, zagajnikach, po drogach, często nieopogrzebani, aż smród rozkładających się zwłok zmusza mieszkańców w pobliżu lub przechodzących do usuwania trupów do marowni”.

W okresie więc zupełnej prostracji, kiedy jedni widzieli w klęsce głodu karę boską za bezbożne życie i pijaństwo, karę boską poprzedzoną znakami na niebie, niepokojem wśród ptaków i ponurymi snami proroczymi, zaś inni widzieli przyczynę owej klęski w nieudolności władz nie umiejących jej zaradzić. Wiosna Ludów była dla wszystkich nadzieją, że nastąpią wielkie rzeczy i zdarzenia. A więc, że nie będzie już głodu i że będzie wolność.

Głodu wprawdzie potem już nie było, lecz owa wolność, o której szeptano ukradkiem, o której mówiono po nocach, o której śniono zuchwale, ta wolność miała przed sobą jeszcze bardzo daleką drogę na Śląsk Cieszyński.

Jej poczęcie wyprzedzili dwaj bladzi i kudłaci młodziankowie, byli uczniowie gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie, synowie chłopów z Cieszyńskiego, Paweł Stalmach



Panorama Cieszyna

i Jerzy Cienciąła. Gdy ich koledzy wymykali się z alumnatu przy kościele ewangelickim na Wyszni Bronie, by spotkać się z dziewczyną w „Seufzerallee” podczas księżycowego wieczoru i prawie jej miłosne dusery, tamci dwaj młodziankowie snuli zuchwałe plany. Wiedzieli, że nadchodzą rzeczy wielkie, że trzeba im wyjść naprzeciw. Ale jak i kiedy?

Uwierzyli w magię książki. Dotychczas książki gadały Ślązakowi szumnie i dostojnie kaznodziejskim językiem o zbawieniu jego zgrzebną duszą. A więc postylle, biblie, kancjonały, apokalipsy, a więc pistolety do zabicia grzechu śmiertelnego, a więc ścierki na otarcie języków heretyckich, a więc wojsko serdecznych nowo rekrutowanych na większą chwałę Boską afektów, a więc wierność Bogu y cesarzowi czasu morowego powietrza należąca, a więc gdacjuszowskie kazania pokutne — sporo ich było, a wszystkie skrętnie zabiegające, by czytelnikowi zapewnić koronę niebieską po śmierci. Żadna jednak nie mówiła o codziennym żywobyciu, a przede wszystkim nie mówiła o Polsce. Tymczasem to słowo Polska stało się już synonimem wszelijkich cnót, przywilejów i wolności ludzkiej, i szlachetnego dobra.

Skąd się o niej dowiedzieli tamci dwaj młodziankowie i dlaczego zamiast durzyć się w nadobnych dziewczeczkach cieszyńskich zadurzyli się w wymagowanej Polsce — nie wiadomo. Widać jakimś cudem dotarły do nich książki z Galicji, wiersze, poematy, „Ballady i romanse”, „Sonety Krymskie”, „Konrad Wallenrod”, a przede wszystkim „Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego” niejakiego Adama Mickiewicza i zawróciły im do imentu gorące głowy.

Postanowili przeto powędrować do Krakowa po owe przedziwne książki „jakby dwaj Argonauci do Kolchidy po złote runo” — jak to określili ich koledzy spóźnioną nieco rokokową manierą. I powędrowali. Był to czyn zuchwały, jako że podówczas zakończyła swój nietrwały żywot marionetkowa Rzeczpospolita Krakowska i po drogach wałęsały się oddziały wojsk austriackich, pruskich i rosyjskich. By dojsć swobodnie do Krakowa, trzeba było posiadać paszport, a Stalmach i Cienciąła nie mieli paszportu. Przemykali przeto bokami, miedzami, zagajnikami, chyłkiem, ukradkiem i po kilku dniach dotarli do Krakowa, który miał się stać odtąd słąską Mekką. Krakowscy mieszczanie mocno się dziwili dwom młodziankom, chodzącym od drzwi do drzwi, pukającym i proszącym zamiast o cwancygiera — o książki. A że mieli sporo turbacji na głowie, jako że austriaccy wojacy podziurawili im Wawel kulami armatnimi, gdyż powstanie krakowskie zakończyło się klęską, że mieli więc wiele kłopotów na skołatanej głowie, przeto zbywali tamtych młodych cudaków byle jaką książką. Żeby się od nich odczepić. Bo wiadomo, moja pani, że to mogą być jakieś szpiony, tym snadniej, że gadają po polsku, tylko jednak jakoś inaczej.

— Kto wy jesteście? — pytali niektórzy.

— Polacy ze Śląska! — odpowiadali młodziankowie.

— To na Śląsku są Polacy? — dziwili się bardzo.

Nie można się dziwić, że oni się dziwili, gdyż dziwiono się w całej Polsce. Jan Stanisław Bystron w swych „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce” pisze: „Na Śląsku nie było



Paweł Stalmach

szlachty polskiej, więc kraj ten społeczeństwa szlacheckiego nie interesował. Ale zresztą lud polski Śląska nikogo w Polsce nie interesował, nikt o nim nie wiedział, chyba że ktoś ze Ślązaków do Korony się przesiedlił jako żołnierz w regimencie cudzoziemskim czy też jako kolonista. Patrzono na nich z pewnym odcieniem niechęci jako na ludzi z zagranicy, mówiących dialektem, mających inne zwyczaje i nasiąkłych wpływami niemieckimi. Miał kto nieco historycznych wiadomości, to wiedział coś o przeszłości polskiej Śląska, ale i tak uważał kraj ten za stracony dla Polski; niejeden też podróżny, który spieszenie przez Śląsk przejeżdżał, musiał się zdziwić słysząc u ludu język polski.” Opisuje nam Karpiński, jak to, jadąc do Wiednia, opuszcza Białą, ostatnie miasteczko polskie, i przyjeżdża, minąwszy granicę do Bielitz, nie wiedząc całkiem, że to Bielsko, i potem dziwi się, że spotkany po drodze wieśniak, zapytany o drogę do Oderberga, dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zwie się Bogumin po dawnemu. Ten mój język, pozostały między pospólstwem — dodaje sentymentalnie Karpiński — potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowian, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym.”

Stalmach i Cienciąta ubierali około stu książek, włożyli je do dwóch worków i ruszyli ku domowi. Jakiś zacny Żyd pomógł im przemycić je przez komorę celną na moście

wiodącym z Krakowa do dawnego Josefstadt, czyli do Podgórze, i to za mizernych 50 centów. A potem szli i szli miedzami, opłotkami, bokami, by nie spotkać austriackiego żandarma, aż doszli ze swą cenną kontrabandą do Cieszyna. Było to dnia 23 sierpnia 1847 roku, czyli ich wyprawa trwała dziewięć dni.

Po prawdzie bezpośrednią przyczyną onejże wyprawy było co innego, nie mniej wzniosłego i chwały godnego. Pisze o tym w swych wspomnieniach Andrzej Cinciała, podpisujący się najczęściej i przez kronikarzy notowany jako Cinciała: „Było to w roku 1847, kiedy zawiął na Śląsk polski wiatr, a młodzież gimnazjum ewangelickiego powzięła myśl założyć stowarzyszenie pod nazwą Towarzystwo uczących się języka polskiego na ewangelickim gimnazjum w Cieszynie. Członkami tego towarzystwa byli, z małymi bardzo wyjątkami, synowie rolników śląskich, mówiących językiem polskim, jakiego nasz lud na wsi używa. Nie było tu tedy wielkiej trudności w nauce, jedyna trudność była ta, iż Towarzystwo nie posiadało żadnych książek, ani gramatyki, ani słownika, ani wypisów lub jakiegokolwiek innej książki, z której by języka polskiego i literatury uczyć się było można. Biblioteka gimnazjalna nie posiadała żadnych polskich książek; w całym Cieszynie i na całym Śląsku nie można było dopytać się o książki polskie, bo ich wcale nie było; nawet w szkołach nie było polskich książek, a w szkołach większych uczono lud polski po czesku...”

Cóż to były za książki, których tak bardzo łaknęli członkowie „Towarzystwa uczących się języka polskiego na ewangelickim gimnazjum w Cieszynie”? Była przede wszystkim gramatyka języka polskiego, były „Wieczory pod lipą”, trochę tekstów literackich ze „Śpiewami historycznymi” Niemcewicza i trochę popularnych powiastek ludowych. Może były jeszcze inne, lecz nie wszystkie dochowały się w Muzeum Miejskim w Cieszynie. Owo zacne „Towarzystwo uczących się języka polskiego” po roku przemianowało się na „Towarzystwo Cieszyńskie dla wydoskonalenia się w języku polskim”, a następnego roku przekształciło się w „Towarzystwo Czytelni Ludowej w Cieszynie”.

Innymi słowy książki te stały się załączkiem pierwszej publicznej czytelnicy polskiej na Śląsku Cieszyńskim.

W rok później, bo w roku 1848, powstała podobna czytelnicy polska w Bytomiu.

Celem cieszyńskiej „Czytelni Ludowej” było „dobro ludu przez pouczanie” i dlatego przezwano ją „Biblioteką ludu kraju cieszyńskiego”. Lękały się jej władze austriackie, pragnące „odkuć” się za ustępstwa wymuszone przez rebeliantów podczas Wiosny Ludów, więc ustępstwa te zniosły lub ograniczyły, a „Bibliotekę ludu kraju cieszyńskiego” rozwiązały w roku 1855, księgozbiór zaś włączyły do biblioteki Szersznika.

Któż to był ten ks. Leopold Szersznik?

W Cieszynie przy ulicy Szersznika jest stara kamienicy z napisem greckim uformowanym według ówczesnej manieri, bo w roku 1800: „Psyches jatrejón”, co dla nielicznych biegłych w greczyźnie znaczyło tyle co „Lecznicy dusz”. W owej kamienicy ks. Ludwik Szersznik, cieszyński, mąż głębokiej nauki, miłośnik ksiąg i dobrych uczynków, pozostawił swój poważny księgozbiór, złożony z dzieł naukowych drukowanych w różnych językach. Było tam między nimi kilka polskich białych kruków o wielkiej biblio-

Cena w miejscu:
całorocznie 1 zł.
półrocznie 2 zł.
czwarterocz. 1 zł

Pocztą:
całorocznie 1 zł 60 k.
półrocznie 2 zł 30 k.
czwarterocz. 1 zł 15 k.

GWIAZDKA CIESZYŃSKA.

Za ogłoszenia

plac się po 6 k.
wiersza ogłoszenia
tak samo 30 k.
za każdą linię
nadmiarową

Wychodzi co tydzień

W Cieszynie
dnia 5. stycznia.



1867. Rocznik 20.

Pismo poświęcone nauce, przemysłowi, zabawie i wiadomościom politycznym.

Nr. 1.

Zarozumiałość ukarana.

Powieść dla ludu, napisała E. z K. P.

Skazanie I.

W jednej z najpiękniejszych okolic, naszej kochanej polskiej ziemi, tuż przy dość znacznym i porządnym miasteczku jest rozległa wiosła złożona z samych gospodarstw chłopskich, których zamożność słynną jest niemal w całym kraju. Jak się to miasteczko i ta wiosła nazywa, powiedzieć wam nie chcę i nie mogę, bo byście się gotowi różnych rzeczy domyślać, a ja tego wcale nie lubię.

Opodal wioski płynie rzeczka mała wprawdzie, ale bardzo bystra, a nad nią stoi wodny młyn, którego kłopotanie rozlega się po dolinie bardzo wesolo, zwłaszcza wieczorem, kiedy już wszystkie inne rozruchy umilkną i wszystko co żyje na spoczynku podąży. Przy młynie jest piękne zabudowanie gospodarskie składające się z domu mieszkalnego, stodoły i kilka chlewni. Około domu jest duży sad ogrodzony parkanem, po którym pną się dnie rozmaitych gatunków i wielkości, dalej groch biały na wysokich tyczkach tworzy eienne chodniki. Nie zhywa też tam na grządkach z szałwiami kwiatkami, ścieżki są wysypane białym piaskiem żwirowym, jest też kilka altanek z chmielu i dzikiego wina. Na płocie pieje kogut, po stawku na podwórzu pływa gromada pstrych kaczek i ślicznych bielutkich gęsi, okolo kurników stapa wyniosło stado dużych kur kochińskich, które swym ochryplym głosem chcą zagłuszyć grzechanie gołębi, co w zielono malowanym gołębniku mieszkają na środku podwórza. Przed domem śpi na słońcu stary bryś, wierny stróż domowy, wypoczywając sobie po nocy na czuwaniu spędzonej. W sadzie wyspiewują weselo słowiki, jaskółki i wróble uwiłają się pomiędzy gałęziami drzew obsypanych dojrzewającym owocem. Za sadem zaś rozciągają się urodzajne pola i kwieciste łąki. Słowem wszystko tutaj świadczy o zamożności gospodarza.

Tak przynajmniej było przed kilku laty, dopóki jeszcze to wszystko należało do młynarza Andrzeja Szyguly. Lecz wiecie kto teraz tego wszystkiego jest właścicielem? Powiem wam moi mili, ale z wielką boleścią w sercu, boć to każdego, kto ma polską duszę i dobre serce, okropnie boleć musi, otóż w rękę Jakóba Szmula, bogatego kupca z miasteczka.

Zamyślał więc opowiedzieć w krótkości, przez co przyszedł stary Szygula do tego, że oddał swoją pa-

seiznę po przodkach w żydowskie ręce. Wiem bardzo dobrze, że już nieraz słyszeliście podobne historie, a może i przypatrywaliście się z bliska podobnym zdarzeniom, lecz nie zawadzi wam posłuchać i tego tu opowiadania, boć to podobno kto chce, może z każdej powieści, choćby i najnudniejszej wyciągnąć jaką zabawianą naukę dla siebie.

Pradziad Andrzeja Szyguly dostał całe to gospodarstwo w nagrodę za wierne usługi od pana starosty (nie pamiętam jakiego nazwiska). Dziad zaś wybudował młyn nad rzeczką, do czego go także państwo nie mówili i wiele mu dopomogli; ojciec rozprzestrzenił dom i kazał go pokryć dachówką, gdyż dawniej był na nim tylko dach słomiany. Przodkowie Andrzeja byli to jeden w drugiego poczciwi i pracowici wieśniacy, i doskonale im się też wiodło. Zwożono im z całej okolicy zboże do mielenia, boć zawsze z wodnego młyna piękniejsza mąka niż z wiatraka, a o tych kunsztownych młynach co to się przez parę poruszają, jeszcze się wówczas ani nikomu nie śniło.

Więc też gdy Andrzej, jednak, odziedziczył po ojcu ten młyn i gospodarstwo, uważano go za najmądrzejszego w całej okolicy i klaniano mu się nizinie; a gdy się w mieście pokazał, kto mógł, przycepił się do niego, bo Andrzej częstował bardzo hojnie, lubo sam nigdy wódki do ust nie wzięł i tylko na piwie przestawał. Wszystkie też matki nie tylko z przyległej wioski, ale i z okolicy byłyby mu dały z duszy i serca swe córki za żony; nawet najbogatsze gospodynie oglądały się za nim. Ale Andrzej będąc dość zamożnym, niepotrzebował szukać żony dla pieniędzy, wybrał więc sobie ładną młodą dziewczynę Hankę, córkę ubogiej komornicy z przyległej wioski, co nigdy w mieście nie służywała, ożenił się z nią, i był bardzo szczęśliwy.

Lecz widzimy w życiu bardzo często przykłady, że prawie zawsze czegoś do zupełnej szczęśliwości brakuje. I tak tego człowieka, co żyje w ubóstwie, Bóg często obdarzy liczną rodziną; bogaci zaś, choćby całe swe mienie za kilka potomków oddali, nie mogą się ich dochowad; i albo im dziatki umierają, lub im też Bóg całkiem tego szczęścia odmówi.

Tak też i poczciwi Andrzejostwo bardzo długo za potomstwem czekać musieli. Odprawiali nie jedną pielgrzymkę na cudowne miejsca Matki Boskiej i świętych patronów swoich, nie jedną cichą łzę wylała Hanka na

filskiej wartości, a między nimi rękopis „Orlanda szalonego” Ariosta w przekładzie Piotra Kochanowskiego i średniowieczny gradual z jednym z wcześniejszych tekstów „Bogurodzicy”.

Władze austriackie więc, uważając polską „Bibliotekę ludu kraju cieszyńskiego” za rozsądnik zuchwałych zamysłów rebelianckich, zlikwidowały ją, a wszystkie jej książki włączyły do księgozbioru Szersznika. Przynajmniej tyle dobrze, że nie poleciły ich spalić na stosie.

Po sześciu jednak latach, bo w roku 1861, ci sami ludzie ze Stalmachem na czele, którzy byli założycielami „Biblioteki ludu kraju cieszyńskiego”, tworzą „Czytelnię Ludową”, której długoletnim prezesem staje się dr Andrzej Cieniada (Cinciada), notariusz cieszyński od roku 1881. Ślązacy z Cieszyńskiego mieli więc znowu swoją „Czytelnię”, lecz musieli się z mozołem zaprawiać do czytania jej książek. Książki bowiem, jakich używano na Śląsku, a więc przede wszystkim dewocyjne, kancjonały i książki szkolne były drukowane szwabachą.

Stalmach uczynił wyłom w owej szwabasze i swój „Tygodnik Cieszyński”, przemianowany później na „Gwiazdkę Cieszyńską”, drukował czcionkami łacińskimi. Innymi słowy, Stalmach zaczął uczyć Ślązaków łacińskiego alfabetu. „My Ślązacy — pisze on w odezwie do czytelników „Tygodnika Cieszyńskiego” — nie mamy dla naszego użytku a wykształcenia książek szwabaskimi literami pisanych, oprócz kilku dawniejszych. Musimy zatem uciekać się do polskich książek, a te są łacińskimi literami drukowane.”

„Czytelnia Ludowa” mieszcząca się w domu „Pod Żłotym Wołem” stała się ośrodkiem życia polskiego w Cieszynie, promieniującego na całą Ziemię Cieszyńską. Książek jednak było wciąż mało i mało. Z pomocą przychodzi wtedy Józef Ignacy Kraszewski, zasilając ją pół setką własnych powieści, i polscy księgarze, między którymi byli Ślązacy, jak: Milikowski, Jeleń, Pelar, Starzyk i inni.

To wszystko działo się o wiele lat później od tamtej chwili, gdy Paweł Oszelda stał się heroldem Wiosny Ludów na Ziemi Cieszyńskiej w roku 1848.

Wychowankowie ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie, synowie ewangelickich i często katolickich chłopów z Cieszyńskiego udawali się najczęściej na dalsze studia na uniwersytet wiedeński, nie wydział teologiczny lub medyczny. Gdy jęły do nich docierać ponure wieści o tyfusie głodowym na Śląsku, jeden z nich, medyk Paweł Oszelda, syn chłopca z Nieborów na dzisiejszym czeskim Śląsku, zorganizował swych 120 kolegów w związek o nazwie „Silesia”, którego celem było niesienie pomocy głodującym rodakom. Chodziło tu o żywność i pieniądze zbierane wśród wiedeńczyków. Potem jednak wybuchła w Wiedniu rewolucja, gdyż przejadły mu się drakońskie rządy kanclerza, księcia Klemensa Metternicha. Wzburzone tłumy jęły wznosić na ulicach barykady, krzyczeć, śpiewać pieśni wielce rewolucyjne, tłuc szyby okienne, wysyłać Metternicha do wszystkich diabłów lub zgola na szubienicę i strzelać.

Wojsko także strzelało i zdobywało z trudem barykady.

Prerażony cesarz Ferdynand I Dobrotliwy, leciutko pokrzywdzony na umyśle (jak twierdzą historycy), uciekł do Ołomuńca, Metternich za granicę, a na wiedeńskich



Dr Andrzej Cienciało

barykadach dwoili się, troili śląscy akademicy z medykiem Pawłem Oszeldą na czele. A gdy w końcu cesarz Ferdynand I Dobrotliwy wydał nową konstytucję — co świadczyło pochlebnie o jego umyśle — i gdy na świecie rozpętała się sroga zawierucha rewolucyjna (podobne rebelie ogarnęły Włochy, Niemcy, Węgry i Galicję), która pozbawiła tronu króla francuskiego, Ludwika Filipa II, gdy generałowie Dembiński i Bem pomagali Węgom w walce o wyzwolenie spod austriackiego panowania, gdy Garibaldi i Mazzoni utworzyli wolną Republikę Rzymską i gdy Karol Marks ogłosił w Londynie „Manifest Komunistyczny”, a bielski książę, Ludwik Sułkowski, potomek bastarda spółzonego przez Augusta II Mocnego z jakąś niemiecką grefiną, ruszył na czele bielskiej gwardii na odsiecz wiedeńskim rebeliantom — za wiele było tego dla rozwichrzonej głowy i gorącego serca Pawła Oszeldy.

Udał się więc na swój Śląsk Cieszyński z bojowym zawołaniem: „Póđźmy bracia, a zróbmy koniec niewoli!”

Tymczasem Pan Bóg był wysoko, najjaśniejszy pan cesarz Ferdynand I daleko, a blisko była cieszyńska Komora arcyksiążęca, czyli zarząd dóbr popiastowskich, odziedziczonych po ostatniej księżnej cieszyńskiej, Elżbiecie Lukrecji, przez dwór habsburski. Obejmował on 143 wsi wraz z Beskidami. Wcale się nie kwapił z respektowaniem jakiegś tam konstytucji cesarza, który był przecież upośledzony na umyśle.

Wprawdzie Paweł Oszelda mógł się jeszcze opamiętać, przywołany do rozsądku niepowodzeniem księżęcej gwardii bielskiej. Dojechała ona bowiem tylko do Przerowa, gdzie austriacy wojacy rozbroili ją, zabrali jej flinty i „cielećniki”¹² ze szperką i wódką, a zostawili jedynie bęben i kazali wracać do domu. Książę Sulkowski zaś jako polityczny infamis, musiał szukać azylu za granicą.

To zdarzenie mogło opamiętać Oszeldę, lecz nie opamiętało. Jął bowiem organizować po wsiach gwardie ludowe, zwoływał zebrania, agitował, tłumaczył zdumionym chłopom, że nadszedł kres niewoli. W końcu zwołał do Solarni w Cieszynie wielkie chłopskie rzesze na wiec, pierwszy w historii Śląska. Na owym wiecu nawoływał do niesienia pomocy wiedeńskim rebeliantom, gdyż od ich zwycięstwa zależny jest rychły koniec niewoli, podburzał do zbrojnego powstania przeciwko Komorze arcyksiążęcej i panom, i poczynął sobie szumnie i hyrnie, jakby był synem Ondraszka, zbójnika śląskiego, który „równał świat”, gdy brał bogatym, i rozdawał ubogim.

Oszelda chciał także równać świat, tym bardziej, że miał za sobą cesarskie słowo konstytucyjne. Ostatnie słowo miała jednak cieszyńska Komora arcyksiążęca. Za jej sprawą wytoczono mu proces i został skazany na pokutę w podziemnych kazamatach na Szpilbergu koło Brna na Morawach.

Przebywał w nich cztery lata, po czym na mocy amnestii najjaśniejszy pan cesarz darował mu tak wielką przewinę i Oszelda wyszedł ze Szpilberga na wolność wraz z nabytą gruźlicą. Powołany następnie do służby wojskowej jako lekarz bierze udział w bitwie pod Solferino, gdzie spotyka się ze szwajcarskim lekarzem, Henrykiem Dunantem. Henri Dunant, wstrząśnięty okropnością bitwy, o której nawet na Śląsku śpiewano, że

*... była bitwa, była przy Solferinie,
gdzie krew wojaków potokami płynie!*

wstrząśnięty tym widokiem tworzy międzynarodową organizację Czerwonego Krzyża, a Paweł Oszelda dogorywa na gruźlicę w garnizonie węgierskim w Oedenburgu-Sopronie i umiera w czterdziestym pierwszym roku życia.

Jego rewolucyjny i Ondraszkowy posiew nie zmarniał jednak. Jął powoli kiełkować i schedę po nim przejął Paweł Stalmach. Stał się on głośny na całym Śląsku w roku 1848, gdy na kongresie słowiańskim w Pradze zadeklarował wobec wszystkich delegatów słowiańskich narodów, że „my Ślązacy tylko do polskiej sekcji należeć chcemy”, jako że delegację śląską chciała przygarnąć sekcja czeska. Domagał się też „spojenia losów Śląska z losami Polski, gdyż przez to spojenie Ślązacy spodziewają się wszystkich konstytucyjnych swobód, jako to: wolności, równości wiary, swobodnej prasy, równości

w obliczu prawa tak użytego, jak przyrodzonego, więc zniesienia pańszczyzny, której niemieccy panowie żadnego współczucia ku ludowi polskiemu nie mający, a dlatego dla dobra kraju nie czyniący, żadnym sposobem uleczyć nie chcą. Z takowemi żądaniami przytulając się Ślązacy do grona Słowiaństwa wzywają Słowian jako braci do podpierania żądania ich”.

Próżne to było żądanie, bo feldmarszałek Windischgrätz rozpedził kongres, a Pragę zbombardował, jako że prążanie jęli naśladować wiedeńczyków.

Paweł Stalmach nie opuszcza jednak rąk. Wraca do Cieszyna i zaczyna wydawać „Tygodnik Cieszyński”, a w roku 1885 przy współudziale ks. Ignacego Świeżego, ks. Jana Sikory, lekarza dr. Fischera, notariusza Andrzeja Kotuli, adwokatów: Jana Michejdy i Joachima Kleinberga, rolników: Franciszka Halfara i Jana Sztwiertni, oraz nauczyciela Alfreda Brzeskiego zakłada Macierz Szkolną Księstwa Cieszyńskiego.

Głównym jej celem było przeciwstawianie się germanizacji młodzieży śląskiej w niemieckich szkołach wydziałowych (Bürgerschule) i gimnazjach. Młodzież ta bowiem spadała dla polskości i tylko nieliczne jednostki potrafiły się oprzeć germanizacji.

Na Śląsku był brak polskiej inteligencji. Nie było ani naszych lekarzy, ani prawników, ani inżynierów, aczkolwiek śląska młodzież wybierała te zawody. Po ukończeniu studiów, a raczej jeszcze w trakcie ich trwania, stawała się z „deutschfreundlichen Schlesier” – „deutschgesinnten Schlesier”, lub po prostu taki biedaczyna z przewróconą głową gadał o sobie, że jest „der Schlonsak”, by wreszcie głosić, iż jest Niemcem. Przeszkadzało tylko i psuło dobre wrażenie polskie nazwisko. Starano się przeto zmienić jego pisownię w taki sposób, by wzrokowo robiło wrażenie nazwiska niemieckiego. A więc na przykład taki Jan Kowol jął się podpisywać Hans Kowoll, Franciszek Mańka przemienił się na Franza Mainkę, taki Wojciech Buzek puszył się bombastycznym nazwiskiem: Adalbert Buscheck.

Jedynie nieliczni księża katolicy i protestancy przyznawali się otwarcie do narodowości polskiej i przyłączali żarliwie do akcji wszczętej przez Stalmacha i jego towarzyszy. Reszta, zwłaszcza kler katolicki, zależny od wrocławskiego kardynała Koppa, a później po jego śmierci od kardynała Bertrama, jako że kościół katolicki na Śląsku Cieszyńskim należał do diecezji wrocławskiej, reszta tych księży uznawała wygodną neutralność w sprawach narodowych. Byleby swoją bożą szychtë odwalić i zbyte! A poza tym dajcie mi święty spokój!...

Podobnie miała się rzecz z nauczycielami w śląskich szkołach ludowych. Byli to Ślązacy, wychowankowie niemieckiego seminarium nauczycielskiego, uważający się albo za Niemców, albo tylko za „Szlazoków” nie mających nic wspólnego z narodowością polską. W szkole uczyli w języku polskim, lecz ten ich język, Boże się pożał! Był to albo jakiś cudaczny żargon polsko-niemiecki, albo gwara śląska najgorszego gatunku.

Oto jak wyglądał język takiego nauczyciela polskiej szkoły ludowej na cieszyńskiej wsi:

„Ty, synek, leć gibko do Frau Oberlehrerin, a powiedz, żeby sztubmedla przyniosła od masorza pięć jelit, a potem żeby mi wypucowała winterok. Ale na vorhauzie!... A po-

tem pójdiesz na banhof, a jak cug przyjdzie, to sie dziwej, czy moja Tante nie przyjechała!”

Lecz i między tymi umysłowymi kalekami byli nauczyciele, którzy wprawdzie ukończyli niemieckie seminarium, lecz czuli się Polakami. Nazywano ich „narodowcami”. Byli oni awangardą polskiego ruchu narodowego i społecznego na Ziemi Cieszyńskiej.

Śląsk Cieszyński nie miał więc żadnej polskiej szkoły średniej. Ani gimnazjum polskiego, ani seminarium nauczycielskiego.

— Musimy mieć polskie gimnazjum! — padło raz hasło na walnym zebraniu Macierzy Szkolnej. — Przede wszystkim gimnazjum!...

Potrzeby jego istnienia nie trzeba było dowodzić. Wszyscy bowiem wiedzieli, że jak długo nie będziemy posiadali własnej inteligencji, a więc lekarzy, sędziów, adwokatów, inżynierów i nauczycieli, wszelki wysiłek, zmierzający do ratowania zagrożonej polskości, diabli wezmą!...

I walne zebranie Macierzy Szkolnej uchwaliło utworzenie prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie. Bo o państwowym nie można było nawet marzyć.

Przez dziesięć lat zbierano nań fundusze i przez dziesięć lat trwała walka o jego powstanie. Cieszyńscy Niemcy z dyrekcją Komory arcyksiążęcej na czele robili wszystko, by nie dopuścić do jego założenia. Robiła to przede wszystkim prasa, jak osławiony „Nowy Czas”, szmatławiec, redagowany w języku polskim, lecz w niemieckim duchu szowinistycznym, założony przez dyrektora szpitala krajowego w Cieszynie dr. Hasego, oraz cieszyńska „Silesia”. W sukurs przychodziły im „Wiener Montagsblatt”, „Wiener Tageblatt” i „Neue Freie Presse”.

Czego w tej prasie nie było? Wszystko było: a więc kłamstwa, igrastwa, demagogia, sofistyka, plucie, gest Katona rozdzierającego szaty, był *Hannibal ante portas!*, był „koń trojański” i zagłada niemieckiej „Troj cieszyńskiej”, były szczucia, podjudzania, oszczerstwa, szkalowania, zdechłe psy wieszane na poszczególnych polskich działaczach, był płacz Niobe nad umarłymi synami, bluzganie błotem...

Sprawa rozegrała się na forum austriackiego parlamentu w Wiedniu. Poselskie Koło Polskie trochę szantażem politycznym, trochę zręczną filipiką przeprowadziło uchwałę, zezwalającą na utworzenie prywatnego polskiego gimnazjum w Cieszynie.

Działo się to 10 października 1895 r.

W wynajętej kamienicy cieszyńskiego kupca i radnego Mattera pomieściło się więc owo gimnazjum, pierwsze polskie gimnazjum na Śląsku. Przez osiem lat, bo aż do roku 1903 Macierz Szkolna wiązała z trudem koniec z końcem, by je utrzymać. Zdołała wyjść zwycięsko z tych kłopotów dzięki znacznym funduszom uzyskanym od Ignacego Bagińskiego z Odessy, który dorabiał się fortuny na nafcie, od Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii, od dr. Hasewicza z Warszawy, od Komitetu Fundacji im. Tadeusza Kościuszki we Lwowie, a przede wszystkim od wielkiego jałmużnika — jak go przezwano — mecenasa Antoniego Osuchowskiego z Warszawy.

Chłopi cieszyńscy także wspierali je w miarę możliwości, podobnie jak to czynili górnicy karwińscy i hutnicy trzynieccy. Gdy bowiem górnicy i hutnicy odkładali po kilka

swoich wdowich groszy i muzernych zarobków dla Macierzy Szkolnej, to chłopci zwozili do dyrekcji gimnazjum kapustę, ziemniaki, mąkę, chleb, gęsi, kaczkę, jajka i masło jako dar dla „studentów” w polskim internacie. „Żeby syny nie głodowali, a dobrze się uczyli!” — mawiali.

„Syny” starali się dobrze uczyć — a było ich 74 — gdyż wiedzieli, że od wyniku ich pierwszej matury zależy upaństwowienie szkoły. I chociaż zjechała sroga komisja, pragnąca dostrzec plamę na słońcu i dziurę w całym, oraz kompromitujące braki w wykształceniu — nic nie znalazła. Przeciwnie, musiała przyznać, że wynik matury był bardzo dobry.

I ta matura istotnie zaważyła na upaństwowieniu gimnazjum.

Dyrekcja bowiem otrzymała pismo od władz z doniesieniem, że „Jego cesarska i królewska apostolska Mość najwyższym postanowieniem z dnia 14 sierpnia 1903 raczył najmiłościwiej zezwolić, by zakład tutejszy przeszedł z dniem 1 września 1903 na etat państwowy”.

I podobnie jak rok 1848 stał się rokiem przełomowym w dziejach Ziemi Cieszyńskiej, tak znowu rok 1903 stał się przełomowy w dziejach pierwszej chłopskiej i robotniczej inteligencji na Śląsku Cieszyńskim.

Śląskie serca zaś rosły z radości, że „wiatr polski — o którym pisał Cienciąła w roku 1847 — zapylił polskie kwiaty nad Olzą”.

*Płyniesz Olzo po dolinie, płyniesz jak przed laty,
Takie same na twym brzegu kwitną wiosną kwiaty...*

Śpiewał nauczyciel z Gnojnika, Jan Kubisz, autor poezji pt. „Z niwy śląskiej” i „Pamiętnika starego nauczyciela”. Jego pieśń stała się hymnem narodowym Ślązaków z Cieszyńskiego, śpiewanym uroczyście i z takim samym namaszczeniem, jak śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła” lub „Boże coś Polskę”, lub „Czerwony sztandar”.

Czerwony sztandar już bowiem zaczął powiewać w Zagłębiu Karwińskim obok sztandaru biało-czerwonego.

W tym okresie pisarz niemiecki w Styrii, Peter Rosegger, rzucił hasło: „Zwei Tausend gleich zwei Millionen!”. Chodziło tu po prostu o zbiórkę funduszy na „Schulverein”, i by każdy, kto może, ofiarował dwa tysiące koron, a wnet zbierze się dwa miliony, za które będzie można wybudować niemieckie szkoły w krajach monarchii austriacko-węgierskiej o ludności słowiańskiej. Szkoły takie nazywano na Cieszyńskim „rozege-rórkami”.

W miarę budzenia się świadomości narodowej wśród Ślązaków, Niemcy, mający poparcie u władz państwowych, a przede wszystkim u Komory arcyksiążęcej, przypuścili szturm na polskie co tylko zdobyte pozycje.

A więc „Nordmark” hodował najzagorzalszych szowinistów, zwłaszcza wśród młodzieży z niemieckich szkół średnich. W sklepach można było nabyć zapalki jedynie tzw. „nordmarkowskie” z napisem na nalepce: „Gedenke, dass du ein Deutscher bist!”

Część dochodu była przeznaczona na cele germanizacyjne. „Turnverein” zaprawiał niemiecką i renegacką młodzież do rozbijania polskich zgromadzeń, wieców i przedstawień, ba, nawet do napadów na polski Dom Narodowy w Cieszynie. „Gesangverein” jął propagować niemieckie pieśni, a między nimi „Wacht am Weichsel”, „Beskidenverein” założony w roku 1893, zainicjował turystykę w Beskidzie, dotychczas prawie nie znanym przez „dolan”, lecz ruch ów miał również cele wyłącznie germanizacyjne. A „Nowemu Czasowi” i „Silesii” przyszedł z pomocą osławiony „Ślązak” wydawany w Skoczowie przez nie mniej osławionego Józefa Koźdonia, nauczyciela w polskiej szkole w Międzyświeciu.

I teraz te trzy pisma: „Nowy Czas”, „Silesia” i „Ślązak” wylazły ze swych szpalt z gniewu i nienawiści, bo Niemcy widzieli, że następuje początek zmierzchu ich panowania. Czytając te pisma, odnosiło się wrażenie, że trzy wściekłe psy ujadają spoza płotu na przechodnia.

Jest wschodnie przysłowie, które powiada, że „psy szczekają, a karawana jedzie dalej”. Polska karawana także jechała dalej.

Z chwilą przejścia gimnazjum na etat państwowy, Macierz Szkolna pozbyła się największego kłopotu i teraz, biorąc sobie do serca odezwę Petera Rosseggera, postanowiła zakładać prywatne polskie szkoły tam, gdzie ludność polska była ich pozbawiona.

Mało!

Macierz Szkolna jąła teraz tworzyć na całym Śląsku Cieszyńskim Koła Macierzy Szkolnej, werbować członków, zakładać przy każdym Kole biblioteki, tworzyć kółka amatorskie — dzisiaj nazwalibyśmy to teatry ludowe, koła śpiewacze, czytelnie, a przede wszystkim szkoły i ochronki.

Równocześnie z Czytelni Polskiej w Cieszynie, z której urodziła się Macierz Szkolna, jąły wychodzić takie towarzystwa, jak Towarzystwo Rolnicze, Towarzystwo Pomocy Naukowej, Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek

Okladka jednej z jarmarcznych broszur, wydawanych swego czasu przez księgarnię Feitzingera w Cieszynie

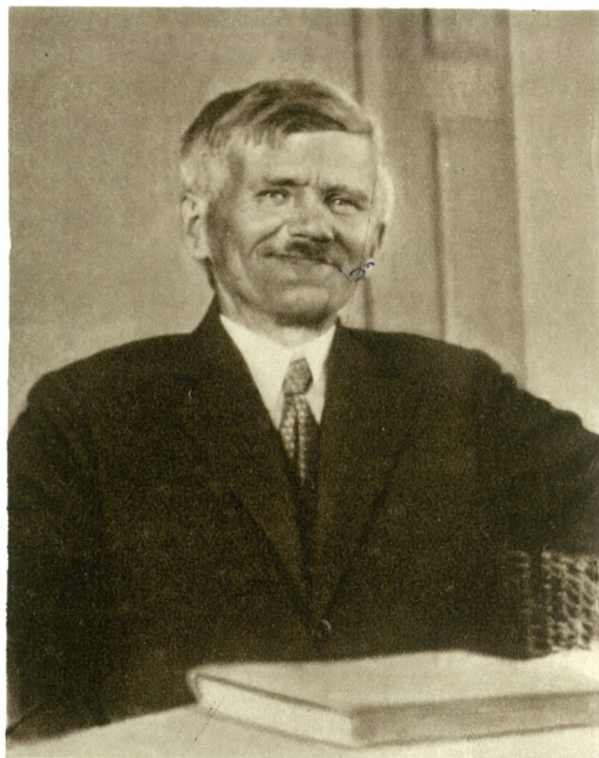
Dziewica Orleańska.

Opowieść historyczna
z zamierzchłych dziejów Francji.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.



Jan Wantula

i w końcu Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra, które do roku 1939 wydało 35 kalendarzy i 120 książek oraz posiadało własną drukarnię.

Podobną do Dziedzictwa placówką było Towarzystwo Ewangelickie Oświaty Ludowej, kierowane przez wybitnego przywódcę polskich ewangelików, ks. Franciszka Michejdę, pastora w Nawsiu. Owo Towarzystwo wydawało pisma: „Przyjaciel Ludu”, „Rolnik Śląski”, „Przegląd Polityczny” i kalendarze ewangelickie.

Kalendarze polskie były potrzebne, gdyż firma Steinbrenner w Czechach zalewała dotychczas Śląsk Cieszyński tego rodzaju kalendarzami, jak: „Przyjaciel Żołnierza”, „Pociecha starości”, „Kalendarz Uniwersalny”, „Kalendarz Wszechświatowy” i „Kalendarz Maryański”. Były one pisane koślawą polszczyzną w duchu austriackim.

Niemiecka zaś firma wydawnicza Feitzingera w Cieszynie wydawała straganowe broszury o różnych Robertach Diablach, Meluzynach, Rinaldach Rinaldinich, senniki egipskie i chaldejskie, czarne magię, ponure brechty o Hugonie Szenku — wiedeńskim niewiastobójcy, o diablach, wisielcach, wiarołomcach, sowizdrzałach, pielgrzymach, lampach Aladyna, Sezamach i Ondraszkach. Były to słynne na całym Śląsku Cieszyńskim „feitzingerówki”, sprzedawane przez kramarzy podczas odpustów kościelnych

i na jarmarkach. Poza tym docierali tu jeszcze starozakonni z Chrzanowa z tasiecowymi powieściami o takich tytułach, jak: „Hrabina żebraczka czyli tajemnica kamerdynera” lub „Piękna dziewczyna fabryczna czyli uciśniona niewinność”, lub zgola „Tajemnica żebraka czyli duchy starego zamczyska”.

Ową feitzingerowską i chrzanowską plagę bzdur książkowych oraz plagę steinbrennerowskich kalendarzy wytepiły wydawnictwa Dziedzictwa i Towarzystwo Ewangelickie Oświaty Ludowej, a przede wszystkim Macierz Szkolna ze swymi bibliotekami, tworzącymi dosłownie w każdej wsi na Cieszyńskim.

Reszty pożytecznego dzieła dokonały „Gwiazdka Cieszyńska”, „Głos Ludu Śląskiego”, „Robotnik Śląski”, „Dziennik Cieszyński”, „Poseł Ewangelicki”, „Rolnik Śląski”, „Przyjaciel Ludu”, „Przegląd Polityczny”, satyryczna „Osa”, a obok niej „Pokrzywy”, „Miesięcznik Pedagogiczny”, kwartalnik „Zaranie Śląskie”, „Rocznik lekarski” i „Rocznik Polskiego Tow. Turystycznego Beskid”.

Oprócz książek i prasy dużą rolę odegrały koła amatorskie w życiu kulturalnym wsi cieszyńskiej. Przy każdym bowiem kole Macierzy Szkolnej istniały zespoły teatralne, prowadzone już teraz przez nauczycieli, wychowanków polskiego seminarium nauczycielskiego na Bobrku pod Cieszynem, wywalczonego z nie mniejszym trudem, jak polskie gimnazjum. Na scenach, najczęściej stawianych w gospodach gminnych, na deskach ułożonych na beczkach po piwie, grano przeróżne sztuki, począwszy od „Żyda w beczce”, poprzez „Chrapanie z rozkazu”, „Błażka opętanego”, „Werbla domowego” i poprzez regionalne „Iste roki”, „Panią wójtową”, „Nawróconego” i „Kulturnika” do „Wozu Drzymały”, „Zaczarowanego koła”, „Mazepy”, „Kościuszki pod Raclawicami” i aż do klasyków sceny, do Moliera i Wyspiańskiego.

Życie teatrów amatorskich zapoczątkowała Czytelnia Polska w Cieszynie, wystawiając w roku 1863 „Ulicę nad Wisłą” Kucza. Do roku 1881 dano w niej 109 przedstawień teatralnych, a wystawiono 93 sztuki sceniczne.

Równocześnie rozpoczyna się renesans śląskiej pieśni ludowej.

I znów polscy nauczyciele prowadzą bezinteresownie chóry, zakładane przy kołach Macierzy oraz później przy „Sile”, robotniczym stowarzyszeniu oświatowym, założonym przez Tadeusza Regera.

W sumie przed wybuchem pierwszej wojny światowej Macierz Szkolna utrzymywała dziesięć szkół ludowych, jedną wydziałową, polskie gimnazjum realne w Orłowej (razem z krakowskim Towarzystwem Szkoły Ludowej), piętnaście ochronek, dwie szkoły przemysłowe uzupełniające, dwie bursy oraz rozdzielała stypendia niezamożnym uczniom.

A że nigdy nie przelewało się w kasie Macierzy, przeto stale z pomocą przychodził wielki jałmużnik, mecenas Osuchowski wraz z Henrykiem Sienkiewiczem.

Z narastaniem świadomości narodowej narastała świadomość klasowa, zwłaszcza w Zagłębiu Karwińsko-Ostrawskim i w hutach trzynieckich. W kopalniach hrabiego Wilczka, bankierów Rotschilda i Gutmanna, hrabiego Larischa, Austriackiego Towarzystwa Górniczo-Hutniczego i wszystkich pomniejszych kapitalistów mnożyły się

strajki, górnicy domagali się poprawy płac, zmniejszenia godzin pracy na dole, bezpieczeństwa pracy, ubezpieczenia socjalnego, zniesienia pięciu kurii wyborczych — istnego curiosum w austriackim systemie wyborczym, odbywały się wiece i znowu strajki, było wojsko, strzelanie, ofiary, czerwony sztandar...

Polskich górników i hutników wiódł do walki poseł Tadeusz Reger, przywódca Polskiej Partii Socjal-Demokratycznej, czeskich zaś Piotr Cinger, przywódca socjaldemokratycznej Unii Horników.

Dziwne więc rzeczy działy się na Ziemi Cieszyńskiej.

Najpierw był osobliwy triumwirat: Paweł Oszelda, Paweł Stalmach i Andrzej Cieniała. Potem była Wiosna Ludów. Z Wiosny Ludów urodziła się Czytelnia Polska, z niej zaś Macierz Szkolna Księstwa Cieszyńskiego, a z Macierzy polskość Śląska Cieszyńskiego.

Macierz Szkolna wytworzyła osobliwy styl życia społecznego. Stała się bowiem tak bardzo popularna, tak mocno jej życie splotło się z życiem społecznym Ślązaków, że być członkiem Koła Macierzy stało się wyróżnieniem, być prezesem Koła Macierzy było takim samym honorem, jak być na przykład wójtem lub burmistrzem w ludzkiej gromadzie.

Macierz Szkolna tak bardzo zadomowiła się nawet w życiu prywatnym, że nie było wesela, podczas którego nie byłoby zbiórki na jej cele, zainicjowanej przez starostę. Nie było chrzcin, by ojciec chrzestny nie podjął się takiej samej zbiórki. W wielu restauracjach polskich i gospodach kelner czy gospodzki podsuwał dyskretnie lub mniej dyskretnie czerwoną puszkę z napisem „Datki na Macierz Szkolną”, stawiał ją na stole między karciarzami, między kufkami z piwem, między politykującymi gośćmi i do takiej puszkki zawsze wpadały „pięcioki”, „szóstki”, ba, nawet „korony”, a jeżeli stół był szcudroblivy — to nawet „reńszczoki” lub „pięciokoronówki”.

Były dożynki, goście, gospodarze i kto tylko mógł składał się na Macierz Szkolną. Jeżeli była zabawa taneczna w gospodzie, czysty dochód bywał przeznaczany dla niej. Dochód z przedstawienia amatorskiego — na Macierz. Nawet usmarkani Trzej Królowie, łażący od chałupy do chałupy w matczyńskich koszulach, w papierowych koronach na głowie, śpiewający kolędy i „winszujący noworoczny wiesz”, część dochodu przeznaczali na Macierz Szkolną.

Koła Macierzy w poszczególnych wsiach opiekowały się miejscową szkołą i spełniały wobec niej tę samą funkcję, co dzisiejsze komitety rodzicielskie.

Jeżeli kółko amatorskie wystawiło sztukę, która „chwyciła” wtedy zespół ów urządzał gościnne występy w sąsiednich wsiach z tym, że czysty dochód znowu był przeznaczony na cele Macierzy.

Opodatkowała się na jej rzecz nawet słynna swego czasu „Debacióra”, czyli tak na niby zakonspirowany muzykancki zespół uczniowski z seminarium nauczycielskiego i gimnazjum, który wyjeżdżał ukradkiem do sąsiednich wsi na wesela, chrzciny i jakieś lokalne uroczystości i grywał gościom do tańca. Zawsze tam wtedy coś kapnęło do ubogiej kalety uczniowskiej, a że to działo się wbrew przepisom szkolnym, przeto

nikt o tym „nie wiedział”, ani pan dyrektor, ani grono profesorskie, ani srogi jeden i drugi katecheta, gdyż „debaciorze” pewną część dochodu przekazywali na Macierz Szkolną.

Co roku odbywały się jej walne zebrania w Cieszynie. Było to coś w rodzaju sejmiku oświatowego. Dużą salę Domu Narodowego w Cieszynie wypełniali delegaci poszczególnych kół Macierzy. A więc górnicy, hutnicy, chłopci, górale, nauczyciele, młodzież, lekarze, inżynierowie, księża, socjaliści, ludowcy, narodowi demokraci, „klerusi”, ewangelicy, katolicy, rzemieślnicy i kto tylko żyw, a wszyscy słuchali sprawozdania sekretarza zarządu głównego, w wolnych wnioskach zaś prosili o głos i radzili, co robić, by robotę Macierzy jeszcze bardziej usprawnić.

Takie walne zebranie było zawsze wielkim polskim świętem w Cieszynie.

I co może najbardziej w tym wszystkim zaskakujące, że Macierz Szkolna ze 190 kołami we wszystkich wsiach i miasteczkach Śląska Cieszyńskiego, ze swymi szkołami, ochronkami, bursami, bibliotekami, wypożyczalnią kostiumów teatralnych — że ta instytucja o tylu różnorodnych agendach posiadała tylko jednego płatnego urzędnika. Wszystkie inne prace, funkcje, prezesowania, występy teatralne, prowadzenie chórów, odczyty i bibliotekarstwo wykonywali członkowie zarządu głównego i poszczególnych kół całkiem bezinteresownie. Ubocznie należy zaznaczyć, że prace te w przeważającej części spełniało nauczycielstwo polskie. Branie zapłaty uchodziłoby wówczas za gruby nietakt, a nawet za czyn uwłaczający honorowi.

I jeszcze jedna znamienita rzecz: tam, gdzie koło Macierzy było ruchliwe i żywotne, nie było chuliganów, gdyż młodzież wyżywała się w kółkach amatorskich i kołach śpiewaczych.

Z zazdrością patrzyli na tę robotę cieszyńscy i bielscy Niemcy, a redaktorzy „Silesii”, „Ślązaka” i „Nowego Czasu” zżymali się i lysieli ze zmartwienia, że ich robotę biorą diabli.

Pokrzepili swego niemieckiego i starośląskiego ducha, gdy w Cieszynie z wielkim szumem, paradą, z fanfarami i przemowami otworzyli „Deutsches Theater”, wybudowany na miejscu dawnego cmentarza, a we foyer umieścili pamiątkową tablicę marmurową, na której złożonymi literami obwieścili światu, że „ze sceny tego teatru nie padnie nigdy polskie słowo”.

Byli mizernymi prorokami!

Zanim jednak polskie słowo padło, teatr wiódł anemiczny żywot, jako że miał małą publiczność niemieckiej, polska ludność zaś bojkotowała go uparcie. Poza tym, jak głosiła stugębna fama w całym Cieszynie i na całym Śląsku, w owym teatrze straszło!... Mieszczanie powiadali, że to straszą dusze tych umrzyków, których spokój zakłócono jego budową na ich grobach. Było kilku stróżów po kolei, mieszkających w bocznym skrzydle teatru, lecz każdy z nich uciekał i rezygnował ze stróżowania, gdyż — jak twierdzili — często w nocy coś tam łaziło po scenie, przewracało kulisy, jęczało, narzekało, potrząsało łańcuchami, podnosiło kurtynę i opuszczało ją z impetem, zapalało i gasiło światło, słowem straszne rzeczy się działy!...

I straszło tak długo, aż „Deutsches Theater” stał się po pierwszej wojnie światowej Teatrem Polskim im. Adama Mickiewicza. Wtedy nareszcie pokutujące duchy usatkwowały się na zawsze. Zabobonni „bürgerzy” cieszyńscy dopatrywali się w tym zjawisku jakiegoś znaku z zaświata. Byli tacy, którzy twierdzili, iż to na pewno dusza świętej pamięci Stalmacha, która robi Niemcom tak samo na złość, jak to robił Stalmach za życia. A co pobożniejszy, dopatrywał się w tym zagadkowym zjawisku palca Bożego, ostrzegającego miasto Cieszyn przed groźącą karą za bezeceństwa, jakie działy się w teatrze i poza teatrem. Wiadomo, naród aktorski bywa bardzo płochy, a aktorki cieszyńskiego teatru, o bardzo wdzięcznych imionach, nie były skore odmawiać różańca.

Dlaczego przestało w nim straszyć, wyjaśniło się dopiero po wojnie. Była to robota istotnie zakonspirowana i wielkimi przysięgami zawarowana, sowizdrzalska robota nieujawnionych uczniów polskiego seminarium nauczycielskiego i gimnazjum. Ponieważ cieszyńscy „bürgerzy” należeli do tego typu ludzi, których Przybyszewski określał pogardliwym mianem „mydlarze”, a Niemcy — „Spiessbürger”, czyli kołtuny ze wszystkimi przywarami właściwymi dulszczyźnie, przeto tamta brać uczniowska postanowiła to wykorzystać dla celów narodowych.

Cieszyn. Teatr im. Adama Mickiewicza



Jak się to działo, którędy włązili podczas ciemnej i wietrznej nocy do teatru, nie wiadomo. Dosyć na tym, że włązili i „odstawiali” skutecznie narzekających potępieńców. Raz, drugi, dziesiąty... I szybko rozniosła się wieść po całym Śląsku Cieszyńskim, że w teatrze straszy. Wtedy strach padł i na mieszczan cieszyńskich. Jęli go unikać, woleli pójść do Bayera na piwo, zamiast narażać się na zemstę duchów. Mieszczki były rade tym zjawom, bo ich mężowie nie byli narażeni na pokusy, patrząc na aktorki na scenie. Jedyne ci najodważniejsi „co w Boga nie wierzyli, ani w żadne duchy” — jak mawiały Frau Drzystoń lub Frau Cholewa, czy inna Frau Pietruschka — tylko ci odważali się chodzić na niemiecki „Vorstellung”.

I tak „Deutsches Theater”, zamiast głosić kulturę niemiecką na Ziemi Cieszyńskiej, stał się ciężarem dla miasta, a dla mieszczan zmartwieniem, gdyż trzeba było płacić wyższe podatki miejskie. A tu coraz gorsze zarobki, bo rzemiosło przechodzi w polskie ręce, nawet drukarnie „Dziedzictwa” i Mitręgi konkurują skutecznie z niemieckimi drukarniami, ba, nawet księgarnia Bernarda Kotuli, czyli „Stella” odbiera klientów księgarni Stuksa, Feitzingera i Ruffa, pojawiają się polskie sklepy, słowem polska ludność nie chce już nie dać zarobić cieszyńskim „bürgerom”. Żeby wszyscy diabli wzięli ten przegrzeszony „Deutsches Theater”!...

A tu jak na złość na scenie Domu Narodowego, wzniesionego ze składek i ofiar polskiej ludności Ziemi Cieszyńskiej, w tym Domu Narodowym dzieją się cuda. Zespół amatorski wystawia coraz piękniejsze sztuki, sala nie może pomieścić widzów, jako że tu i spod cieszyńskich wsi przyjeżdżają ludzie na przedstawienia. I wtedy Niemcy wpadli na niefortunny pomysł. Niemiecka smarkateria z „Nordmarku” i „Turnvereinu”, uczniowie niemieckich szkół średnich, pisarczykowie, kupeczyki i gryzpiórka z różnych urzędów, postanowili rozbijać polskie przedstawienia teatralne. Gdy jednak raz i drugi tamte „zawarczuchy” dostały tęgie lanie, gdy im nabito guzów, że biedacy z wielkim płaczem i bekiem zmykali spod Domu Narodowego, nastąpił spokój. Policji miejskiej wtedy nie było, gdy tamci młokosi wybijali szyby w oknach Domu Narodowego. Nie było jej także i wtedy — co było rozsądne z jej strony — gdy owi młodziankowie darli się na całe gardło „Hilfe! Polizei! Hilfe!”...

Policjanci z panem wachmajstrem Pietrułą na czele kryli się wtedy w „wachcymrze” na ratuszowym odwachu i udawali, że nie nie słyszą ani nie widzą.

I gdy tak butnie poczynali sobie Niemcy cieszyńscy, przykre rzeczy działy się w Zagłębiu Karwińskim, tak bardzo przykre, że aż przykro o nich pisać.

Józef Chlebowczyk podaje w pracy zbiorowej pt. „Górny Śląsk”: „Na przełomie ubiegłego wieku dochodzi w północno-zachodniej części Śląska Cieszyńskiego do powstania nowego frontu walki narodowościowej. Sięga ona swymi korzeniami ekonomicznych sprzeczności dorabiającej się, w miarę rozwoju Zagłębia, wraz z całym jego handlowo-przemysłowo-kulturalnym aparatem usługowym, napływowej czeskiej burżuazji i inteligencji oraz miejscowego polskiego drobnomieszczanstwa i inteligencji. Poczytując szeroki rozwój życia narodowego miejscowej polskiej ludności, znajdujący swe odzwierciedlenie choćby w spisach ludności w latach 1890 oraz 1900, za niebezpieczny, kata-

strofalny wprost dla swego stanu posiadania na Śląsku Cieszyńskim, burżuazja czeska przystępuje do gwałtownego natarcia.”

Na drugim krańcu Ziemi Cieszyńskiej, w okręgu bielskim, rozpętała się podobna walka, istny *furor teutonicus*. Bielsko miasto sukienników, fabryk tekstylnych, siedlisko niemieckiej i żydowskiej plutokracji, miasto potwornego wyzysku robotników, przewane przez bielszczan „Klein Berlin”, miasto, w którym za rozmowę w języku polskim na ulicy znieważano i bito po twarzy, miasto, którego rozwydrzona młodzież niemiecka raz po raz napadała na mizernutki Dom Polski na Blichu, założony przez ks. Stojałowskiego z Białej i urządzała pogromy polskiej ludności, to miasto było ropiejącym wrzodem germańskim na polskiej Ziemi Cieszyńskiej.

Słowem Ziemia Cieszyńska stała się teraz jakimś kipiącym kotłem grożącym lada chwila wybuchem, wojną domową, masakrą; stała się jakby śląskim Bałkanem czy Piemontem, gdzie umiarkowany patriotyzm przemienił się w skrajny szowinizm wszystkich trzech grup narodowościowych. W końcu wybuchła pierwsza wojna światowa i przytłumiła tamte wszystkie zwyrodniałe namiętności polityczne i narodowościowe.

3 Między pierwszą a drugą wojną światową...



Adam Mickiewicz modlił się o wojnę światową, która wskrzesi umarłą Polskę.

Ślężacy o sercach kształtowanych na jego „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego” uważali, że to są słowa prorocze, tym bardziej że i sybilijne proroctwa o tym napomykały, choć w sposób nieco mglisty. W sposób bardzo jasny i wyraźny i to samo prawilo śląskie proroctwo niewiadomego pochodzenia. Mianowicie twierdziło ono, że gdy pod gruszą rosnącą do góry korzeniami przy Cieszynie spotkają się trzej monarchowie podczas przyszłej wojny, wtedy będzie wolna Polska. A z wolną Polską zaś będzie wolny Śląsk ako jedna z jej dzielnic. I wtedy wszystko będzie inaczej.

Jak będzie wyglądało to „inaczej”, nie umiano sobie wyobrazić.

Narodowy ugór śląski — jakby się wyraził poeta — rodzący chwasty, osty i szpetne zielska, przeorał bowiem Mickiewicz, a potem pomógł mu tej pracy dokonać Sienkiewicz ze swoją „Trylogią”, a przede wszystkim „Krzyżakami”. W sukurs przyszli im Artur Grottger z cyklem obrazów „Litwania”, „Polonia” i „Warszawa” oraz Jan Matejko z „Bitwą pod Grunwaldem”. Obrazy te spopularyzowały na Śląsku Cieszyńskim pocztówkowe reprodukcje wydawane w Krakowie przez dwie firmy: Akropol i Frist.

Ślązacy chętnie śpiewają.

Polska pieśń narodowa i ludowe pieśniczki śląskie tworzą osobną i piękną kartę w historii odrodzenia narodowego Śląska Cieszyńskiego. Pieśniczka mówiła o miłości dwojga zakochanych oraz o szarym żywobyciu człowieka, a narodowa pieśń polska, trochę jęcząca, wzdychająca i bardzo wzniosła zadomowiła się rychło na Ziemi Cieszyńskiej i sposobiła Ślązaka do wzięcia udziału w nadechodzącej mickiewiczowskiej wojnie narodów.

Frydek, Kalwarię Zebrzydowską, Pszów czy Piekary z ich cudownymi obrazami Panienek Maryj, do których co roku wybierały się „kompanie” śląskich pątników, te miejsca odpustowe wyparł z czasem Kraków z Wawelem i grobowcami królów polskich. Owe śląskie pielgrzymki na Wawel nabrały jeszcze większego splendoru i dostojności, gdy w roku 1910 mistrz Ignacy Paderewski za fortunę wygraną na fortepianie ufundował pomnik grunwaldzki nie bardzo udanej, lecz patetycznej roboty Antoniego Wiwulskiego.

Wzruszeni ślązcy pątnicy, wpatrzeni w oblicze zwycięskiego króla Władysława Jagielly na cokole i wpatrzeni w pobitych Krzyżaków pod cokołem, krzepili swego rebelianckiego ducha, który czasem wiał, i śpiewali z przejęciem „Jeszcze Polska nie zginęła” lub „Boże coś Polskę”.

Aż w końcu nadeszła wojna światowa, istna wojna narodów. A więc teraz powinny spełnić się natchnione słowa Adama Mickiewicza!...

Z pewnością spełnią się, gdyż istotnie trzej monarchowie spotkali się podczas niej wprawdzie nie pod gruszą rosnącą do góry korzeniami, bo ją ścięto, a na jej miejscu powstała karczma „Pod gruszką” lecz niedaleko niej, bo na cieszyńskim zamku. Byli to cesarze austriacki i niemiecki oraz car bułgarski.

Przedtem jeszcze najbardziej zapalna młodzież, a więc „sztudenci” z cieszyńskiego polskiego gimnazjum i seminarium nauczycielskiego, co młodszy członkowie Sokola i Siły, oraz co młodszy górnicy, hutnicy i „sielscy synkowie” zaciągnęli się w Śląski Legion, by razem z Legionami Komendanta Piłsudskiego wojować o tę przyszłą Polskę. Mieli oni wprawdzie pewne zastrzeżenia natury politycznej, bo trudno im było zrozumieć, że walcząc o Polskę, mają pomagać pogardzanej Austrii i zniechęconym Prusakom, lecz blask słowa: Polska i polski orzełek na wojskowej rogatywce uciszały ich zaniepokojone serca.

Poszli więc i ginęli za tę przyszłą Polskę.



Z lotu ptaka

Gdy się wojna skończyła rozpadnięciem zmurszałej monarchii austriacko-węgierskiej, powstała na Śląsku Cieszyńskim wielka zawierucha. Oto oficerowie — Ślązacy — narodowości polskiej z garnizonu cieszyńskiego opanowali Cieszyn i Śląsk Cieszyński, a Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego na zamku ogłosiła uroczyste, że cała Ziemia Cieszyńska, gdzie wydziały gminne są w większości polskie, staje się dzielnicą nowo powstającego państwa polskiego.

Piękne to były chwile!...

Bielsko srodze się jeżyło i strupilo, tak srodze, że dopiero na widok wmaszerowującego do miasta sporego oddziału wojska polskiego uderzyło w pokorę i wprawdzie nie złożyło holdu na rynku, lecz ojcowie miasta i co wpływowsi mieszczenie musieli przedefilować z odkrytymi głowami przed polskim białym orłem na gmachu poczty, którego poprzednio zerwali i wrzucili do Białki.

Potem jednak trzeba było dzielić się Ziemią Cieszyńską z Czechami, co nie obeszło się bez gwałtownych sporów, intryg na forum międzynarodowym, interwencji kapitału zagranicznego i najazdu czeskiego, czyli wojny między Polską a Czechosłowacją, zażegnana przez Komisję Koalicyjną, złożoną z przedstawicieli Anglii, Francji i Włoch.

Miało następnie dojść do plebiscytu, lecz nie doszło, gdyż pod naciskiem Koalicji rząd polski zawarł ugodę z rządem czechosłowackim, zrzekając się zachodniej przemysłowej części Śląska Cieszyńskiego. Zagraniczny kapitał zaangażowany w przemyśle Zagłębia Karwińskiego i huty Trzynieckiej odegrał tu decydującą rolę.

Rzeka Olza stała się odtąd rzeką graniczną, Cieszyn został przepołowiony, życie narodowe Ziemi Cieszyńskiej potoczyło się teraz dwoma torami.

W owym okresie, przed ostatecznym rozstrzygnięciem sporu polsko-czeskiego, osławiony renegat Józef Koźdoń dwoił się, troił, by w razie ewentualnego plebiscytu jak najwięcej głosów padło na rzecz Czechów. Była to obrzydliwa robota, przypominająca robotę biblijnego szatana siejącego kłokol między pszenicę. Z tą tylko różnicą, że w biblii siewcy posnęli, a na Śląsku nie posnęli. Niewiele pomagał Koźdoniowi nawet jego słynny magazyn z żywnością i ubraniami w Gnojniku, którym usiłował przekupić społeczeństwo śląskie. A że na Śląsku było brak żywności i ubrań, jako że to było bezpośrednio po wojnie, przeto nieliczny element, o wątlej świadomości narodowej korzystał skwapliwie z koźdoniowskiej „dobrodajności”.

Cieszyński rynek zaś raz po raz wypełniały ogromne tłumy górników, hutników trzynieckich, górali beskidzkich i dolan, którzy demonstrowali swą gotowość głosowania za Polską. Komisja koalicyjna patrzyła na nich z okien hotelu „Pod jeleniem”, drapała się ze zmartwienia po głowie i słała alarmujące raporty do Londynu, Paryża i Rzymu. Stamtąd przychodziły wskazówki, jak mają postępować oddziały wojsk francuskich i włoskich okupujących wówczas Ziemię Cieszyńską.

Po ostatecznym załatwieniu sporu między Polską a Czechosłowacją wzburzone umysły jęły się powoli uspokajać, życie zaczęło się toczyć coraz równiej, hałaśliwi zaś dotychczas Niemcy i renegaci przycichli, a raczej przyczaili się, twierdząc, że chcą być lojalnymi obywatelami Polski. Wielu z nich, zwłaszcza wielu renegatów, jęło twierdzić i bić się

żarliwie w piersi, i zapewniać, gdzie się tylko dało, że są polskimi patriotami. Tyczyło się to takich miast, jak Cieszyn, Skoczów, Strumień i Bielsko. Zresztą więcej już miast nie było.

Po przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski, oba Śląski połączono w województwo śląskie. Katowice stały się miastem wojewódzkim, a Śląsk Cieszyński, czyli zielony, stał się „płucami” czarnego, zadymionego Górnego Śląska.

A więc linię kolejową, kończącą się za czasów austriackich w Ustroniu, przedłużono do Głębców w Wiśle oraz ze Skoczowa przez Strumień do Pawłowic, a Cieszyn połączono z Zebrzydowicami. Bezrobocie na Górnym Śląsku nie dotknęło Śląska Cieszyńskiego, a raczej spowodowało, że władze wojewódzkie zatrudniły górnośląską młodzież bezrobotną przy budowie nowych dróg i przy sypaniu wałów wzdłuż rzeki Wisły.

Takie miejscowości jak Wisła i Ustroń stały się teraz letniskami o coraz większej sławie. Za czasów austriackich tylko najwięksi śmiałkowie lub desperaci decydowali się jechać góralską furką z Ustronia po rozbitej i dziurawej drodze do Wisły, Istebnej i Koniakowa. I gdy Julian Ochorowicz wraz z Bogumiłem Hoffem odkryli Wisłę i urzeczony jej urokiem, a przede wszystkim urokiem Beskidu, jeli zachęcać warszawiaków do wyjazdu w te okolice, nigdy im chyba do głowy nie przyszło, że ta nędzna, zapita i deskami zabita wieś stanie się kiedyś jednym z piękniejszych letnisk polskich.

Droga na przełęcz Kubalonkę, między Wisłą a Istebną



Schronisko
Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego
na Równicy



Na południowym stoku Kubalonki powstało ogromne sanatorium dla dzieci piersiowo chorych i z gruźlicą kości. Kosztowało ono 8 milionów złotych, czyli tyle, co jedna łódź podwodna.

Odkryto i przybliżono do świata Istebnę i Koniaków.

W Beskidzie, w którym dawniej helokali niemieccy turyści i wykrzykiwali niemieckie pieśni wielce buńczuczne, że robiło to wrażenie, iż to są góry niemieckie, w tym Beskidzie coraz liczniejsze znakowane ścieżki zaroily się polskimi turystami, młodzieżą szkolną i robotniczą, wycieczkami z czarnego Śląska. Zwłaszcza w święta i niedziele.

Pojawili się dziwnie zaci ludzie, łączący po Ziemi Cieszyńskiej z jakimiś pudłami, aparatami fotograficznymi, zaopatrzeni w kajety i miły Bóg wie, w co tam jeszcze. I zaczęli zbierać pieśni, zapisując je w kajetach i nagrywając na taśmę w magnetofonach. Inni filmowali. Inni jeszcze szukali koronek, starych ksiąg dewocyjnych, narzędzi rolniczych używanych kiedyś przez starzyków. Słowem odkrywano Amerykę beskidzką, by tym odkryciem zdumiewać polski świat lingwistów, folklorystów, etnografów i innych ludoznawców. Ba, nawet i kompozytorów, że wspomnę między innymi o Feliksie Nowowiejskim, który urzeczony melodyjnością beskidzkich pieśniczek jął je przetwarzać, harmonizować i również czarować świat melomanów w całej Polsce.

Śląsk Cieszyński stał się — można by rzec — modny w Polsce.

Przyjeżdżali tu dziennikarze, reporterzy i inni ciekawscy ludzie i znów go odkrywali, jak drugą Amerykę, po swojemu. A potem pisali w prasie stołecznej i niestołecznej o demokratyzmie ludu śląskiego, o niewysferzaniu się inteligencji śląskiej, o praktycznym zmyśle Ślązaków, o tym, że spośród nich wychodzą świetni inżynierowie, prawnicy, lekarze i architekci, a rzadko rodzą się przyszli literaci, muzycy, malarze i inni humaniści.

Wiele o tym pisano.

A inni jeszcze zauważyli, że Ślązacy z Cieszyńskiego — to dziwni ludzie. Owa „dziwność” miała na tym polegać, że różnią się od Górnoślązaków pod wielu względami, że są uprzejmiejsi aniżeli tamci, łagodniejsi, aczkolwiek tak samo nieufni wobec przybusia, jak tamci.

O gwarze cieszyńskiej zaś pisano w superlatywach. A więc że jest miła, wdzięczna, że „raz po raz wydzwięknie w niej słowo Reya czy Kochanowskiego”, jako że jest poprzetykana staropolskimi zwrotami. Już kiedyś polski historyk i gramatyk, prof. gimnazjum wrocławskiego, a następnie bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jerzy Samuel Bandtkie, pisał na początku wieku XIX, że „z prowincjonalnej mowy polskiej Ślązaków najlepszy Polak może się nauczyć wiele doskonałych starych wyrażeń”. A Julian Ursyn Niemcewicz, przejeżdżający przez Ziemię Cieszyńską, nie omieszkiał zaznaczyć w swych wspomnieniach, że „wszystko po drugiej stronie (Białki, granicznej rzeki) takie same jak u nas i taż sama mowa, strój, obyczaje, położenie kraju, wszystko świadczy, że Polska i Śląsk jednym narodem, jedną krainą”. A surowy w swych sądach prof. Lucjan Malinowski dodaje, że „mowa Ślązaków jest więcej zbliżona do polskiego języka literackiego, niż gwara ludu z okolic Krakowa i Warszawy”. Prof. Kazimierz Nitsch zaś stwierdza, że „Śląsk jest to bodaj w Polsce jedyna dzielnica, w której narzecze ludowe nie zostało zepchnięte do roli pogardzanego kopciuszka, z rzadka tylko i sztucznie przywoływanego pokazu. Tu żyje ono jeszcze nieraz w swobodnej mowie ludzi wykształconych”.

Dodać by jeszcze należało, że istotnie inteligencja ze Śląska Cieszyńskiego chętnie rozmawia między sobą gwarą, jeżeli jednak do ich towarzystwa przypląta się ktoś spoza Śląska, przechodzi na język literacki, co czyni jedynie z uprzejmości, by gość nie czuł się obco w ich towarzystwie.

Owym gwarowym sprawom dziwią się jeszcze dzisiaj niektórzy dziennikarze z centralnej Polski, letnicy beskidzcy i urzędnicy przyjeżdżający „za delegacją” na Śląsk, i nie wiedzą, gdzie ową gwarę umieścić i czy jej się dziwić z uznaniem, czy się na nią obruszać.

A jeszcze inni dziwili się i dziwią, że tu i drogi jakieś porządne, że nie spotyka się już chałup strzechą krytych i podpartych drągami, lecz murowane domki i domy przypominające raczej wille; że koło nich nie ma połamanych płotów i że przy każdym jest chociażby maleńki sad; i że taki Ślązak z Cieszyńskiego, zanim zacznie budować swój dom czy domek, to najpierw parcellę ogrodzi siatką drucianą na zielono pomalowaną i posadzi drzewka owocowe, a następnie dopiero ima się budowy, co czyni przez kilka lat z pomocą domowników i kilku murarzy. I że oszczędza na tę budowę chyba od dziecka i nie doje, nie dopije, nie dośpi, by na stare lata zabezpieczyć sobie i rodzinie własny dach nad głową. Słowem, że są tu ludzie pracowici i że trudno uświadczyc człowieka leniuchującego za dnia. Ba, nawet w cieszyńskich dwóch kawiarniach przez cały dzień bywają pustki, a zapytać się kelnera, czemu nie ma gości, odpowie, że teraz pracują, a przyjdą dopiero po pracy, wieczorem.



Jeden z pawilonów sanatorium przeciwgruźliczego dla dzieci i młodzieży w Istebnej

I to jeszcze nie wszystko.

A więc inni spostrzegli, że na Śląsku nie ma żadnych różnic stanowych, których zresztą być nie może, jako że wszystka śląska inteligencja jest pochodzenia chłopskiego i robotniczego. I że wszystkie nazwiska brzmią trochę „gminnie”, a jeżeli znajdzie się „szlacheckie”, kończące się na „ski”, „cki” lub „icz” — to już jest przezwisko, albo najwyżej nazwisko przybusia z innych dzielnic Polski. I że gdy na innych ziemiach Polski zdarzają się jeszcze takie cudaki, które chępią się tak zwanym „klejnotem szlacheckim” i mieniają się być potomkami, jeżeli nie króla Aleksandra Wielkiego, to przynajmniej syna biblijnego Noego, Jafeta, to śląski inżynier, prawnik, minister, lekarz czy nawet kardynał chlubi się swym pochodzeniem chłopskim czy robotniczym.

Wydawałoby się, że to Arkadia. Nie był Arkadią nigdy, tylko że jego człowiek posiada pewne cnoty obywatelskie, których nie dostaje już gdzie indziej.

Zwłaszcza nie był Arkadią, czyli krajem błogosławionym, w okresie międzywojennym, gdyż przyczajeni nieliczni Niemcy czuwali i sposobili się do odwetu za swą klęskę, jaką

był dla nich odwrót po roku 1919 z ich stanowisk wpływowych w codziennym życiu społecznym, kulturalnym i ekonomicznym Śląska.

Tajemnicą poliszynela był fakt, że tworzą oni osławioną tak zwaną „piątą kolumnę”, kierowaną z hitlerowskiego Berlina za pośrednictwem niejakiego Wiesnera z Bielska, niemieckiego senatora do senatu polskiego w Warszawie. I że Niemcy „turyści” przemycają przez Beskidy broń ze Słowaczyny. I że zbierają się na tajne i poufne narady w wiślańskiej „Kaskadzie” i „Almirze” oraz w prywatnych domach w Skoczowie i Bielsku. Uwiadamiane o tym władze polskie zwykły mawiać: „Nic nie możemy zrobić, bo Warszawa nakazała, by nie drażnić wroga!”...

A gdy zniemacka w dniu 1 września roku 1939 nadleciały pierwsze eskadry hitlerowskie i gdy wojska niemieckie jęły wkraczać na Ziemię Cieszyńską od Frydka, Ostrawy i Słowaczyny, na ulicach Cieszyna, Skoczowa i Bielska pojawiła się owa „piąta kolumna” w cywilnych ubraniach, lecz z opaską na rękawie, znaczoną swastyką, i uzbrojona w re-

Most kolejowy w Wiśle-Głębach





Okolice Bielska-Białej. Zapora wodna w Wapienicy

wolwery, karabiny i granaty ręczne. Zaatakowała wtedy oddziały polskiego wojska wycofujące się z Cieszyna i Bielska.

A potem nastąpił pogrom polskiej inteligencji i wszystkich działaczy społecznych i politycznych. Skazano ich na zagładę. Zapelnily się nimi więzienia i obozy koncentracyjne. Ginęli ścinani lub wieszani na podwórzu więzienia w Mysłowicach, ginęli w Sachsenhausen, Dachau, Mauthausen, Buchenwaldzie i Oświęcimiu, byli rozstrzeliwani na drodze, wywiezieni w nocy z domu i wieszani pojedynczo lub grupami, a prawdziwą masakrę urządzili Niemcy w Ustroniu, gdzie podczas pracy wywołano z tamtejszej „Kuźni” 42 robotników i zastrzelono.

Śląscy Niemcy i renegaci szaleli, gestapo szalało, esesmani mieli dużo pracy. Miejscowi Niemcy pomagali gestapu w tropieniu ukrywających się proskrybowanych Ślązaków, urządzali dosłownie polowania na nich z nagonką i obławą, a ujętego albo zabijali, albo skatowanego oddawali gestapu.

Przerażenie padło na Ziemię Cieszyńską.

Ludność polską zmuszano do przyjmowania „volkslisty”, a kto się opierał, szedł gnić i konać z głodu w obozie koncentracyjnym.

Rychło jednak nadeszło ocknięcie się po tym ciosie. Oto lasy beskidzkie stały się siedliskiem śląskich partyzantów. Ilu ich było — nie wiadomo. Nikt bowiem nie prowadził ich statystyki. Uciekali do lasów przede wszystkim ci, którzy na czas ostrzeżenia zdolali umknąć przed aresztowaniem czy zsyłką na przymusowe roboty w Niemczech; uciekali ci, którzy pragnęli pomścić śmierć kogoś ze swej rodziny zakatowanego w myślowickim więzieniu lub obozie.

Był to samorzutny odruch, bez znajomości zasad organizacyjnych, bez kontaktów z podziemnym ruchem innych ziem polskich. Jak podaje konspiracyjna gazetka „Kilof śląski” z grudnia 1943 roku, na terenie lasów beskidzkich istniało 13 ugrupowań partyzanckich o takich nazwach, jak: Organizacja ideowo-niepodległościowa łącznie z Polskim Związkiem Wolności, sekcja śląska, Komitet Rewolucyjno-Powstańczy, Bojowa Organizacja Ludowa, Beskidzkie Echo, Nadzieja, Dobosz, Orzeł i trudne do rozszyfrowania nazwy P.O.W., następnie K.P.W. oraz P.R.

Pismo to nie wspomina o Armii Krajowej i Armii Ludowej.

Owe oddziały o tak licznych nazwach, rozbite podczas obław, rozpraszaly się (pojedynczy członkowie przyłączali się do innych oddziałów), a tworzyły się nowe o nowej nazwie i o charakterze apolitycznym. Nikomu bowiem nie zależało na tym, czy partyzant z sąsiedniej grupy jest zwolennikiem takiego a takiego programu politycznego, lecz czy posiada broń, czy umie strzelać i dobrze tępić Niemców.

Partyzanci ukrywali się — jak już się rzekło — w lasach beskidzkich w zamaskowanych bunkrach. Tworzyli grupy złożone z pięciu do ośmiu partyzantów, każda grupa zaś miała swój bunkier. Na wyprawy wychodzili tylko w nocy, gęste zaludnienie Śląska Cieszyńskiego uniemożliwiałoby bowiem wyprawy za dnia.

Najgorzej było w zimie, gdy zostawia się ślady w śniegu. Zacierali je umiejętnie. Ponieważ zawsze groziło, że niemiecka obława może ich wytropić i dotrzeć do ich schronów, przeto niektóre bunkry posiadały zamaskowane wyjście zapasowe, przeznaczone do ucieczki, główne wejście zaś zabezpieczano minami.

Głównym celem ich wypraw było niszczenie pociągów, mostów, torów i zwalanie masztów z przewodami wysokiego napięcia. Poza tym napadali na składy żywności oraz na urzędy gminne, gdzie konfiskowali karty żywnościowe, by je rozdać polskiej ludności. Czasem odbywały się wyprawy karne na szpiclów i prowokatorów, czasem znów dla zdobycia broni na posterunki policji i żandarmerii.

Iście szaleńczym i zuchwałym wypadem było wykradzenie broni z magazynu w koszarach bielskich. Była to robota jednej ze śląskich grup Armii Ludowej, przebywającej w bunkrze na Klimczoku. Albo wykradzenie rannego partyzanta ze szpitala bielskiego.

Wszelkie wyprawy były najpierw szczegółowo omawiane i tak obliczone w czasie, by partyzanci, wychodzący o zmroku z lasów, mogli do nich wrócić o wczesnym świcie. Dlatego też zasięg ich działania obejmował tylko teren najdalej po Zebrzydowice, Pszczyne, Oświęcim oraz dolinę Olzy.

Partyzanckie bunkry były rozrzucone od Łysej Góry pod Frydkiem poprzez Jaworowy, Baranią Górę, Salmopol aż po Klimczok. Wśród partyzantów-Zaolziaków



*Pomnik
ofiar
hitleryzmu
w Brennej*

nie było Czechów, za to byli radzieccy spadochroniarze, posiadający własną małą radiostację, ukrytą w bunkrze mieszczącym się pod kupą nawozu u górala Jeżowicza w Nydku.

Ile było potyczek, ilu partyzantów zginęło, a ilu Niemców — nie wiadomo. Również nie wiadomo dokładnie, ile było wypraw „w dolinę” i jakie były ich owoce.

Jedynie z zachowanych nielicznych raportów wiemy, że grupa zaolziańska wysadziła w powietrze trzy mosty kolejowe, wykoleiła osiem pociągów, zerwała dwukrotnie tory kolejowe, zdobyła dwa magazyny z materiałem wybuchowym i amunicją, a grupa Armii Ludowej wykoleiła 17 pociągów, sześć razy uszkodziła tory kolejowe, zniszczyła 60 masztów przewodów wysokiego napięcia, zlikwidowała 30 sklepów z żywnością, z trzech urzędów gminnych zabrała kartki żywnościowe, zdemolowała stację kolejową, spaliła magazyn obuwia fabryki Bata w Chełmku oraz odbiła Niemcom 40 jeńców radzieckich.

Do większych starć doszło w Brennej. Partyzanci musieli się wycofać w kierunku Salmopola, Niemcy zaś spalili sześć domostw, gdzie tamci poprzednio biwakowali. Mieszkańców zaś owych domostw, a więc dzieci, kobiety i mężczyzn spalono żywcem, wrzucając ich z przestrzelonymi kolanami w płonące stodoły. W odwet za to partyzanci w drewnianym schronisku na Salmopolu spalili żywcem 18 esesmanów, którzy się tam zaczęli i wycofujących się partyzantów zasypali ogniem.

Ofiary były wielkie. I wśród partyzantów, i wśród tych, którzy współpracowali z nimi, dostarczali żywności i wiadomości. Jak podaje raport anonimowego autora, grupa zaolziańska pod koniec roku 1944 miała 31 poległych, 57 rozstrzelanych i 19 rannych. Niemcy zaś mieli 35 poległych i 32 rannych. W styczniu roku 1945 grupa zaolziańska miała 17 poległych, 9 rozstrzelanych i 4 rannych. Niemcy atoli mieli 72 poległych i 33 rannych.

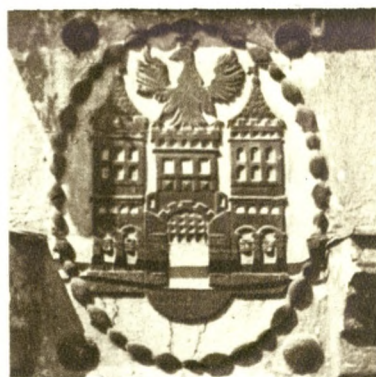
Tych, którzy współpracowali z partyzantami szukało gestapo. I tak w Ustroniu, Brennej i na całym Zaolziu rozstrzeliwano masowo Polaków. W Cieszynie powieszono 25 młodych Ślązaków za udział w robocie konspiracyjnej. Zanim ich powieszono, niemiecki lekarz nakłuł im języki strzykawką, języki spuchły i wypełniły usta, Niemcy zaś byli teraz spokojni, że tamci nie będą wołać spod szubienicy: „Niech żyje Polska!”, jak to się dotychczas działo. A spędzeni ze wszystkich okolic ludzie musieli się przypatrywać egzekucji.

Golgotowa była droga Ziemi Cieszyńskiej do Polski.

Potem przyszła Armia Radziecka i przyniosła wolność.



Wieża piastowska w Cieszynie



Ptolomeusz Klaudiusz był bardzo mądrym człowiekiem i w swym uczonym dziele pt. „Almagest” opisał cały ówczesny świat wraz z gwiazdami i słońcem, a między owymi gwiazdami, słońcem, siedmiu planetami i ziemią odkrył Kalisz, przewawszy go Calisia. Aczkolwiek więc odkrył Kalisz w II wieku po Chrystusie, nie odkrył jednego z najstarszych miast polskich, Cieszyna.

Nic nie szkodzi. Czego bowiem nie dokonał Ptolomeusz, dokonała najpierw legenda, a następnie wykopaliska w grodzisku w Podoborze pod Cieszynem i na górze zamkowej w Cieszynie.

Ową legendę zapisał kronikarz ostatniej księżny cieszyńskiej, Elżbiety Lukrecji, niejaki Schickfuss. Prawi ona dzisiaj po polsku i po łacinie, że „Roku 810 wiaropodobne założenie miasta Cieszyna przez trzech synów Leszka III, króla polskiego. Trzej bracia, książęta: Bolko, Leszko i Cieszko zeszedli się po długiej wędrówce przy tem źródle i ciesząc się zbudowali na pamiątkę miasto, które miano Cieszyn otrzymało”.

Być może.

Wprawdzie owa legenda z wieku XVII zatracą lekko manierą, jaka w tym okresie była w obiegu, gdy tworzono lub uzupełniano albo też brano za prawdę historyczną legendy dotyczące powstania czy założenia wielu szacownych miast zachodnich. Wzorumowano się wtedy na podobnych legendach z historią antycznej Grecji i Rzymu. Że jednak kronikarz Schickfuss nie był daleki od prawdy, świadczą — jak już wspomniano — owe wykopaliska w grodzisku w Podoborze, przezwanym kiedyś Starym Cieszynem oraz wykopaliska na miejscu dawnego zamku piastowskiego w Cieszynie.

Historycy są jednak niepocieszeni, że nie mogą doszukać się w annałach i kronikach wzmianki o owym jakimś Leszku III, królu polskim i dlatego są gotowi powyższą relację Schickfussa kłaść między bajki. Gdy jednak pojawili się tu uczeni ludzie, mądrzejsi od Ptolomeusza i zaczęli rozkopywać podoborskie grodzisko, czyli „cieszynisko” oraz przewracać ziemię na zamkowej górze, wygrzebane przez nich szczątki ceramiki słowiańskiej, grzebień rogowy, paciorki szklane, ba, nawet kamienne toporki jeły świadczyć, że istniała tu kiedyś przed wiekami obronna osada ludzka. Było to już chyba za czasów Ptolomeusza, a na pewno za czasów istnienia państwa wielkomorawskiego, za dynastii Mojmirowiczów, w wieku IX i na początku wieku X.

Innymi słowy Cieszyn poza Kaliszem i być może Gniezmem jest chyba jednym z najstarszych miast Polski. Owa zaś legenda o jego założeniu, wypisana złoconymi literami na „Studni trzech braci”, nie musi być wcale legendą, lecz poniekąd historycznym dokumentem przyjmowanym na słowo honoru. Trochę więcej lat, trochę mniej — w tym przypadku nie jest to tak bardzo ważne.

Trudno dociec, jak to było po prawdzie.

Historykom nie daje spokoju kaplica romańska, czyli rotunda na górze zamkowej, jedyny relikwiczek wczesnohistoryczny obok późniejszej, gotyckiej wieży zamkowej. Wybitny i chyba jedyny historyk i dziejopis Ziemi Cieszyńskiej prof. Franciszek Popiołek przypuszczał, że zawędrowali tu św. Cyryl i św. Metody, apostołowie państwa wielkomorawskiego, i na miejscu pogańskiej gontyny zbudowali kaplicę chrześcijańską w stylu romańskim. Innego zresztą nie było poza stylem bizantyjskim na Dalekim Wschodzie. A że styl romański powstał z końcem wieku X, więc dla czegoż by owi dwaj apostołowie Słowiańszczyzny nie mieli zwalić pogańskiego chramu, by na jego miejscu postawić kaplicę romańską?

Są to tylko przypuszczenia.

W tym okresie pojawia się w historii całkiem już realna, a więc nie legendarna, postać księcia Polan, Mieszka I, który jednoczy rozbite i skłócone plemiona polańskie. Po nim występuje pierwszy koronowany król polski Bolesław Chrobry (996—1025),



Rotunda romańska i wieża piastowska na cieszyńskim zamku

użerający się z sąsiadami o zachodnie i południowe ziemie polskie. A więc i o Ziemię Cieszyńską. I w tym czasie istniejący już gród cieszyński został umocniony wałami i ostrokołami, i podniesiony do godności kasztelanii.

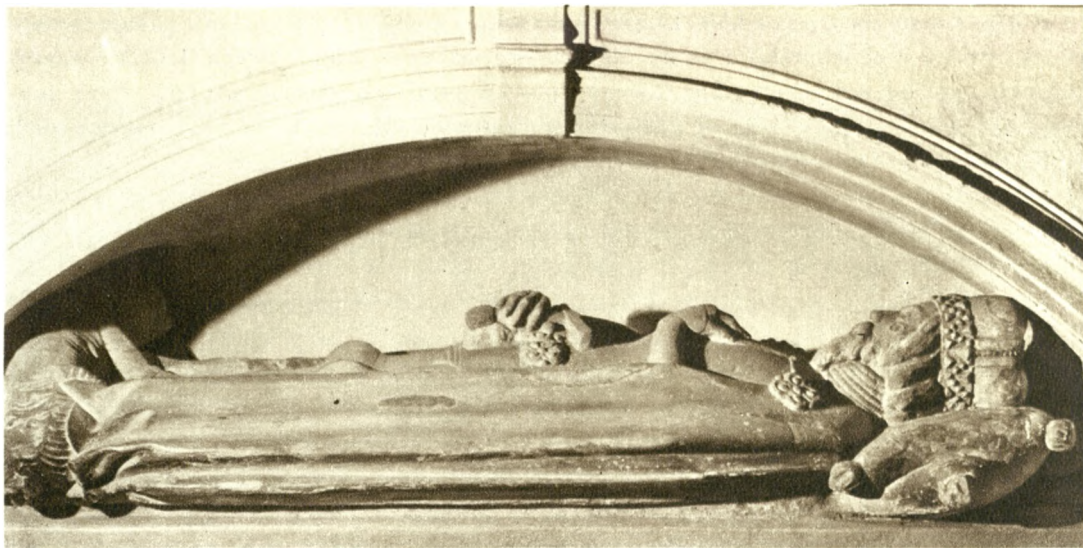
Że owa cieszyńska kasztelania istniała, świadczy o tym pierwsza historyczna wzmianka papieża Adriana IV z roku 1155, potwierdzająca powinności kasztelanii cieszyńskiej na rzecz biskupa wrocławskiego.

Nareszcie pierwsza historyczna wzmianka! Rok 1155!...

W tym okresie śląscy Piastowie i Piastowicze już się swarzą i klóćą o „erbowiznę”¹³, awanturują się, tłuką, i wysiłki Władysława Wygnańca (1138—1146), by swych żurliwych wnuków ułagodzić i pojednać, kończą się zwycięstwem Władysławowiczów. Piastowie, mając dużo synów, Piastowiczów, dzielą swe księstwa na księstwka i w ten sposób powstało księstwo cieszyńskie, gdy w roku 1280 jeden z książąt śląskich, Władysław II Opolski obdziela swego syna, Mieszka III, Ziemią Cieszyńską. Od tego czasu zaczyna się okres istnienia księstwa cieszyńskiego, trwający przez 363 lata.



*Studnia
Trzech Braci*



Nagrobek jednego z cieszyńskich Piastów w kościele Marii Magdaleny

Z zapisków książęcych skrybów¹⁴ wiemy, że stryj Mieszka III, Mieszko II raciborski, obwarował Cieszyn rowami i palisadami w obawie przed najazdem Tatarów, Mieszko III zaciąga zaś koło Cieszyna obronne mury i wznosi drewniany zamek na górze zamkowej.

Legenda znowu wtrąca swoje trzy historyczne grosze i twierdzi, że ową górę zamkową usypali Tatarzy pojmani do niewoli podczas ich słynnej wyprawy pod Legnicę w roku 1241, a stamtąd na Węgry.

To twierdzenie można już śmiało włożyć między bajki, gdyż góra zamkowa to stroma skała łupkowa nad rzeką Olzą.

Zanim jednak Mieszko III stał się księciem cieszyńskim, a Cieszyn drewnianą stolicą Ziemi Cieszyńskiej, krzątali się tu już ojcowie benedyktyni sprowadzeni z Tyńca przez księcia Kazimierza Opolczyka w roku 1211. Pobyli tu jakiś czas, po czym przenieśli się do Orłowej.

I jeżeli romańskiej kaplicy na zamkowej górze nie zbudowali święci Cyryl i Metody, to z pewnością uczynili to ojcowie benedyktyni. A może kazał ją zbudować sam Bolesław Chrobry, gdy ustanawiał tutaj jedną ze swych kasztelanii.

Trudno dociec jej początków. Dostyc na tym, że owa kaplica należy do najstarszych zabytków sakralnych na ziemiach Polski i że świadczy rzetelnie o sędziwym wieku Cieszyna.

Od Mieszka III zaczyna się udokumentowana historia owego książęcego miasta, historia wyzbyta budujących łgarstw, uroczych legend i niepokojących domysłów. Książęcy skrybowie jeli już odtąd skrętnie zapisywać wszystkie zdarzenia ważne i nieważne, jakie towarzyszyły życiu Cieszyna.

A więc wiemy, że trzeci z kolei książę cieszyński, Przemko (1358—1409), nadaje swemu miastu prawa magdeburskie i że na miejscu drewnianego zamku swego dziadka wznosi gotyckie, murowane zameczysko otoczone podwójnymi murami obronnymi. Poza murami, na podgrodzium, mieściły się gospodarskie zabudowania zamkowe, czyli dolny zamek z bramą i zwodzonym mostem na rzece Olzie.

Samo miasto jęto wznosić na przeciwległym wzgórzu, piędo się ono pod górę, kończyło się na Wyszniej Bronie, a potem już był szczyt wzgórza, jakby obszerny płaskowyż dominujący nad miastem.

Na tym płaskowyżu wieszano przeróżnych łotrzyków i stąd jakiś zamkowy skryba, nie wiedząc który, nazwał to wzgórze po niemiecku „Galgenberg”, czyli „góra szubieniczna”. Po jednej stronie Cieszyna wznosił się więc gotycki zamek księcia, po drugiej stronie sterczała pod niebo szubienica z dyndającym na niej łotrzykiem czy ze zbuntowanym chłopem-otrokiem¹⁵.

Aż do pierwszej wojny światowej ów „Galgenberg” był obszernym boiskiem, placem ćwiczeń, „egzercyplacem” wojskowym, gdzie wojacy z „K.u.K. Landwehrregiment Nr 31” oraz ich kamraci z „K.u.K. Infanterieregiment Nr 100”, czyli tak zwani „landwerzy” i „stowacy” uczyli się musztry i rzemiosła wojennego. Dzisiaj pyszni się tu piękne, duże osiedle mieszkaniowe.

Między zamkiem zaś a górą szubieniczną utuliło się drewniane miasto, ustawicznie skłócone ze swym księciem.

Dawni mieszczanie najchętniej dobrozreczyli księciu Kazimierzowi II (1477—1588), który rzetelnie ojcował miastu, obwarował je do reszty w obawie przed najazdem tureckim, rozszerzył prawo milowe do 42 miejscowości, wybudował z cegły i kamienia kościół parafialny, a rynek przeniósł ze Starego Targu na dzisiejsze miejsce.

Miasto wiele korzystało z łaski swego księcia, Kazimierza II największą zaś korzyścią było owo prawo milowe. Znaczyło to, że w jego obrębie nie wolno było osiedlać się żadnemu rzemieślnikowi z wyjątkiem szewców naprawiających obuwie i kowali sporządzających broń, ani nie wolno było zakładać jatki lub karczmy.

Wiele zamieszania w Cieszynie i w całym księstwie cieszyńskim przyniosły nowinki religijne Lutra. Działo się to jeszcze za panowania wspomnianego Kazimierza II, lennika króla czeskiego, będącego równocześnie królewskim namiestnikiem Śląska, czyli „supremus utriusque Silesii capitaneus”. Owe nowinki przynosili tu przeróżni pielgrzymi, pątnicy, łazęgi, wagabundowie, wąsaci wojacy, wandrusi, wagantowie i kupcy. Kazimierz II, przezwany przez kronikarza „Mądrym Księciem”, patrzył przez palce na szerzenie się owych nowinek w swym państwie cieszyńskim i widać w duchu im sprzyjał. Syn jego, Waclaw Adam, po dojściu do pełnoletności upodobał je sobie, stał się apostatą i jął się zabawiać w reformatora obrządków religijnych w myśl wskazań swego mistrza, Marcina Lutra, tworząc dla swego państwa nowe, teraz już luterańskie „Porządki kościelne”. Syn jego, Adam Waclaw, wychowany już po luterańsku, sprzeniewierzył się duchowemu dziedzictwu po swym ojcu, gdyż pewnego dnia stał się zajadłym konwertytą i wraz ze sprowadzonymi jezuitami jął tępić luteranizm w swoim księstwie. I wtedy to,



Cieszyński Rynek

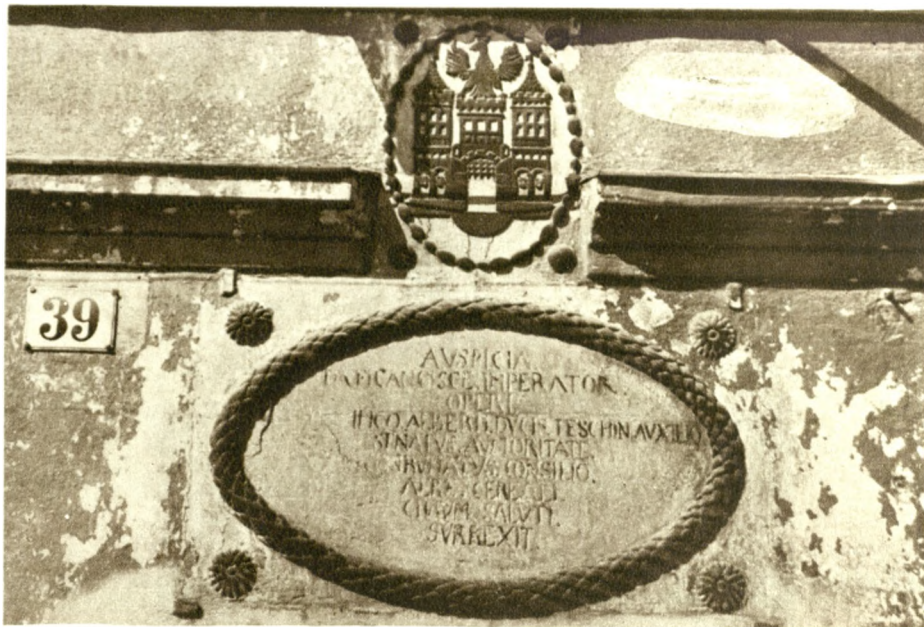


Mennica w Cieszynie

w okresie kontrreformacji, powstało owo znamienne porzekadło, określające upartego człowieka, że „jest twardy jak lutero wiara kole Cieszyna”.

A tymczasem miasto coraz częściej śpiewało żarliwie suplikacje.

Nawiedzały je bowiem pożary i drewniane domy paliły się do przyciesi¹⁶. Nawiedzały je czarne mory i ludzie wymierali szczerze, a najgęściej w roku 1712 podczas morowego powietrza. Najbardziej zaś ucierpiało podczas wojny trzydziestoletniej i siedmioletniej. Kontrybucje wyluskiwały z ubożających kalet mieszczańskich ostatnie ortle, floreny



Herb Cieszyna na dawnej mennicy

i talary, biwakujące w mieście wojska przeróżnego autoramentu objadały mieszczan doszczętnie i dla większego despektu owi wojacy starali się sypiać w mieszczkańskich alkowach z mieszczkami lub ich córkami, gnębiły miasto coraz większe podatki i świadczenia, oblężenia i zdobywania go przez cudzoziemskich soldnerów, rajtarów i uzbrojonych rzeźmieszków.

» A że miasto zbudowano jakby na rozstajnej drodze, wiodącej do Bramy Morawskiej, do Przelęczy Jabłonkowskiej, skąd już jeden krok na Słowacyznę, przeto tędy przejeżdżały karawany kupieckie i wędrowali ludzie ze wszystkich stron świata. A każdy



*Monety z mennicy
cieszynskiej*

Zbór ewangelicki
w Cieszynie



z tych wandrusów coś przynosił: jedni nowinki religijne, inni cholere, a inni jeszcze pięknie inkrustowane strzelby, przezwane „cieszyniankami”, a jeszcze inni bełkotliwą niemczyznę. Ba, nawet piłkę nożną. Bo jak wyszperano w zapiskach miejskich, które nie zdołały spłonąć podczas licznych pożarów, jakiś znamienity Anglik, przejeżdżający przez Cieszyn u schyłku wieku XIX do księcia pszczyńskiego, zatrzymał się na kilka dni w mieście i on to utworzył z kmieci pierwszą drużynę piłkarską. Wystąpiła ona na miejskiej łące, urządzając tak zwane przez statecznych mieszczan „diabelskie igry” w obecności aż... 17 widzów. Mieszczanie wtedy mocno się oburzali, a zadowolony Anglik zafundował swojej kudłatej drużynie w łapciach beczułkę cienkiego piwa zamkowego.

Zdarzało się, że mieszczanie przeżywali w swym szarym żywobyciu coś podobnego do kermaszu, kiedy miasto i świat stają się jakby kolorowe od kolorowych pierników

rozłożonych na straganach, od chorągwi zwisających z ratusza i kościelnych wież i z powodu wypicia wielu beczek piwa zamkowego czy miejskiego i beczułki uherskiego wina. Takim urozmaiceniem był na przykład przejazd przez Cieszyn króla polskiego, Jana Kazimierza, w roku 1605, gdy uchodził przed Szwedami. „Przybył do Cieszyna — pisze miejski skryba — 20 grudnia o 10 przed południem z dwoma tysiącami ludzi na koniach, zjadł śniadanie w domu rezydencyjnym książęcym, poczem sankami pojechał przez Jabłonków na Węgry. Podczas śniadania wolno było każdemu być obecnym.”

Niemale zdziwienie oraz jeszcze większe uradowanie wywołało pojawienie się na cieszyńskim rynku skrzydlatej chorągwi pancерnej Sieniawskiego, spieszącej na odsiecz pod Wiedeń. Główne siły króla Jana III Sobieskiego ciągnęły przez Mysłowice, Piekary i Tarnowskie Góry na Racibórz i Opawę. „Przechód doborowego żołnierza polskiego — pisze ówczesny kronikarz w *Knize weypowiedi* — trwał przez osiem dni.” Ci doborowi żołnierze dopuścili się tu i ówdzie ekscesów — jak wzmiankuje ów kronikarz — lecz placili za wszystko gotówką i w aktach sądowych nie przechowała się na nich żadna skarga.

Szukał tu schronienia sztab konfederacji barskiej, lecz długo tu nie zabawił, gdyż rozkaz cesarski wymówił mu gościnę. A podczas wojen napoleońskich przez Cieszyn

Podcienia Rynku w Cieszynie



przechodziły wielokrotnie wojska rakuskie, napoleońskie i nawet ułani księcia Józefa Poniatowskiego. Wśród owych ułanów znajdował się także poeta Kazimierz Brodziński, który zanotował w swym pamiętniku, że „przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali”. Wówczas to książę Józef Poniatowski bawił w Cieszynie przez sześć tygodni, mieszkając w gospodzie „Pod Złotą Kulą” na rynku, po czym wyjechał po swoją śmierć w rzece Elsterze pod Lipskiem.

Tędy przejeżdżał też car Aleksander I udający się na Kongres Wiedeński i tędy wracał poprzez bramę tryumfalną przez ulice bogato i szczerze iluminowane, fetowany i witany dudniącymi moździerzami.

Te wszystkie zdarzenia nie przesłoniły jednak ponurych wspomnień przekazywanych z ojców na synów, z synów na wnuków, wspomnień z czasów wojny trzydziestoletniej, kiedy to Cieszyn najmocniej ucierpiał. Za panowania księżny Elżbiety Lukrecji w roku 1645, przyplątały się tu wojska szwedzkie, zajęły Cieszyn i zamek, a księżna ze swym dworem schroniła się do Kęt, Szwedów z Cieszyna wypędziły wojska rakuskie pod dowództwem pułkownika Devaggi. Szwedzi schronili się na zamek. Zaczęło się oblężenie zamku. Austriacy ostrzeliwali go z armat, zniszczyli jego górną część, wszystkie komnaty książęce legły w gruzach, a gdy w końcu Szwedzi skapitulowali (w roku 1646) i wyszli z zamku, zostali wymordowani i pogrzebani za bramą, tak zwaną frysztacką.

Cieszyn, ulica Przykopa





Rotunda romańska w Cieszynie



*Kościół katolicki
w Cieszynie*

Zamku tego już nigdy nie odbudowano. Gdy po śmierci Elżbiety Lukrecji księstwo cieszyńskie przeszło w ręce Habsburgów, rozebrano ruiny, a z owego materiału zbudowano obecny zamek w stylu neoklasycyźnym. Pozostały tylko nienaruszone wieża i rotunda. Podczas pierwszej wojny światowej, gdy na zamku cieszyńskim przebywał sztab generalny niemiecko-austriacki, arcyksiążę Fryderyk Habsburg kazał wznieść sztuczne ruiny drugiej baszty zamkowej dla cesarza Wilhelma II, który lubował się w takich historycznych oszustwach architektonicznych.

Stosunki między zamkiem a miastem w ciągu wieków nie układały się pomyślnie poza jedynym przypadkiem, gdy panował Kazimierz II. Mieszczanie wadzili się z książętami, buntowali, pisali supliki do cesarza, skarżyli, sądzili, targowali, ubożeli coraz bardziej, a wraz z nimi ubożeli książęta. Dochodziło do tego, że książę Waclaw Adam, posiadający szeroki gest dla swych gości, lubiący wystawiać się na iście książęcy przepych, uciekał się nieraz do mieszczan z prośbą o poratowanie w potrzebie. Brakło na zamku wina dla gości, pożyczali go księciu mieszczanie. Brakło talarów — pożyczali mieszczanie. Gorzej było z oddawaniem. Biedą przyciśnięty książę postanowił przeto

szukać złota w ziemi. Przywołani wiergulowie¹⁷ szukali go różdżką, zwaną *Virgula furcata*, lecz złota nie znaleźli. Znaleźli rudę żelazną. Książę jednak nie wiedział, co z nią uczynić, przeto umarł w książęcym niedostatku.

A gdy księżna Elżbieta Lukrecja wychodziła za księcia Gundakera Lichtensteina, zażądała od miasta Cieszyna i swych poddanych podarunku ślubnego. Nazywało się to „panieński podatek”. Poddani złożyli przeto trzy tysiące talarów, lecz księżna żądała więcej, tłumacząc, że jej długi są o wiele większe od ofiarowanego jej „podatku panieńskiego”.

Na księżnie Elżbiecie Lukrecji wygasa ród Piastów cieszyńskich, Ziemia Cieszyńska zaś dostaje się Habsburgom. Arcyksiążę Karol Habsburg wznosił nowy zamek ze szczyt-

*W Cieszynie żyli
słynni piernikarze*



ków dawnego zamku piastowskiego, a w zamku tym jęła urzędować tak zwana Komora cieszyńska, czyli zarząd dóbr arcyksięcia. Owa Komora stała się osławioną protektorką niemczyzny na całym Śląsku Cieszyńskim.

Komorze chodziło przede wszystkim o zniemczenie Cieszyna. Dotychczas bowiem był on polskim miastem, mieszczanie i radni posługiwali się językiem polskim, ba, nawet sam burmistrz cieszyński, ów Klucki, z pochodzenia Słowak, zdołał się spolszczyć i wspierał polski ruch narodowy w Cieszynie. Niemczyznę przynieśli tutaj nasyłani od początku wieku XIX urzędnicy i sprowadzani rzemieślnicy i kupcy. Wciąż jednak w mieście przeważała polszczyzna. Stosunek ten zaczął się zmieniać, gdy za sprawą Komory arcyksiążęcej założono w Cieszynie niemiecką szkołę główną, czyli gimnazjum.

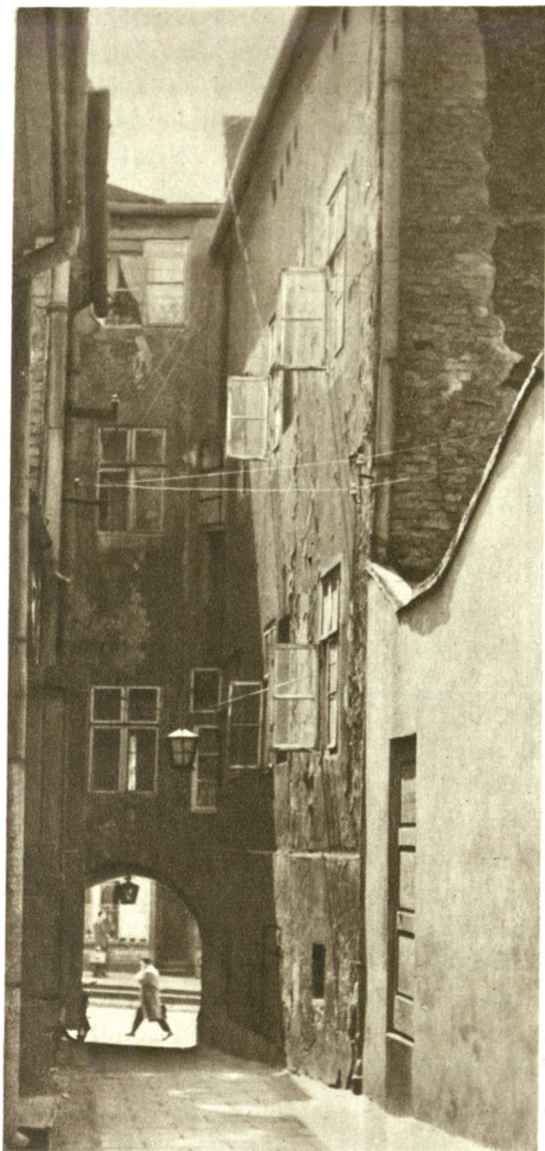
Pod koniec XIX wieku zaczęła się więc zawzięta germanizacja Cieszyna, niemieckie szkoły ludowe i dwa gimnazja niemieckie wraz z niemieckim seminarium nauczycielskim jęły „produkować” Niemców z polskiej młodzieży chłopskiej, uczęszczającej do tych szkół.

Rosnący zaś polski ruch narodowy, zapoczątkowany od roku 1847, jął się przeciwstawiać owej germanizacji. Cieszyn stał się terenem zażartych walk narodowościowych między napływowymi Niemcami i renegatami a polskim mieszczaństwem. Walka była nierówna, bo Niemców wspierał kapitał i władze. W tej walce o polski stan posiadania, zapoczątkowanej przez Pawła Oszeldę, Pawła Stalmacha i Jerzego Cińciałę, wyróżnili się tacy ludzie jak: Karol Miarka, ks. Ignacy Świeży, rodzina Michejdów, Jan Śliwka, Jan Kubisz, ks. Józef Londzin, popadający z tego powodu w niełaskę u wrocławskiego kardynała Koppa (Cieszyn i Ziemia Cieszyńska należały wówczas do diecezji wrocławskiej), następnie dr Jan Galicz, Tadeusz Reger, dr Franciszek Popiołek. Oto nazwiska najwybitniejszych działaczy narodowych i społecznych.

Cieszyńscy Niemcy tworzyli coraz to nowe szkoły i kursy w celach germanizacyjnych, wywoływali nawet pogromy polskie w mieście przy pomocy młodzieży niemieckich szkół średnich, kupczyków i pisarzyków biurowych — a co najsmutniejsze, że owa młodzież była w przeważającej części pochodzenia chłopskiego z okolicznych wsi polskich, a więc młodzież polska, lecz już zniemczona lub niemcząca się — a równocześnie wzmagał się polski żywioł, robotnik śląski stawał się coraz bardziej uświadomiony narodowo i klasowo, chłop śląski jął się skutecznie opierać presjom i szantażom Komory arcyksiążęcej. W rezultacie, po wielu walkach i utarczkach w parlamencie austriackim i na sejmie opawskim, powstało w Cieszynie pierwsze gimnazjum polskie, polska szkoła ludowa i wydziałowa, a w końcu seminarium nauczycielskie na przedmieściu Cieszyna, na Bobrku, o czym już poprzednio wspomniano.

Szkoły te położyły kres dalszej germanizacji Cieszyna i śląskiej młodzieży i one spowodowały, że kiedy po pierwszej wojnie światowej ważyły się losy Ziemi Cieszyńskiej, większa jej część z połową Cieszyna znalazła się w granicach Polski.

Cieszyn stał się śląskim Krakowem, a Wieża Piastowska takim samym symbolem dla Ziemi Cieszyńskiej, jakim był Wawel dla całej Polski. Rzeka Olza urosła do wartości



Cieszyn, ulica Kominiarska za dnia i w nocy

świętej rzeki, a rzuwna pieśń o niej, zaczynająca się od słów wydumanych przez nauczyciela Jana Kubisza „Płyniesz Olzo po dolinie, płyniesz jak przed laty...” była nucona jako śląski hymn narodowy i zajmowała poczesne miejsce w narodowym obrzędzie świątecznym obok „Jeszcze Polska nie zginęła” i obok „Roty”, napisanej w Wiśle przez Marię Konopnicą na prośbę ks. Londzina. Orzeł piastowski zaś stał się wzniosłym krewniakiem polskiego białego orła. A mowa polska na Ziemi Cieszyńskiej, mowa o zabarwieniu archaicznym, staropolskim, uważana jest przez cieszyńiaków i uczonych lingwistów za najpiękniejszą gwara polską.

O żywotności polskiego żywiołu w Cieszynie i okolicy świadczy fakt, że podczas gdy cieszyńscy Niemcy mogli się zdobyć na wydawanie tylko nielicznych pism, między innymi „Silesii”, przezwaną wzgardliwie „cieszyńską ciotką”, wychodziło tu kilka polskich śmieie i nieraz buntowniczo poczynających sobie, jak: sędziwa „Gwiazdka Cieszyńska”, „Robotnik Śląski”, „Głos Ludu Śląskiego”, „Dziennik Cieszyński”, „Poseł Ewangelicki” oraz kwartalnik regionalny „Zaranie Śląskie”.

Prawie wszystkie te pisma drukował Mitrega przy dzisiejszej ulicy Michejdy, a księgarnia „Stella” konkurowała skutecznie z księgarnią Edwarda Feitzingera na Wyższej

„Aleja westchnień” nad Olzą



Cieszyn
ulica
Stroma



Bramie, parającej się wydawaniem jarmarcznych broszur w koszlawej polszczyźnie, i z nacjonalistyczną księgarnią niemiecką Ruffa oraz z niemiecką księgarnią Stuksa.

W okresie hitlerowskiej okupacji wydawało się wprawdzie, że skończyła się polskość Cieszyna. Nie skończyła się jednak, tylko ukryła się w podziemiu. Podziemie zaś składało się z ludzi zuchwałych, nawet bardzo zuchwałych, którzy wydali walkę hitleryzmowi. Gdy jedni, polska inteligencja, młodzież i księża, ginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych — niewielu z nich wyszło cało z tamtego piekła — inni konali na szubienicy pod Cieszynem nad Olzą, to jeszcze inni uszli w beskidzkie lasy do partyzantów, by wspólnie z radzieckimi spadochroniarzami mścić hitlerowskie zbrodnie.

A dzisiaj?

Dzisiaj Cieszyn jest tak samo rdzennie polskim miastem, jakim był przed wiekami, zanim pojawili się tu niemieccy koloniści.

Wędrując po jego ulicach, uliczkach i zaułkach odkrywamy przedziwną dostojność i urok. Każda uliczka i ulica mogą nam dużo opowiedzieć o jego dziejach. Chociażby owa najdłuższa, stroma ulica Armii Czerwonej, zmieniająca pięć razy swoją nazwę w ciągu pięciu wieków, albo taki dzisiejszy Plac Teatralny.

Przybusia czaruje ulica zwana Przykopą, biegnąca kręto wzdłuż dawnych murów obronnych i przemieniająca się w cieszyńską Wenecję, z szeregiem starych domków parterowych stojących tuż nad młynówką. Albo Plac Farny z dominikańskim kościołem z wieku XIII. Albo ulica Szersznika, Górny Rynek, Stary Targ i chociażby taka ulica Stroma nie ciesząca się za czasów austriackich zbyt pochlebną sławą. Albo ulica Scho-dowa, czy Sejmowa z zejściem do Studni Trzech Braci. Najpiękniejszy zaś jest bez ochyby¹⁸ Rynek z kamienicami i podcieniami z roku 1800 i z ratuszem z barokową wieżą i dawnym odwachem. A nad miastem dominuje przy Placu Kościelnym majestatyczny kościół protestancki, wzniesiony w roku 1709 po wielu latach prześladowań religijnych, po kontrreformacji, na skutek interwencji króla szwedzkiego Karola XIII.

A gdy z Cieszyna udać się „cesarską cestą”¹⁹ w kierunku Krasnej, można przystanąć obok dawnej gospody „Pod gruszką” i podziwiać fantastyczną panoramę Cieszyna i okolicy.

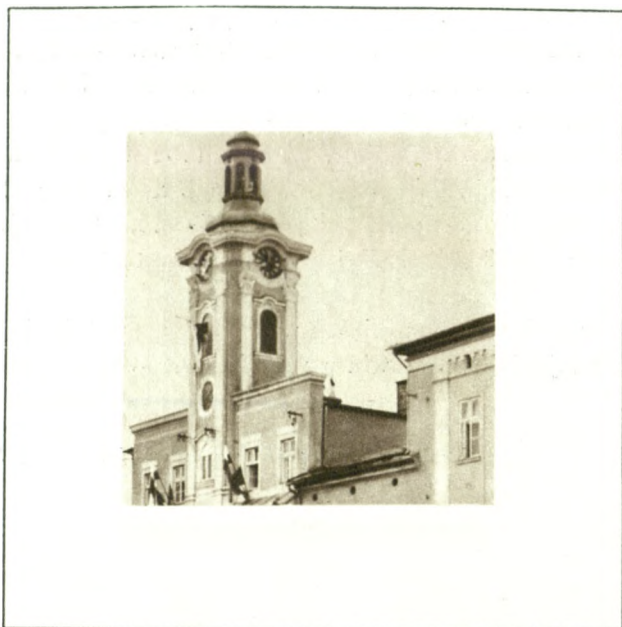
Cieszyn jest przedziwnie uroczym miastem, do którego chętnie się wraca, gdyż każdy, kto raz tylko tu się znajdzie, pozostawia w nim drobinę swego serca.

Zwornik gotycki (zbiory muzeum cieszyńskiego)



5

O burgrabiowskim mieście Skoczowie



Nikt nie umie powiedzieć, kiedy burgrabiowskie miasteczko Skoczów zaczęło istnieć lub kto je założył. Piastowscy kronikarze zamkowi i miejscowi skrybowie prawdopodobnie zanotowali to niezwykle zdarzenie, lecz ich cenne kroniki i annały miejskie, złożone w zamczystych skrzyniach na ratuszu, zgorzały podczas wielkiego pożaru, jaki nawiedził Skoczów w roku 1470.

A pożarów tych w ciągu wieków było sporo.

Domyślni historycy mniemają uczenie, iż z pewnością założył je niejaki Skocz, albo Skot, przewany dlatego Skotem, że posiadał albo sporo bydła, albo grzywnę srebra.

I że nie było to miasteczko, lecz mizerna wioszczyna. Być może, że ów Skocz czy Skot utworzył osadę, która od jego nazwiska czy przezwiska mianowała się Skoczowem.

Inni przypuszczają niezręcznie, że owa nazwa powstała od „skaczącej” wody w Wiśle, płynącej tuż pod Skoczowem. Starzykowie zaś bajają, że to nieprawda z tym jakimś Skoczem czy Skotem oraz z tą skaczącą wodą pod miastem, a prawdą jest bez ochyby, że w bardzo zamierzchłych czasach Skoczów znajdował się w dzisiejszym Piekielku, na miejscu grodziska w Międzywiciu i że, widać, za jakąś nieczystą sprawą owo miasto przeskoczyło z Piekielka nad Wisłę. A jeżeli przeskoczyło, więc słuszną rzeczą, że mogło nazywać się Skoczowem. Inni jeszcze twierdzą, że tamto grodzisko na wydmuchowisku, nad potokiem Bładnicą, dlatego nazywa się dzisiaj Piekielkiem, bo w onymże miejscu stało miasto bardzo wszeteczne i grzeszne, że mieszkali w nim same pijaki i nieznabogi i za karę zapadło się na samo dno piekła wraz z kościołem, ratuszem, burmistrzem i mieszczanami. A jeszcze inni gotowi przysięgać, iż Skoczów dlatego nazywa się tak pięknie Skoczowem, ponieważ polska królowa Wanda nie chciała Niemca za męża i skoczyła do Wisły pod Skoczowem.

Ta ostatnia wersja nie przyjęła się zbyt pochopnie, jako że sceptyczni skoczowianie twierdzą, iż w takiej podskoczowskiej Wiśle woda sięga człowiekowi zaledwie po pępek, i to w najgłębszym miejscu. Trudno więc przypuszczać, że królowa Wanda mogłaby się w takiej płytkiej Wiśle utopić.

Jak to tam wszystko było po prawdzie, trudno dzisiaj powiedzieć. Z najstarszych dochowanych zapisków kronikarskich na cieszyńskim zamku wiemy tylko tyle, że „oppidium Zehotschow”, czyli miasto Skoczów, wymienia po raz pierwszy dokument Piasta, księcia Kazimierza z roku 1327. Jeden z niemieckich kronikarzy twierdzi, że Skoczów powstał gdzieś w XIII stuleciu, o czym świadczy rzekomo pieczęć miejska z roku 1267 z napisem „Sigillum civitatis skocoviensis”.

Niedowiarkowie jednak, których wszędzie pełno, twierdzą, że to wierutne łgarstwo, gdyż zaszła tu pomyłka w odczytaniu owej daty mocno zatartej na wspomnianej pieczęci, że ta pieczęć była znaczona rokiem o wiele późniejszym, bodaj czy nie 1667.

Czy ową datę ze skoczowskiej pieczęci dobrze lub źle odczytano, wcale to nie przeszkadza twierdzić skoczowianom, że ich miasteczko jest jednym z najstarszych miast śląskich i że działa się w nim nie byle jakie rzeczy, o których długo można by mówić przy ąsiorku wina.

Miasteczko istniało więc za pierwszych Piastów cieszyńskich i było widocznie oczkiem w ich głowie, gdyż przysparzało sporo talarów dziurawym szkatułom książęcym. Leżąc bowiem na drodze wiodącej od Krakowa do Bramy Morawskiej, a więc na drodze kupieckiej tuż nad Wisłą, pobierało ono sute myto od kupców usiłujących przejechać przez most nadwiślański.

Założone na prawie magdeburskim, zaludniane niemieckimi kolonistami, obdarzone z początku różnymi książęcymi przywilejami, szczycące się swym rynkiem, z którego wychodziło na świat osiem ulic, a nie sześć lub zgoła cztery, jak w innych podległych miasteczkach — mogłoby się rozwijać, gdyby nie te nieszczęsne pożary trawiące dREW-

niane domy mieszczańskie i gdyby nie te ustawiczne najazdy cudzoziemskich wojsk rozbijających się po Ziemi Cieszyńskiej.

A na domiar złego wszystkie prawa miejskie, nadawane i zatwierdzane przez cieszyńskich Piastów przez kilka wieków, diabli wzięli w XVII stuleciu na skutek srogich zamieszek wywołanych nowinkami religijnymi, reformacją i kontrreformacją. Zniósł je bowiem cesarz rakuski Leopold I.

I jakby tego było jeszcze za mało, raz po raz pojawiała się tu morowe powietrze, czyniące srogie spustoszenie wśród mieszczańskiego pogłowia, a największe, w roku 1623, wyprawiło na drugi świat aż 287 skoczowian.

„Od wojny, ognia i moru wybaw nas, Panie!...” śpiewali wtedy żarliwie po polsku wszyscy mieszczanie. I ci tutejszego pochodzenia, i przybusie znad Renu, jako że Niemiec koloniści zapominali swej mowy, modlili się i wołali do Boga po polsku i kramarzyli w spokojniejszych czasach także po polsku.

Kramarzyli zaś, czym potrafili. A więc szyli buty, piekli pierniki, robili beczki, trumny i kołyski, warzyli cienkie piwo, kroili szaty dla siebie i wielmożów, lepili garnki, kuli podkowy, jeździli z tym wszystkim po odpustach i jarmarkach, garbowali skórę, garbowali ją nawet niesfornym pierścizanom²⁰, którzy także warzyli piwo i czynili na despekt skoczowskiemu piwu, szynkując je taniej, piekli raz biały, raz ciemny chleb ościsty z zakalcem podczas „głodnych roków”, pobierali myto na wiślanym moście, strugali szyndzioly, czyli gonty dla cieszyńskiego zamku i okolicznych dworów pańskich, skupiali się w cechach, sławili wielkim, śpiewającym głosem patrona Skoczowa, błogosławionego Jana Sarkandra, który urodził się w przyratuszowej piwnicy podczas pożaru w roku 1576. Miasto zaś paliło się raz po raz mniej lub więcej doszczętnie, mieszczanie gorzko narzekali, gdy wypadało opłacać się cudzoziemskim regimentom, przycichało ze zgrozy, gdy przeróżni wandrusi, pątnicy z Ziemi Świętej i włóczykije przywlekali z sobą czarny mór, wędrowali po świecie jako czeladnicy, wielkich fortun wcale się nie dorabiali, bo nie było z czego, i tak wiedli, zafrasowani, pobożny i pracowity żywot.

Najszczodroblejszym przywilejem, przynoszącym jaki taki profit, było prawo warzenia piwa. Co tydzień warzył je inny mieszczanin, a każdy czerpał wodę z potoczka ciekącego przez miasteczko. Potoczek nazywał się Żabiniec.

Niedaleko Skoczowa osiadło między stawami i barzynami jeszcze mniejsze miasteczko, Strumień. Strumieniacy patrzyli jakoś krzywym okiem na swych skoczowskich sąsiadów i oni to puścili w obieg złośliwą plotkę, że gdy w Skoczowie jest czas warzenia piwa, wychodzi na rynek miejski policjant z krzywą szablą, płatającą mu się przy nodze, z bębniem na brzuchu i ogłasza na czterech rogach rynku, że jutro będzie imé pan ten a ten warzył piwo i dlatego upomina się wszystkich mieszczan, by się warowali wylewać nieczystości do Żabińca...

Skoczowianie odpłacali się strumieniakom pięknym za nadobne. Puścili w świat również złośliwą plotkę, że na strumieńskim ratuszu jest drewniany zegar smarowany kiszką, czyli zsiadłym mlekiem, i że „rafigi”, czyli wskazówki, posuwa wiatr i że ów zegar naciąga pan burmistrz grabiami. A ponieważ wiatr nie zawsze kręcił wskazówkami,



Skoczów. Po kosze, grabie, zabawki...

a pan burmistrz miał inne kłopoty na głowie, aniżeli naciąganie zegara grabiami, przeto zegar nie wskazywał godzin. Strumieniacy jakoby wtedy tylko poznawali, kiedy jest południe i kiedy trzeba dzwonić na Anioł Pański na kościelnej wieży, gdy ich cysterna rynkowa, czyli „czyszczarnia” była pełna z wylanych do niej naczyń nocnych.

Szpetnie więc przygadywali sobie po sąsiedzku jedni drugim, lecz tylko tak długo, dopóki nie pojawiła się jakaś nowa zbrojna hołota! A tej hołoty, łączącej niesfornymi kupami po Ziemi Cieszyńskiej, było bez liku.

A więc, jak pisze nader uszczypliwie niemiecki kronikarz, „polnische Banden” (byli to Lisowczycy, czyli chorągiew elearska za czasów Zygmunta III, walcząca na Węgrzech i we Włoszech, wypożyczona cesarzowi austriackiemu) splądrowały Skoczów, narobiły „beszperajstwa”, czyli spustoszenia i obrazy boskiej, zjadły wszystkie gęsi i wypily wszystko piwo. Pojawili się węgierscy huzarzy z hajdukami, wymuszając od biednych skoczowian trzy tysiące talarów okupu. Był tu Mansfeld podczas wojny trzydziestoletniej ze swymi duńskimi jurgieltnikami. Była kontrreformacja. Niemało strachu napędziły skoczowianom łupieżnicze zgraje Tökölego, ograbiające Bielsko. Pokutę obiecywali i o mało w zgrzebne wory oblekali się i głowy posypywali popiołem, gdy do granicy śląskiej od południa docierali Turcy. Truchleli, gdy podczas wojny siedmioletniej Prusacy zapuszczali swoje zagony o kilka mil od Skoczowa. A dziwili się ogromnie, gdy patrzyli na przejeżdżającą skrzydlatą chorągiew Sieniawskiego, jadącą na Turka pod Wiedeń. Żalowali tylko, że król Jan III Sobieski, zamiast przez Skoczów, pociągnął przez Bytom i Tarnowskie Góry. Podziwiali smętny poczet króla Jana Kazimierza uchodzącego wtedy na Cieszyn i Słowacyznę przed Szwedami. I rzewnie wzdychali na widok jakichś znamienitych polskich panów o sumiastych wąsach, zmęczonych i głodnych, podobnych do pątników pielgrzymujących Bóg wie jak z daleka i nie wiadomo za jakie grzechy.

— Kto wy jesteście, za przeproszeniem? — pytali przybusiów.

— Myśmy sztabem konfederacji barskiej! — odrzekli tamci hardo.

Skoczowianie nie słyszeli nigdy o jakiejś konfederacji barskiej. Przypuszczali jednak, że to jacyś nieszczęśliwi ludzie szukający schronienia na Śląsku. Nakarmili ich przeto, napoili szczerze mieszczzańskim piwem, ugościli czym mogli, a potem słuchali, jak tamci opowiadali dziwne rzeczy o Polsce.

Słuchali chętnie, gdyż niewiele o niej wiedzieli.

Usłyszeli więcej, gdy gruchnęła wieść po całej Ziemi Cieszyńskiej, a która dotarła także i do Skoczowa, że jakiś generał Kościuszko porwał się z kosą na „Mozgola”. Ubolewali szczerze, że biedakowi nie poszczęściło się, gdyż przegrał batalię i poszedł do aresztu. Byleby mu tylko łba nie ścięto, jak nieboszczykowi Pilutce za czasów Czarnej Księżny!... Chłopi w okolicznych wsiach wiedzieli trochę więcej, bo przebąkiwali o jakimś kościuszkowskim uniwersale połanieckim i o złagodzeniu pańszczyzny. Nic jednak z tego nie wyszło, bo śląskim panom ani się śniło o respektowaniu jakiegoś tam uniwersału połanieckiego.

A potem wciąż działy się przedziwne rzeczy na dalekim świecie. Dalekie echa tych zdarzeń docierały na skoczowski rynek, gdzie pod świętym Jonaszem, koło czyszczarni, gromadzili się co stateczniejsi mieszczanie i politykowali. Oto pojawił się jakiś wielki cesarz Napoleon, który postanowił zawojować cały świat! I tylko czekać, kiedy przyjdzie zawojować Skoczów. A wtedy o jerum, jerum!...

I doczekali się. Przez kilka dni mieszczanie patrzyli zdumieni na ciągnące przez rynek regimenty dziwnego żołnierza, cudacznie ubranego, ze srogimi flintami najeżonymi szpikulcami, gadającego chyba po cygańsku lub „egipcyjańsku” jak wiślańskie utopce. Dopiero majster bednarski, imię pan Kilian, który sporo świata zjeździł ze swymi

beczkami i szaflikami, powiedział, że gadają po francusku jak wielcy panowie. I do wielkich panów byli podobni, gdyż niepomiernie łakomili się na niewieściami cnotę, a kradli, co tylko zobaczyli: kury, gęsi, nawet kozom i krowom nie przepuścili. A gdy się dorwali do beczek z piwem, złopali je, a potem spluwali i powiadali, że „mal bière” i domagali się wina. Wino było, owszem, takie porzeczkowe, z jabłek, z diablích gruszek, lecz gdy je wytrąbili, jeszcze bardziej spluwali i wrzeszczeli, że „mal vin”. Jeśli się przeto dobierać do skoczowskich białogłów. I wtedy jakoś się umitygowali. Mieszczanie zaś ogromnie się dziwili, że tyle napoleońskiego wojska wali i wali na wschód na „Mozgola” i przepowiadali straszną wojnę i rychły koniec świata. A jeżeli nie koniec świata, to przenaremny głód, cholera i inną jeszcze karę boską.

Wszak żywo mieli jeszcze w pamięci, jak jednego zimowego dnia — a było to w roku 1805, czyli przed siedmiu laty — na skoczowskim zamku, gdzie włodarzył książęcy burgrabia, jak na owym zamku szukała schronienia wystraszona arcyksiężna Maria Luiza, córka rakuskiego cesarza Franciszka I. Uciekała biedaczka przed owym srogim Napoleonem, który dybał niecierpliwie na jej cześć dziewiczą i na rakuskie cesarstwo. Skoczowianie litowali się bardzo nad nią i, świadomi sprawy, opowiadali pod świętym Jonaszem lub w gospodzie pana Fafuły, jak arcyksiężna płacze w zamkowej komorze i załamuje białe rączki z wielkiego utrapienia i obiecuje, że jak ją ten Napoleon będzie nadal prześladował, utopi się w Wiśle i koniec! Chyba że ją skoczowscy mieszczanie obronią przed Napoleonem, podobnym z postury do smoka pożerającego dziewicę.

Nie musieli jej bronić, bo rychło biedulka pozwoliła się Napoleonowi uwieźć i uwieść, i rychło odbyło się wielkie cesarskie weselisko w burgu wiedeńskim. Potem arcyksiężna chwaliła sobie cesarski żywot.

Gdy więc mieszczanie widzieli tyle przeciągających regimentów Napoleona, podobnych do regimentów wąsatych Cyganów, znowu rzewnie żalowali arcyksiężny. Czyniły to zwłaszcza mieszczyki, bo wyobrażały sobie owego Napoleona jako brodatego i wąsatego wojaka, gadającego sprośnymi słowami, obzerającego się szperką i złopiącego gorzałę.

Nic też więc dziwnego, że mu przepowiały mizerny koniec i palec boży. Przepowiednie ziściły się, bo oto jednego dnia nadleciała tryumfująca wieść, że tenże Napoleon został sromotnie pobity w Rosji za to, że zniewolił takie arcyksiężące chucherko dziewicze — Marię Luizę. I że już teraz pisany koniec temu synowi Lucyfera.

Nie był jeszcze koniec, bo za rok mieszczanie znowu się niepomiernie dziwili i w dłonie plaskali ze zdumienia na widok prześlicznych, kolorowych ułanów polskich, przeciągających szumnie i hyrnie przez skoczowski rynek na Cieszyn. A jeszcze bardziej dziwili się i jeszcze bardziej plaskali w dłonie i kiwali głowami na widok urodziwego księcia Józefa Poniatowskiego, wiodącego swych ułanów pod Lipsk.

Jak podaje ówczesny skryba, mieszczyki skoczowskie mdlały z emocji na jego widok, dostawały palpitaacji serca i trzeba było rzeźwić je solami i zimną wodą, lub zgola szturchać z zazdrosnych mężów.

Mieszczanie tryumfowali potem, gdy doczekali się naprawdę kary boskiej dokonanej na Napoleonie. Ich ukontentowanie przypieczętował car Aleksander, który z końcem



Gustaw Morcinek wśród Cieszyńian

września roku 1814, jadąc na Kongres Wiedeński, zatrzymał się w Skoczowie i przemocował w burgrabiowskim zameczku. Mieszczki przebolewały po trosze śmierć księcia Józefa Poniatowskiego, tym bardziej, że wielebny pan ks. Warcynga powiedział na kazaniu, iż był to mason i nieznabóg, taki farmazon²¹ z piekła rodem. Jęły się teraz interesować carem Aleksandrem. A miały się czym interesować, bo gdy wracał z Kongresu, znowu zatrzymał się w onymże skoczowskim zameczku, pojadł sobie niezgorzej, popił jeszcze lepiej, a żonie „Kammerverwaltera”, czyli burgrabiego, pani Wiktorii Langerowej, ofiarował kosztowny naszyjnik, wart 500 guldenów. Za co, nikt nie wiedział. Wiedziały tylko skoczowskie dewotki i roznosiły plotkę po mieście, że iście imościnka Langerowa otrzymała za to taki cenny upominek, gdyż oboje przędli w tamtą noc złe nici. Mieszczanie zaś chwalili szczodrość „ruskiego cara”, który widać był ukontentowany, że na Kongresie zdołał wyszachrować dla siebie prawie całą Polskę.

Potem znowu nastąpiły dni ciche i spokojne. Konie przejeżdżających karawan kupieckich cyskały wodę w rynkowej czyszczarni i patrzyły płochliwie na świętego Jonasza, jak potocznie nazywano całkiem porządnego Trytona, siedzącego okrakiem na młodziutkim wielorybie. Trytona wyrzeźbił trochę niezdarnie, lecz kunsztownie radca miejski, pan Wacław Doney, z szarego piaskowca. Mieszczanie byli bardzo dumni z tego powodu i nie chcieli gadać z byle kim, a przede wszystkim ze strumieniakami, którzy mieli także czyszczarnię na rynku, lecz bez świętego Jonasza. Żeby mieli przynajmniej świętego Floriana, jak cieszyńscy, to jeszcze... A ten święty Jonasz stał na kamiennym słupie na środku czyszczarni od roku 1755. A co najciekawsze, że z muszlizymanej na grzbiecie, lała się woda i wyciekała stróżka z paszczy młodego wieloryba.

Byłoby nadal cicho i sennie w Skoczowie, gdyby raz po raz nie pojawiali się w nim przybusie, jacyś polscy powstańcy i gdyby raz po raz żandarmi nie przywiedli jakichś dziwnych ludzi w kajdanach i nie zamykali ich na noc w miejskim areszcie. Ci powstańcy przyszlizli i znikali. Tamci w kajdanach, zamknięci w areszcie, śpiewali po nocy dziwne pieśni o Polsce, która jeszcze nie zginęła i o jakimś dniu krwi i chwały, i o tym, że nie dbają jaka spadnie kara, mina, Sybir, czy kajdany...

Mieszczanie słuchali zdumieni i patrzyli na wąsatego żandarma, który chodził pod zakratowanym okienkiem aresztu. A zapytany, kto to są ci śpiewający aresztanci, wyklarował z czeška po niemiecku, że to są polscy insurgenci, którzy chcieli „zawraździć pana cesarza”, czyli którzy zamierzali zarżnąć pana cesarza kozikiem. I teraz udają się do więzienia w kazamatach Spielbergu.

Skoczów. Muzeum Gustawa Morcinka



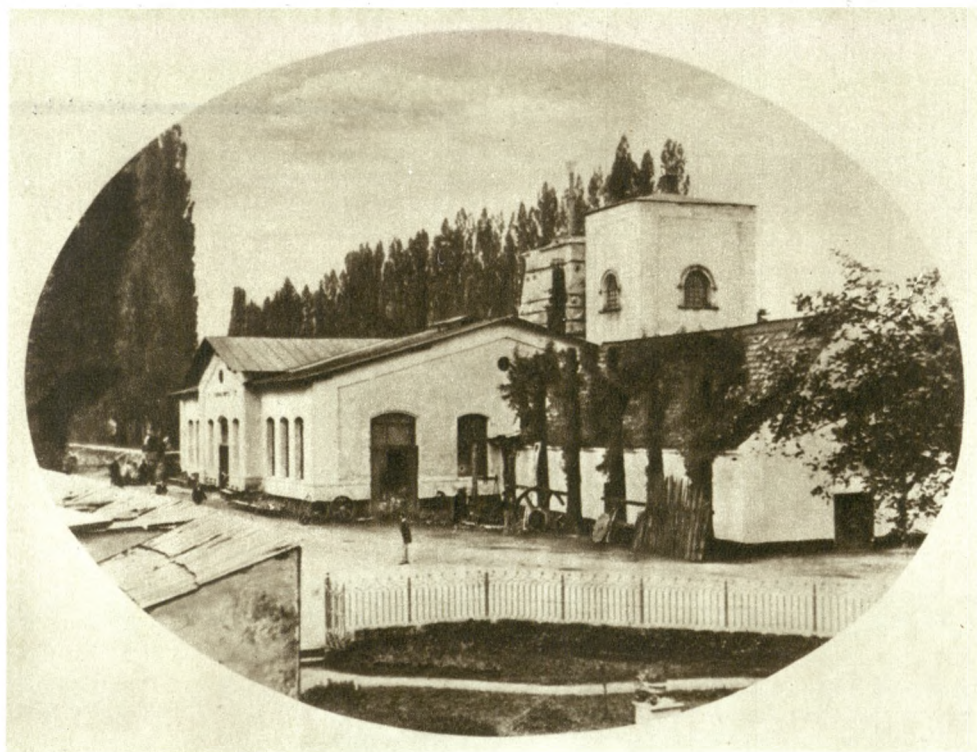
Mieszczanom żal było młodych polskich insurgentów, ale i żal im było cesarza, na którego życie dybali śpiewający. Odchodzili przeto w rozterce i wcale się nie zżymali, gdy nazajutrz chłopcy obrzucili kamieniami i kobylińcami prowadzonych powstańców.

A potem jeszcze powstał w Skoczowie wielki szum i rozruch, gdy przeróżne wandrusy, żebraki i dziady kalwaryjskie przyniosły przedziwną wieść ze świata. Oto w dalekim mieście, które nazywa się Paryż, i w drugim mieście, które nazywa się Berlin, ba, nawet w cesarskim Wiedniu dzieją się straszne rzeczy. Tameczni rebelianci zagrodzili ulice barykadami z beczek po kapuście, połamanych szaf i wozów, tłuką się z cesarskimi wojakami, a trony trzeszczą, a strach padł na cesarzy i chyba to wszystko wróży koniec świata. Rychło jednak jęło się dziać coś podobnego w Cieszynie, ba, nawet w Bielsku, gdzie książę Sułkowski wybrał się ze swoją gwardią do Wiednia na pomoc rebeliantom. I to wszystko nazywało się bardzo pięknie Wiosna Ludów.

Wiosna Ludów!

Wtedy mieszczanom przypominał się niejaki Pilutka, zwykły łyk skoczowski, który był iście takim samym rebeliantem przed wielu laty. Wygadywał on szpetnie na niesprawiedliwość panów, na radę miejską, ba, nawet na książęcą zwierzchność i głosił publicznie, że wszystkich panów należy albo zarżnąć, albo powiesić. Widać, musiał to

Nie istniejąca już dzisiaj kuźnia w Ustroniu, z około 1870 r.





Zamek w Grodzisku

być jakiś pociotek beskidzkiego „hajtmana” zbójnickiego Ondraszka albo też Ondraszek był jego pociotkiem. Dosyć na tym, że zwierzchność miejska wtrąciła Pilutkę do loszka, a sąd miejski wydał nań wyrok, iż za swoje zuchwałstwa będzie roztargan na ćwierci czterema końmi. Wtedy Pilutka uderzył w pokorę i zwrócił się ze supliką do Czarnej Księżny, dopraszając się łaski i przebaczenia. Czarna Księżna, słynąca z niezwykłej dobroci i gołębiego serca, zmieniła wyrok skoczowskiego sądu miejskiego. Zamiast rozdarcia Pilutki czterema końmi na cztery ćwierci, kazała ściąć jego pyskaty łeb rebeliancki.

I gdy teraz mieszczanie słuchali różnych przybusiów i biegunów o wielkiej rebelii w świecie, o Wiośnie Ludów, barykadach, o ucieczce cesarza i królów ze stolic, przypomnieli sobie Pilutkę i w ich serca wstąpił wielki duch bojowy. I oni chcieliby stawiać na uliczkach Skoczowa barykady z beczek pana majstra Kiliana i przepędzać pana cesarza z miasta. A ponieważ pan majster Kilian nie chciał dać beczek na barykady, a pana cesarza nie było w Skoczowie, więc swego wojowniczego ducha przekazali mieszczkom. Mieszczki skrzyknęły się przeto pewnego dnia, zarzuciły powróż na szyję świętego Jonasza, ściągnęły go ze słupka w czyszczarni i powlokły w tryumfie w krzaki na ulicę Wałową. Uczyniły to zaś dlatego, ponieważ święty Jonasz gorszył dziewczyny, młodzików, ba, nawet statecznych mieszczan zbyt wielką golizną i napędzał im do głów nieskromne myśli. Święty Jonasz straszyl potem po nocach na ulicy Wałowej, jęczał, stękał i biadolil, nie pozwalał spać mieszczanom i to było przyczyną, że biedaka powleczone

do krzaków na stoku Kaplicówki. Pasterze poubijali mu ramiona, jedną nogę i nos, i kunsztowne dzieło rzeźbiarskie radey Waclawa Doneya skończyło w pohańbieniu.

Ów święty Jonasz, a po prawdzie Tryton, stanowi, poza barokowym ratuszem, katolickim kościołem i kamieniczką o barokowej attyce, jedyny zabytek Skoczowa. Wszystkie inne spłonęły w licznych pożarach wraz z jego metryką.

Martwi to skoczowian, gdyż cieszyńscy mieszczenie chępią się, iż Cieszyn powstał w roku 810. Ale nie wiadomo, czy Skoczów nie powstał wcześniej. Ha, gdyby nie ten nieszczęsny pożar, który pożarł ratusz wraz z trówą i miejskimi dokumentami!

A tych pożarów było sporo. Gdyby je wszystkie spisać, powstałaby ponura litania pełna płaczu i lamentu. Były małe pożary, były duże pożary, a te największe, które drewniany Skoczów zamieniały w popielisko, pojawiały się: w roku 1531, potem 1713, potem jeszcze w roku 1756 i 1852, a ostatni w roku 1910.

Skoczowianie bronili się przed nimi, jak umieli. Przez bardzo długie czasy miejscy stróże łazili po uliczkach z latarnią i halabardą oraz z rogową trąbką. Na trąbce ogłaszali, że już czas gasić ogniska pod blachą w kuchni, że już czas gasić światła w izbach, że już czas na spanie. Z ratuszowej zaś wieży najstarszy halabardzista baczył pilnie, czy nie pojawia się „czerwony kur” na gontowym dachu czyjegoś mieszczańskiego domu.

Jeżeli się pojawił, halabardzista trąbił na alarm, kościelny dzwonił z kościelnej wieży na gwałt, stróże krzyczeli, że gore, walili halabardami w drzwi uspionych domów, a przerażeni mieszczenie wybiegali z osękami, wiadrami, drabinami i spieszyli na ratunek.

Mizerny to bywał ratunek bez ładu i składu, pełen zamieszania, płaczu, lamentu, urwania głowy i braku wody. Podczas późniejszych pożarów święty Jonasz lał wprawdzie wodę z muszli trzymanej na grzbiecie, lecz wody było tyle, co by kot napłakał. Był potoczek Żabiniec, lecz w Żabińcu było tyle wody, co by dwa koty napłakały. Była jeszcze Wisła z pod dostatkiem wody, lecz do Wisły był spory kęs drogi, i zanim wiadra z wiślaną wodą z rąk do rąk podawane dowędrowały do miasta, już nie było co gasić.

Ciężko więc doświadczał los to przemile miasteczko, a najciężej je doświadczył w ostatnich latach przed wybuchem pierwszej wojny światowej, gdy zjawiał się w nim niejaki Józef Koźdoń.

Był to przedziwny człowiek, przezwany potocznie przez przeciwników „k... polityczną”. Najpierw bowiem, jako młody nauczyciel, był polskim radykałem i szowinistą. A że był wygadany i posiadał zdolności organizacyjne, wpadł w oko Komorze cieszyńskiej. Koźdoń wyznawał zasadę, że „pecunia non olet”.²² Za pieniądze zmienił więc przekonanie i stał się Niemcem. I to jakim Niemcem!... Ho, ho! Za pieniądze Komory arcyksiężęcej zaczął wydawać w Skoczowie tygodnik pt. „Ślązak”. Było to pismo niemieckie redagowane w koślawym języku polskim i występujące pod hasłem: „Szlązacy, brońmy swego starszłąskiego ducha!” Owa obrona „starszłąskiego ducha” polegała na tym, że trzeba było szkalować wszystko co polskie, a wychwalać wszystko co niemieckie, napędzać polskie dzieci do niemieckiej „Volks- und Bürgerschule in Skotschau”, gdzie łatwo się wynaradawiały, dążyć, by na Śląsku Cieszyńskim po wsiach powstawały szkoły utrakwistyczne, by uczyli w nich nauczyciele-renegaci lub zgoła Niemcy, by wielbić

Austrię niemiecką, by śpiewać poroniony hymn Niemców i renegatów skoczowskich, takich jak: Podzorski, Sikora, Gabryś, Raszka — by śpiewać „Wacht am Weichsel” i „Deutschland, Deutschland über alles!!”

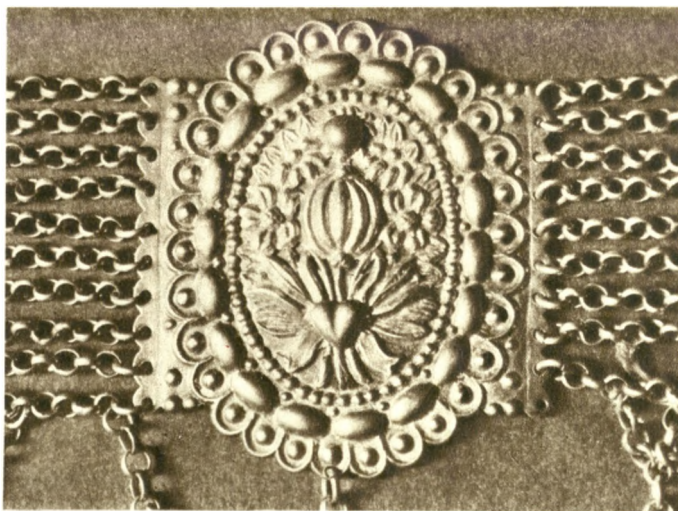
Tak długo to trwało, aż wybuchła pierwsza wojna światowa, a po wojnie powstała Polska i Ziemia Cieszyńska przyłączyła się do niej. Wtedy miał się odbyć plebiscyt, który rozstrzygnąłby sąsiedzkie spory z Czechami o Ziemię Cieszyńską. Koźdoń wówczas — znowu za pieniądze — stał się Czechem i jął agitować na ich rzecz. Był gotów stać się Polakiem i agitować na rzecz polskiej sprawy, lecz żądał zbyt wygórowanej sumy od władz polskich. Potem jeszcze był burmistrzem Czeskiego Cieszyna, a po drugiej wojnie światowej zmarł w Opawie pogardzany przez Polaków, Czechów i Niemców.

Lecz co narozrabiał, to narozrabiał i Skoczów przez długie lata musiał się rehabilitować i przekonywać wszystkich, że jego „starszłąski duch” zdechł pod płotem.

W pełni zrehabilitowali go ci skoczowianie, którzy podczas hitlerowskiej okupacji konali w niemieckich obozach koncentracyjnych lub ginęli na szubienicy w Mysłowicach i Cieszynie, lub poszli do partyzantki beskidzkiej. W samym Skoczowie zaś szaleli tacy Niemcy, jak: Schramkowie, Jeiknery, Sohlichy, Frensztaacy i znów te Sikory, Podzorsecy, Cachle i Sojki.

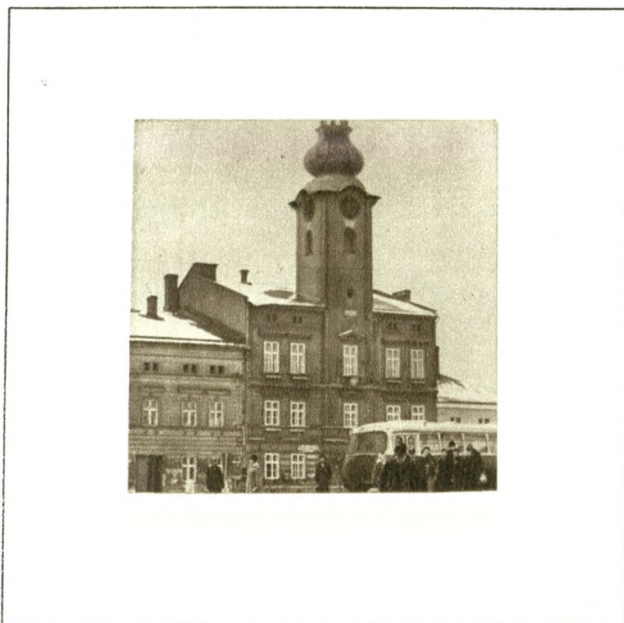
Skończyła się druga wojna światowa, a przed jej zakończeniem, zanim wojska radzieckie zajęły Skoczów, zdechł do reszty skoczowski „starszłąski duch”, gdyż tamci wszyscy Niemcy i „Niemcy” powędrowali w popłochu na zachód i oparli się w Austrii, NRF, a nawet w Australii. Skoczów zaś nareszcie stał się rdzennie polskim miastem, „z którego burza dziejowa wymiotła śmieci i wszelkie renegackie robactwo” — jak to określił jeden z upartych polskich skoczowian.

Fragment srebrnego pasa — ozdoba stroju kobiecego



6

O utopcowym miasteczku Strumieniu



Malutkie miasteczko Strumień obsiadły ze wszystkich stron utopce²³, jak twierdzą strumieńscy starzykowie. Zaludniły one okoliczne stawy i rzekę Wisłę, pozajmowały wszystkie plosa i głębiny, a szczególnie upodobały sobie stary młyn na Sikowcu, stodołę Szperlinga, farskie stawy, potem staw Szubiny, staw Kępnego i Kocurowe plosa. Przebywały również na „niskich gojach”²⁴, na „wielkim łęgu”²⁵, w rzeczce Knajce w Bąkowie, ba, zapuszczały się nawet na wiślicką Kępę, a przede wszystkim cały ich regiment siedział w Wiśle. Słowem wszędzie było ich pełno i biedni strumieniacy mieli z nimi sto bied, gdyż utopce broiły i starały się czynić ludziom na paskudę.

Tak twierdzą strumieńscy starzykowie.

I gdy nadejdą jesienne wieczory, a za oknami nastanie noc, w głębi nocy zaś pluszcze deszcz lub gą się wichry i wydziwiają na strumieńskim rynku, wtedy starzykowie opowiadają wnukom o utopcach. Wnukowie słuchają sceptycznie i raz po raz przerywają starzykowi:

— Widzieliście, starzyku, takiego utopca?

— Nie widzieli, syneczku, ale widzieli inni. Oto niedawno, jak stary Sodzowiczny wracół naprany²⁶ do domu, to spotkał utopca na wielkim łęgu.

— A czy wy, starzyku, trochę nie cyganicie?

— Cyganic nie cyganic, tylko opowiadam to, co mnie opowiadali nieboszczka mamulka, Boże im tam dej radość wieczną, amen!...

Dzisiaj nie ma już utopców. Pozostały tylko w opowiadaniu najstarszych mieszczan. A że takie powiarki mogły powstać, nie trzeba się dziwić. Naokoło Strumienia bowiem stawy, stawy i stawy.

Ludzie niechętnie osiedlali się w owym Żabim Kraju, gdyż ziemia była tu mało urodzajna, a jeżeli już coś urodziła, zabierała woda. Przeto strumieniacy rychło porzucili plugi, a jeli parać się węcierzami, sakami, pławnicami, włókami i niewodami. Wędką zajmowały się tylko dzieci.

Innymi słowy strumieniacy z rolników przedzierzgnęli się w rybiorzy²⁷.

Osada wiodła mizerny żywot, jako że leżała daleko od traktu handlowego, droga zaś do niej prowadząca była bagnista i trudna do przebycia w czas jesiennych deszczów i wiosennych roztopów.

I wiodłaby ten swój chudobny żywot nie wiedzieć jak długo, gdyby nie zacny i mądry pan Mikołaj Brodecki z Brodki, „dzielny i ulubiony” marszałek księcia Kazimierza II, który odkupił wioskę Strumień nad potokiem przezwanym Czornym Strumieniem. Pozbył się jej z ulgą szlachcic Hanusz Pentlat, mianujący się także Konicem. Mikołaj Brodecki uprosił księcia Kazimierza II, by wioskę Strumień raczył podnieść do rzędu miasteczka. Żeby zaś taka wioska mogła być miasteczkiem, musiał książę przyznać mu pewne prawa i przywileje, zmniejszyć jego powinności książęce i w ten sposób zachęcić ludzi, by się w nim osiedlali.

Książę Kazimierz II zgodził się i swą zgodę wypisał na pergaminie w wigilię świętego Walentego roku 1482.

„My Kazimierz z Bożego miłosierdzia książę cieszyński, pan na Bielsku, niniejszym uwiadamy, że przed nami stanął wierny i zacny Mikołaj Brodecki i usilnie nas prosił, byśmy jego wsi Strumieniowi udzielili praw miejskich. My zaś uznajemy, że stąd wiele miałby chwały i pożytku kraj cały i postanowiliśmy zezwolić na udzielenie wszystkich tych praw, jakimi są obdarzone okoliczne miasta, co tym listem wszystkim, którzy się tam osiedlą, potwierdzamy. Zarazem pozwalamy im brać drzewo z naszych lasów, a to będzie tak długo, póki przywilej ten będzie istniał.”

Burmistrz i rajcowie miasta Cieszyna oświadczyli w czwartek po świętej Dorocie roku 1482, że na prośbę księcia Kazimierza II przyjmują obecnych i przyszłych miesz-

czan strumięńskich i przyrzekają, że na życzenie księcia Kazimierza II i starszych będą teraz i zawsze bronić miasta Strumienia i że z jego mieszkańcami, kiedykolwiek się zwrócą z jaką sprawą do nich lub ich potomków, sprawiedliwie będą postępowali, tak jak na uczciwych mieszczan przystoi.

Mikołaj Brodecki zaś oznajmił, że miasto swoje Strumień obdarzył prawami i przywilejami, jakie mają okoliczne miasta księstwa cieszyńskiego, a więc Frysztat, Bielsko i Skoczów. I udziela mieszkańcom Strumienia prawa dziedziczości, to znaczy, że po śmierci rodziców majątek dzieciom przypada i nigdy odebrany być im nie może. Jeżeli zaś nie ma potomków, mogą dziedziczyć krewni, nawet cudzoziemcy, dla których jednak istnieje obowiązek osiedlenia się w Strumieniu. Jeżeli zaś nie ma krewnych, majątek dziedziczy kościół. I uwalnia strumięńskie mieszczactwo od wszelkich podatków na 10 lat, jednakowoż nakazuje, by w porządku utrzymywali kościół, młyn i drogi, i by zgodnie żyli z okolicznymi miastami, a w trudniejszych sprawach radzili się pana, czyli Mikołaja Brodeckiego.

Ponieważ prawo podniesienia wsi do rzędu miasta posiadał tylko król, przeto na prośbę księcia Kazimierza II, król węgierski i czeski Władysław zgadza się, by Strumień był miastem. Nakazuje mu posłuszeństwo księciu i panu Brodeckiemu, polega otoczyć je murami, wieżami i przykopami, pozwala mu także posługiwać się herbem, przedstawiającym świętą Barbarę i połowę orła z głową na niebieskim tle.

I tak od roku 1504, od chwili cesarskiego dekretu, Strumień stał się miastem ze swoim herbem.

Mikołaj Brodecki okazał się dobrym gospodarzem, gdyż przez 16 lat zakładał stawy, spiętrzał wodę w Wiśle, kopał rowy nawadniające, słowem stworzył z nieużytków i bazarzyn²⁸ Żabi Kraj z racjonalną gospodarką rybną.

Od tej chwili ryby i stawy stały się bogactwem Strumienia. Ryby tak dalece weszły w codzienne życie mieszczan, że odbiło się to nawet w miłosnym słownictwie i w poezji ludowej.

Nawet nazwiska mieszczan powstawały z czasem od zajęć „rybiarskich” i tacy Sodzowiczni, Pidła, Cedziwody byli bardzo liczni. Gdy zaś młody strumieniak chciał wyrazić swoje uczucia młodej strumieniance, nazywał ją czule i przymilnie złotą rybką, rybeczką, roztomłą rybeńką. Ludzie mieszkali „przy wodzie” lub „za wodą”. Nawet w nabożnych kolędach musiały być konieczne ryby. I tak jedna z kolęd śpiewana na nutę „Weselmy się, weselmy”, opowiadała, jak Matka Boska była głodna i śniadałaby, gdyby rybki miała. Wtedy malutki Jezusek pociesza ją troskliwie:

*Poczekaj, matko, na chwilkę,
Na małą godzinkę.
Jo do morza zajdę,
Kupe rybek znajdę.
Wstąpił Jezusek do morza,
Chwycił za ocas²⁹ węgorza...*

Służba zaś, godząca się od nowego roku na służbę u mieszczan strumieńskich, wymawiała sobie w umowie, w które dni tygodnia nie będzie musiała jeść ryb na obiad.

Mieszczanie nie tylko że hodowali ryby, łowili je i zjadali, lecz handlowali nimi i wywozili nawet do Krakowa i Wrocławia. Meszne kościelne i kolędy wypłacali rybami, świadczenia książeńce — rybami. Za towary płacili rybami. A gdy wiatr powiał od Strumienia, pachniał rybami daleko, szeroko. Słowem był to złoty okres Strumienia pełnego ryb. Tylko gdyby nie te przegrzeszone utopce, których namnożyło się w stawach ponad miarę i raz po raz podczas jesiennych deszczów i wiosennych roztopów zrywały tamy, znosiły groble, a wtedy woda docierała na rynek, ryby zaś uciekały z wezbraną wodą.

Wszystka przeto troska mieszczan skupiała się na stałym umacnianiu grobel, wałów i zastawek.

Strumień. Rynek



Gdy jednak pominął się mądry i zaradny Mikołaj Brodecki, przestało się darzyć strumieniakom. Coś było nie w porządku z ich gospodarką. Sprzedawali więc stawy, by łątać dziury w dziurawej miejskiej szkatule, a nieliczni szewcy, garnarze, krawcy i inni rękodzielnicy rozproszyli się i ich cechy przestały istnieć. Zafrasowani mieszczanie postanowili przeto imać się rolnictwa. Rolnictwo zaś wcale się nie opłacało, bo ziemia była jałowa, ciężka, niechętnie rodząca, a jeżeli już coś z wielką biedą urodziła, przyszła je-sienna wezbrana woda z Wisły i zabierała plony. Podobnie jak przedtem zabierała ryby z miejskich stawów.

A na dobitkę jęły się pojawiać pożary. Strumień był sklecony z drzewa, jak wszystkie ówczesne mniejsze miasta. I chociaż wody było naokoło pod dostatkiem, miasto paliło się jakby ze słomy zbudowane. I aczkolwiek leżało na uboczu od głównych dróg, i tutaj zachodziły bandy żołdactwa przeróżnego pochodzenia i narodowości, wyciskały z mieszczan ostatni ewanegyier, hulaly, rabowały i obżerały się rybami.

Smutne to były czasy dla Strumienia.

Cieszyńscy Piastowie, Waclaw Adam a następnie jego syn, Adam Waclaw, popadali w coraz większe długi. I jeden, i drugi kazali sobie płacić suto za przywileje wątpliwej wartości, udzielane Strumieniowi. A syn Adama Waclawa, Fryderyk Kazimierz, kazał Strumieniowi, by mu ofiarował kilka stawów, które potem sprzedał burmistrzowi Jakubowi Franckowi w roku 1546. Potem jeszcze Fryderyk Kazimierz sprzedał Strumień i Skoczów niejakiemu Gottardowi z Logau.

Zwierzchność miejska Strumienia nie bardzo troszczyła się o miasto. Po prostu upijała się na koszt miasta przy byle jakiej sposobności. Wojska rakuskie, wyruszające na odsiecz Wiednia w roku 1683, a stacjonujące po drodze w Strumieniu, wyrządziły więcej szkód mieszczanom, aniżeli uczyniliby to Turcy. „I wiele wtedy płynęło łez i wiele odzywało się jęków wołających o pomoc do nieba” — pisze ówczesny kronikarz strumieński. Potem nastaly „głodne roki” i ludzie żywili się trawą i sieczką. A potem raz po raz zwały się na ubogie miasteczko przeróżne wojska, jak w roku 1725 pułk dragonów księcia Sabaudzkiego, a w rok później hulali tu kirasjerzy pułku Marquis de Arbon pod komendą generała Hamiltona. W roku 1732 i 1736 przemaszerowały tutaj również wojska, objadając doszczętnie mieszczan i płodząc nieślubne dzieci. Podczas siedmioletniej wojny Strumień musiał płacić na utrzymanie węgierskich huzarów stacjonowanych w Cieszynie około 1300 talarów. W rok później, na pruski pułk Panewnitza w Cieszynie wyduszono z mieszczan 688 talarów.

Strumieniowi przejadła się więc wszelka wojna i gdy synów mieszczkańskich pobrano w rekruty i ubrano w rakuskie mundury, synowie ci uciekli z wojska, za co miasto zostało spustoszone, a dezertarów skatowano.

Powiadają starzy mieszczanie strumieńscy, że na wołowej skórze człek by tego nie spisał, jaka krzywda spotykała miasto.

W okresie kontrreformacji wszczęły się wiele lat trwające właśnie religijne, mnożyły się pożary, a Wisła co roku zalewała chude pola miejskie i co roku z wiosną grasowała wśród dzieci „psina”, czyli rodzaj lekkiej, lecz dokuczliwej malarii, a żaby darły się jak

opętane w okolicznych stawach i barzynch, a czarny mór raz po raz nawiedzał miasto, „a utopce czyniły mieszczanom na paskudę”.

Słowem siła złego na biedne miasteczko.

I chyba w żadnym mieście nie śpiewano tak żarliwie suplikacji, jak w Strumieniu ciężko doświadczanym.

Powoli, bardzo powoli Strumień przychodził do siebie. Jak człowiek, który bardzo długo chorował i głodował. Lecz wciąż leżący na ustroniu, nie mógł się rozwijać. Poniękad strumieniacy są temu sami winni, ponieważ gdy budowano tzw. „Nordbahn”, czyli kolej północną, wiodącą z Wiednia do Krakowa, pierwotnie trasa była wytyczona na Strumień. Mieszczanie jednak gwałtownie zaprotestowali, tłumacząc inżynierom i władzom, że przejeżdżające lokomotywy podpalą podmiejskie stodoły, a bodaj czy nie i miasto. Wobec tego kolej poprowadzono inną trasą, strumieniacy postawili na swoim. Gdy jednak widzieli, że lokomotywy wcale nie podpalają niczyich stodół, a przeciwnie, te miejscowości, gdzie pobudowano stacje kolejowe, rozwijają się szybko, jeśli żalować swego nierozważnego kroku i po długich wspólnych medytacjach uchwalono zbudować kolejkę wiodącą do najbliższej stacji Chybie. Była to kolejka wąskotorowa o małych wagonikach i o małej lokomotywie, przezwaną „młynkiem do kawy”.

Jakoś ta kolejka pasowała do mentalności ojców miasteczka, gdyż była śmieszna i politowanie budząca. Strumień był jednak z niej niesłychanie dumny i gdy po raz pierwszy zajechała z szumem, łoskotem i prychnięciem na rynek, a z ustrojonych wagoników wysiedli miejscy rajcowie w czarnych anglezach, w cylindrach na głowach, z parasolami w dłoni, powstała taka wrzawa, wiwatowanie, strzelanie z dziurawych moździerzy i tak mocno jęły dzwonić dzwony na kościelnej wieży, a orkiestra dmuchała w trąby i waliła w bębny, że zdawało się sądny dzień nastąpił. Jeszcze dziś starzy mieszczanie wspominają tamtą rzewną chwilę, dodając mimochodem, że wtedy wszystkie kury i gęsi uciekły z miasteczka, a kozy i krowy, przerażone takim wrzaskiem, wyrwały się z obór i pognały w pole.

Nawet domy i ratusz były ustrojone chorągwiemi czarno-żółtymi.

Potem już strumieniacy nie chcieli z byle kim rozmawiać, gdyż rozpieła ich pycha i duma.

Ta pycha i duma dotrwała do pierwszych dni po skończonej pierwszej wojnie światowej, kiedy Ziemia Cieszyńska zadeklarowała, że chce należeć do Polski. Nie chciał tylko Strumień i na zebraniu rady miejskiej uchwalono rezolucję w języku niemieckim, że Strumień chce należeć do Austrii i koniec!... Jak to sobie pan „Bürgermeister” i radni wyobrażali, to już jest niedocieczoną tajemnicą.

Owa deklaracja zaś była parszywym owocem kąkolowego posiewu pana Józefa Koźdonia ze Skoczowa. I do Strumienia bowiem dotarło jego pismo „Ślązak” i skwapliwie jego czytelnicy strumieńscy postanowili „bronić swego staroszląskiego ducha”.

Nie obronili, tylko się ośmieszyli.

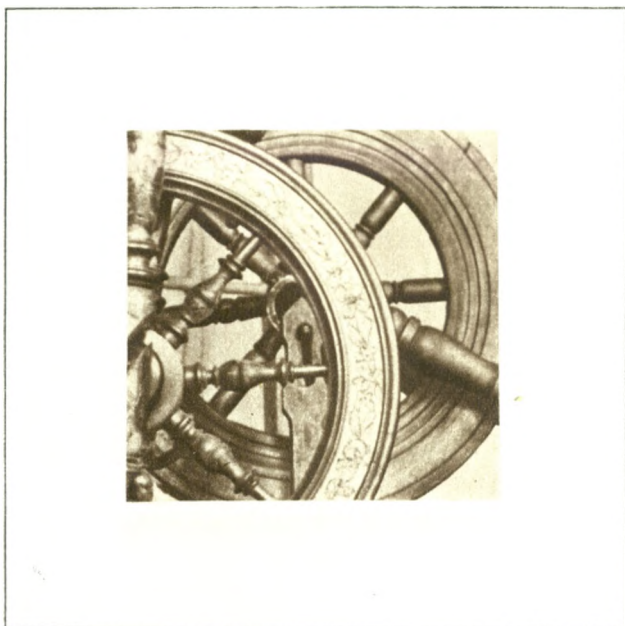
Tak bardzo się ośmieszyli, że gdy spotkało się gdziekolwiek na Ziemi Cieszyńskiej dwóch znajomych i z grzeczności zadawano sobie wzajemnie pytanie: — Jak ci się

wiedzie, kamrat? — Albo: Jak się wóm powodzi, kumotrze? — To stale padała odpowiedź: — Eh, bracie! Po strumieńsku!...

Był to eufemizm wyrażający pogardliwe i mało parlamentarne określenie niepowodzenia.

I podobnie, jak Skoczów, tak i Strumień musiał się długo rehabilitować i oczyszczać z tamtej „szlązakowskiej” zarazy, która zapaskudziła serca i głowy dawnych strumieniaków. Dzisiaj jest to już nowy Strumień, polski Strumień, rozwijający się gospodarczo, z linią kolejową i stacją, z powstającym przemysłem, wprowadzie jeszcze drobnym, ale zawsze przemysłem.

A o dawnym Strumieniu zapomnianym i mizernym, kuczającym wśród stawów i bazarzyn wspominają dzisiejsi mieszczanie jak o ponurym śnie, który już się nie powtórzy.



Jak Cieszyn miał swoją Podoborę, a Skoczów „przeskoczył” z Piekielka nad Wisłę, Strumień zaś wywiódł się z Czornego Strumienia, tak i Bielsko pierwotnie istniało jako osada na miejscu dzisiejszego Starego Bielska.

Według legendy — gdyż każde miasto musi mieć swoją legendę — według niej więc na miejscu dzisiejszego zamku bielskiego, na srogim wzgórzu między lasami wznosiło się jeszcze sroższe zameczysko, a w zameczysku przebywali zbójnicy. I tak długo wiodli niecnny żywot, aż w końcu, bodaj czy nie Bolesław Śmiały dobrał się do ich warownego gniazda, zbójników kazał powiesić, a zameczysko zburzyć. I nastał spokój na drodze

handlowej wiodącej z południa do Bałtyku. Inna znowu legenda powiada, że osada Bielsko powstała nad „białą”, czyli „bystrą”, rzeką, przezwaną Białką i że osiedlili się tutaj ludzie z osady Żebrawce w Żabim Kraju. Napastowani przez wrogów opuścili bagienne Żebrawce i wybrali dzisiejsze Bielsko, jako że łatwiejsze było do obrony.

Legendy mówią swoje, a pierwszy dokument historyczny w języku morawskim mówi także swoje. Oto książę cieszyński, Mieczysław III, nadał bowiem w roku 1312 prawa miejskie osadzie „Bylsko”, przezwaną gdzie indziej „Bilitum”, „Bilicum” lub też „Bilica” i w dokumencie tym użył zwrotu: „wiernych obywateli naszego Bylska”. Wynikało stąd, że Bielsko w tym okresie już było miastem o pewnych prawach, gdyż tylko mieszczan nazywano obywatelami.

Owym dokumentem Mieczysław III obdarował bielskich mieszczan sporym lasem na wieczystą własność, zwolnioną z wszelkich ciężarów i opłat. Las ten, leżący między wsiami Kamienicą a Mikuszowicami nazwano „kozim lasem”. Ów „kozi las” mieszczenie przemianowali po swojemu na „Ziegenwald”. Z czasem Ziegenwald przemienił się w Zigeunerwald, a Zigeunerwald uzyskał polską nazwę Las Cygański.

I ten „kozi las” jest pierwszym świadkiem istnienia Bielska.

Syn Mieczysława III, Kazimierz III upodobał sobie Bielsko, a przede wszystkim wzgórze, na którym stał kiedyś zbójnicki zamek. Zbudował drewniany zamek letni, a miasto jał zaludniać niemieckimi kolonistami ze Spiszu. Ci koloniści, którym widać nieszczególnie wiodło się na Spiszu, byli przede wszystkim rolnikami i pasterzami, i w roku 1316 Kazimierz III udzielił miastu prawa bezpłatnego korzystania z podmiejskiego pastwiska.

Potem już potoczyła się historia owego miasta zwykłą koleją losu. Cieszyńscy Piastowie, którzy od wspomnianego Kazimierza III byli już lennikami królów czeskich, dbali jak mogli i jak potrafili o miasto, bacząc pilnie, by owa dbałość opłacała się sownie.

By zachęcić zatem ludzi do osiedlania się w nim, nadawali mieszczanom coraz nowe prawa i przywileje, za które jednak musieli oni płacić, jako że książęce szkatuły stale dnem przeświecały. W ten sposób jednak korzystali także i mieszczenie. Książęta cieszyńscy popierali we własnym interesie rzemiosło bielszczan, nadając im prawo milowe. Uczynił to książę Bolesław w roku 1424.

Jeżeli było więc prawo milowe, widać mieszczenie zmienili zawód i z rolników i pasterzy stali się rzemieślnikami. Następnie miasto uzyskało przywilej wolnego składu soli, co by już świadczyło, że zmieniało się w punkt handlowy. Poza tym uzyskali jeszcze prawo wyszynku piwa i wina oraz prawo wolnych targów na mięso.

Dzięki tym przywilejom i prawom rósł dobrobyt bielszczan, o czym świadczy chociażby *Album studiorum* w bibliotece uniwersytetu krakowskiego. Ów „Album” wymienia bowiem 27 studentów z Bielska studiujących na krakowskim uniwersytecie.

Wśród rzemieślników zaś cech tkaczy i sukienników staje się teraz przodujący. Bielsko zaczyna słynąć daleko, szeroko jako miasto, skąd pochodzą najlepsze sukna. Sprzedawano je nie tylko na Śląsku, lecz w Polsce, na Węgrzech i Morawach, w Czechach i w Niemczech.



Zamek w Bielsku

W okresie reformacji przeważająca część mieszczan przyjęła „nowinki religijne”, jako że im patronował gorliwie książę Wacław Adam. I ten Wacław Adam nadał bielszczanom przywilej pozwalający im znakować swe wyroby tkackie literami „BS”, czyli „Bielskie Sukno”. Ów znak chronił je przed konkurencją innych miast wyrabiających sukno, wprawdzie tańsze, lecz lichszego gatunku.

Dobra jakość bielskiego sukna dotrwała do dzisiaj i w okresie międzywojennym dochodziło do zabawnych paradoksów. Bielskie sukno wysyłano do Anglii, skąd po przestemplowaniu wracało do Polski jako rzekomo sukno angielskie, cieszące się ogromnym popytem.

Ów znak nie utrzymał się jednak długo, gdyż Fryderyk Kazimierz, syn księcia Wacława Adama, odnawiając w roku 1565 przywileje cechu bielskich sukienników, rozporządził pismem w języku niemieckim, że polski znak „BS” ma być zniesiony i zastąpiony herbem miasta Bielska. Poza tym — widać gwoli przypodobania się bielszczanom —

postanowił, że do cechu sukienniczego nie wolno przyjmować nikogo, kto by nie był niemieckiego pochodzenia i wychowania, żeby zapobiec „nieporządkom i niezgodzie w cechu”.

Owo postanowienie brzmiało następująco:

„Item es soll auch Keiner, der nit Teuscher Art undt Zungen ist, Zu verheutung allerlay Unraths und Uneinigkeit, weder zu lernen noch zum Meister in Ihre Zech angenommen werden...”

Owo zarządzenie umocniło jeszcze bardziej żywioł niemiecki Bielska, który trwał aż do pierwszej wojny światowej, dyskryminowane zaś polskie mieszczaństwo zostało w ten sposób zepchnięte do roli ubogiego wyrobnika.

Miało się już jednak ku końcowi panowanie cieszyńskich Piastów w Bielsku. W tym bowiem czasie Turcy stali się ponurym widmem grożącym zagładą chrześcijaństwu, odbierającym sen wielmożom, mieszczanom i kmiotkom i powodującym wzrost pobożności. Turcy zajęli już Węgry, podchodzili pod jabłon-



Bielski zaułek

kowskie szańce. Wtedy strach padł na Ziemię Cieszyńską. Modlono się żarliwie w kościołach, odbywano pielgrzymki do miejsc cudami słynących, śpiewano suplikacje, a Bielsko sposobiło się do długiego oblężenia. Sypano więc wały koło miasta, bito ostrokoły, naprawiano zmurzone mury obronne, a księża grzmieli z ambon, nawoływali lud do pokuty i karcili grzechy i wszelkie wszeteczeństwo. Za księżmi poszli panowie. Na sejmiku książęcym we Wrocławiu w roku 1556 wydano edykt, w którym zabroniono pijaństwa, ba, nawet przepijania z kimś „bruderszaftu” i picia na czyjeś zdrowie, jako że to powód do pijatyki i obrazy boskiej. W ogłoszonym zaś „Porządku pokuty” zabroniono szycia i noszenia krótkich kurtek i szerokich spodni pod karą wydalenia z kraju, jako że to może wzbudzić gniew Boży, a wtedy Turcy opanują cały świat, zniszczą chrześcijaństwo, krzyże zamienią na półksiężycy, wyrzną do nogi mężczyzn, nawet stare baby, a co młodsze niewiasty zabiorą do siebie na rozpustę.

Bielsko jęło się przeto sposobić do obrony. Mieszczanie sypali wały, bili ostrokoły, naprawiali mury i gromadzili żywność, która by wystarczyła na rok oblężenia. Chłopom oświadczone, że jeżeli przywiozą z sobą żywność również na cały rok starczą, mogą schronić się w razie niebezpieczeństwa za miejskie mury. Na wzgórzach zaś powbijano wysokie pale i obwinęto je słomą nasyconą żywicą. Podobnie uczyniono z najwyższymi drzewami. W razie najścia Turków na Ziemię Cieszyńską, wartownicy mieli podpalić owe słupy i drzewa i w ten sposób dać znać mieszkańcom, że nadchodzi wróg z piekła rodem.

Poza tym okoliczni chłopcy musieli przez cztery dni w letniej porze wykonywać bezpłatnie robociznę przy naprawianiu murów, zwózce kamieni i budowaniu zasieków. Nic z tego nie wyszło, bo Turcy dali spokój Ziemi Cieszyńskiej. Wyszło jednak coś gorszego, bo zmarły właściciel Bielska i okolicznych wiosek, książę Fryderyk Kazimierz,



pozostawił po sobie długi w wysokości 244 tysięcy talarów śląskich. Ojciec jego, Waclaw Adam, przejął więc z powrotem „państwo bielskie” wraz z długami swego niepodarzonego, hulaszczego i rozrzutnego syna. Wierzyście byli natrętni i udali się do cesarza Maksymiliana ze skargą na swego dłużnika. Waclaw Adam bowiem nie kwapił się zbytnio, by spłacać synowskie długi. Cesarz Maksymilian jednak nakazał mu to uczynić. I wtedy Waclaw Adam musiał sprzedać „państwo bielskie” szlachcicowi, Karolowi Promnicowi. Było to w roku 1572.

I od tego czasu Bielsko wraz z przynależnymi doń włościami, czyli „bielskie państwo” wydzielone z księstwa cieszyńskiego, jęło przechodzić z rąk do rąk.

Karol Promnic usiłował przez dziesięć lat dorobić się fortuny na Bielsku, lecz w końcu zniechęcony sprzedał je innemu szlachcicowi, Adamowi Schaffgotschowi. Schaffgotsch przekonał się, że nie zrobił dobrego interesu i „państwo bielskie” sprzedał w roku 1592 słowackiemu szlachcicowi Janowi Sunneghowi. Przedtem jeszcze nadał miastu „przywilej wyznaniowy”.

Ród Sunneghów władał „państwem bielskim” ze zmiennym powodzeniem przez 128 lat, czyli do roku 1724. Przez ten okres Bielsko przechodziło ciężkie koleje. A więc pożary czyniły w nim wielkie spustoszenia. Były prześladowania protestantów, przemasze wojsk Mansfelda i wojsk jego przeciwnika, Wallensteina. Zapuszczały się tutaj wojska szwedzkie. A potem znowu pożary, czarny mór, „głodowe roki”, a przede wszystkim zbójceci najazd kuruców Tökölego i Rakoczego. Węgierscy kuruce złupili Bielsko, czego nie mogli zabrać z sobą — zniszczyli, zabili 35 mieszczan, a między nimi księdza proboszcza Buriana, broniącego kościoła przed grabieżą.

Po śmierci ostatniego Sunnegha państwo bielskie wraz z miastem przejął cesarz. Po czterech latach odsprzedał je szlachcicowi Henrykowi Solmsowi. Solms przekramarzył je na rzecz szlachcica Fryderyka Haugwitza, a kiedy Haugwitz widział, że zrobił marny interes, sprzedał je nieślubnemu synowi Augusta II Mocnego, hrabiemu Aleksandrowi Sułkowskiemu. Cesarzowa Maria Teresa nadała mu wtedy tytuł księcia i odtąd wszyscy Sułkowscy tytułowali się „bielskimi księciami”, a „państwo bielskie” stało się teraz odrębnym księstwem bielskim.

Sułkowscy posiadali je przez blisko dwieście lat.

Mimo pięknego nazwiska byli to Niemcy. Jedyne księżę Józef Sułkowski, rzekomo syn nieprawego łoża Franciszka Sułkowskiego, czuł się Polakiem i jako adiutant Napoleona zginął w Egipcie pod piramidami.

Dziwnie poczynął sobie ów ród. Sułkowscy bowiem zmieniali swe przekonania polityczne zależnie od koniunktury, wysługiwali się różnym władcom, wojowali po całej prawie Europie, kłócili się między sobą, a rodzinne ich pożycie nie było bardzo budujące.

Jeden z nich, księżę Jan Nepomucen Sułkowski ożenił się z Luizą Laryszówną z zamku Słupno koło Mysłowic. Po śmierci Jana nastąpiło nieporozumienie między matką Luizą a jednym z synów. Było ich dwóch. Ludwik był ustepliwy, lecz Maksymilian, wiodący z matką spór o majątek, nasłał na nią zbirów, którzy ją zastrzelili w zamku Słupno. Majątek przejął Ludwik. Był to okres Wiosny Ludów. Księżę Ludwik, przejęty nowymi



Bielsko. Rynek



Bielsko. Podcienia na Starym Mieście



*Pomnik
Marcina Lutra
w Bielsku*

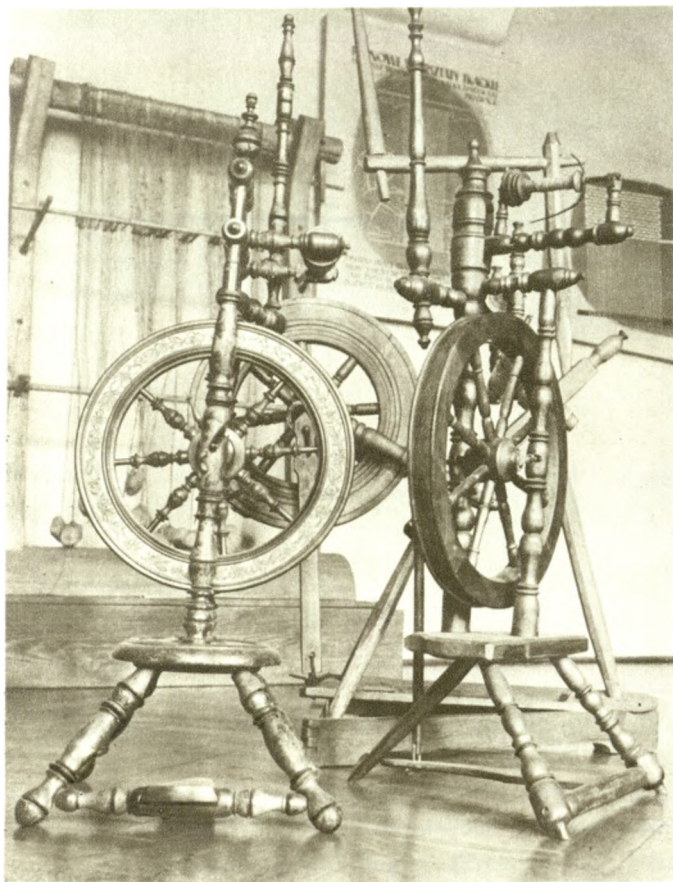
hasłami rewolucyjnymi, zorganizował w Bielsku gwardię miejską i na jej czele ruszył na pomoc wiedeńskim rebeliantom. Dotarł tylko do Przerowa. Wojska austriackie rozbroiły gwardzistów, odebrano im broń, a zostawiono im tylko bęben. Gwardziści wrócili więc uradowani z bębniem do Bielska, a księżę Ludwik uciekł do Anglii. Po ogłoszeniu amnestii wrócił znowu do Bielska.

W drugiej połowie wieku XVIII pojawił się w Beskidach zbójnik Klimczok z czterem kamratami i usiłował dorównać przynajmniej w legendzie beskidzkiemu hajtmannowi Ondraszkiemu, czy słowackiemu Janosikowi. Nie dorównał i przeszedł w opowiadanie jako zwykły rzezimieszek. Ujęto go i stracono w roku 1776. Pozostała tylko po nim wieść, że bywał na zamku Sułkowskich w Bielsku, dostając się tam podziemnym gankiem z Cygańskiego Lasu, i że w górach zakopał wielkie skarby. Jak wielka była ta wiara, świadczy o tym fakt, który zaszedł w roku 1861. Oto 19-letni parobek ożenił się ze 105-letnią staruszką, wdową po jednym z Klimczokowych zbójników, gdyż liczył, że starucha zdradzi mu, gdzie znajdują się owe skarby. Czy zdradziła — kronika nie wspomina.

Podczas wojny siedmioletniej między Austrią a Prusami, Prusacy zajęli miasto, złupili je i tylko tyle pozostawili po sobie, że przynieśli z sobą ziemniaki i nauczyli bielszczan sadzić je, rozmnażać i jeść. A miasto w tym okresie ledwie zipało pod ciężarem podatków, kontrybucji, drożyzny i ponownych „głodnych roków”. I jakby dla większego utrapienia bielskich sukienników i tkaczy pojawiają się w nim pierwsze maszyny tkackie.

Sprowadzili je bracia Barthelmusowie w roku 1750, którzy uzyskali cesarski przywilej pozwalający im założyć fabrykę ceraty. Za nimi poszedł niejaki Jan Maenhardt, który otrzymał od cesarza pozwolenie na mechaniczny wyrób kaszmiru. A w roku 1806 pojawiła się w Bielsku pierwsza maszyna tkacka. Był to już wtedy początek końca dotychczasowego chałupnictwa sukienniczego. Ostatecznym ciosem było sprowadzenie maszyny parowej w roku 1825, która zastąpiła w przędzalni wiele dziesiątek tkaczy. W roku zaś 1830 bracia Barthelmusowie zakładają dużą fabrykę, zatrudniającą 160 robotników.

Dawni sukiennicy jęli teraz przechodzić do fabryki jako robotnicy i majstrowie, wielu z nich wyemigrowało, a niedobitki usiłowały konkurować z maszynami Barthelmusa, lecz bezskutecznie.



Kolowrotki

(Zbiory muzeum w Bielsku-Białej)

Bielsko. Teatr→

I rzecz dziwna. Gdy podobne zjawisko wywołało w Anglii krwawe zamieszki, gdy o podobnym zjawisku na Dolnym Śląsku niemiecki poeta, Gerhart Hauptmann, pisze swój słynny dramat pt. „Tkacze”, w Bielsku ta rewolucja przemysłowa przeszła bez rewolucji.

Za przykładem Barthelmusa powstają teraz fabryki jedna za drugą, włączają do miasta, rosną kominy, mnoży się ubogi proletariatus, a Bielsko staje się miastem fabrycznym o sławie europejskiej. Jego wyroby tekstylne rozchodzą się teraz daleko, szeroko. Równocześnie mnożą się fortuny plutokracji niemieckiej i żydowskiej, wzmagają się wyzysk robotników.

Bielsko jest wciąż miastem niemieckim, przezwanym z emfazą „Klein Berlin”. Polskim elementem są tylko robotnicy, pochodzący z chłopskiej biedoty z okolicznych wsi.

Wyzysk tego robotnika musiał być istotnie nieludzki, jeżeli w roku 1872 zdobył się on na bunt. Do strajkujących nie zorganizowanych robotników strzelało wojsko i bunt stłumiło. Lecz ta krwawa ofiara przyniosła jaki taki skutek, gdyż władze ustanowiły w następnym roku tak zwany Sąd przemysłowy dla spraw robotniczych.



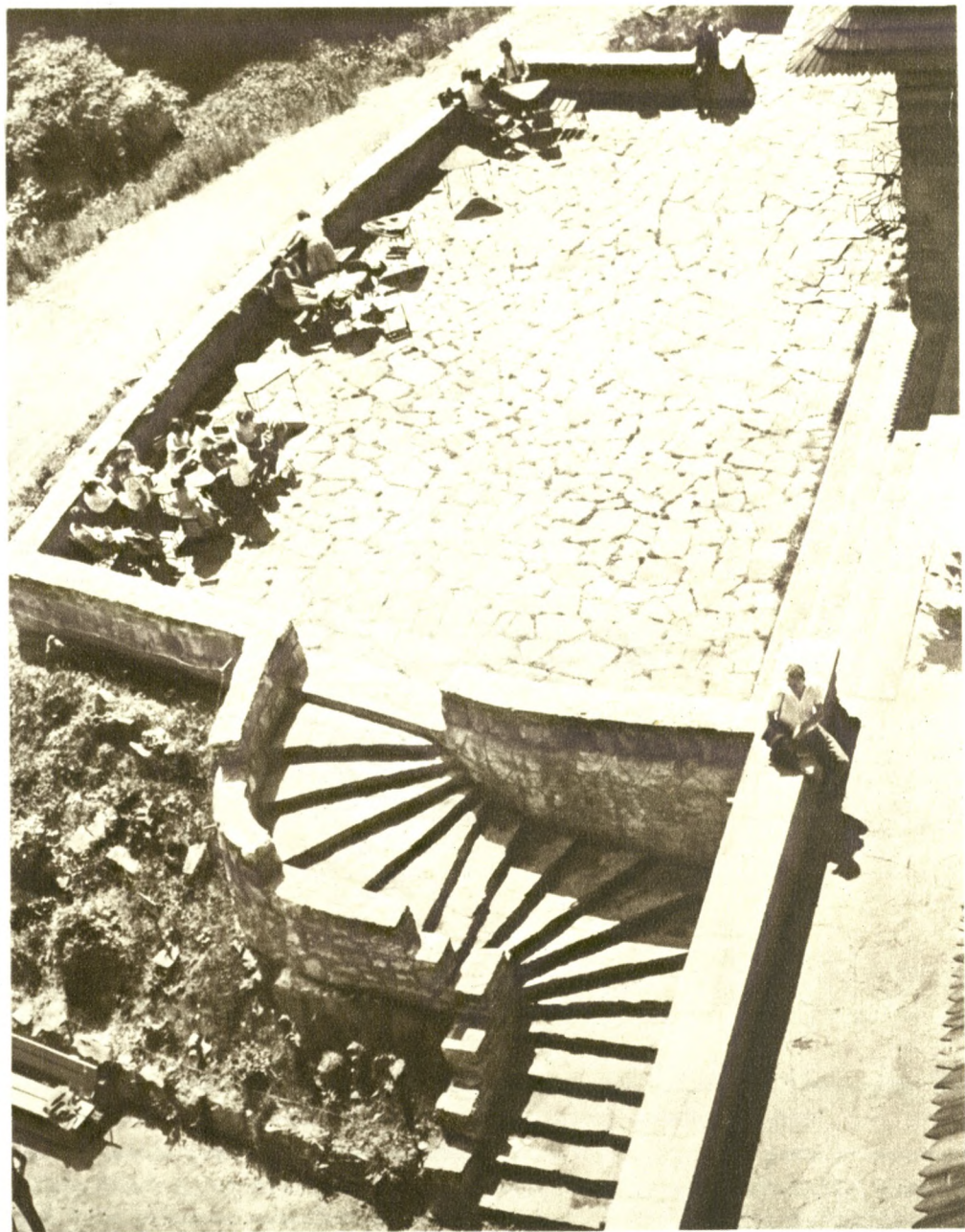
Pierwszym organizatorem polskiego ruchu narodowego i społecznego był pastor Franciszek Michejda, pochodzący z Olbrachcie pod Cieszynem. Drugim był ksiądz Stojalowski, który na swój sposób usiłuje zorganizować robotników i zakłada w Bielsku w parterowej chałupinie na Blichu „Dom polski”. Z Krakowa przybyli tu pierwsi wysłannicy budzącego się ruchu socjalistycznego. „Czerwony sztandar” coraz bardziej niepokoił fabrykantów. Tak długo, aż w roku 1890 doszło do drugiej masakry polskiego robotnika, domagającego się poprawy zarobków. Znowu padła salwa do tłumów i na bruku pozostało 13 robotników zabitych, kilkunastu rannych, a 18 aresztowano.

Odtąd walka polskiego robotnika przybrała charakter walki narodowo-klasowej. Lała się krew polskiego robotnika podczas otwarcia wspomnianego mizerniutkiego „Domu polskiego” na Blichu. Napady te powtarzały się, a ostatnim był pogrom polskich robotników tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Wtenczas już niemiecki nacjonalizm w Bielsku doszedł do ostatnich granic. To już nie był nacjonalizm, to było jakieś opętanie szowinistyczne. Pierwsza wojna światowa uśmierzyła je, a po wojnie, po rozpadnięciu się Austrii, Śląsk Cieszyński wraz z Bielskiem nareszcie znalazł się w granicach wolnej Polski.

Las świerkowy pod Szyndzielnią





Taras schroniska na Szyndzielni

Bielscy Niemcy jakby się wtedy przyczaili. Do ostatecznej rozprawy z rosnącym żywiołem polskim przygotowywali się jednak chytrze, a przewodził tej kreciej robocie senator Wiesner. Wybuchła druga wojna światowa i wtedy bielscy Niemcy zachłystywali się z tryumfu. I gdy wojska hitlerowskie zajmowały Ziemię Cieszyńską, a wojska polskie opuszczały Bielsko, Niemcy bielscy ostrzeliwali je z dachów i okien kamienic. A potem nastąpiło bezwzględne tępienie tych wszystkich, którzy przyznawali się do polskiej narodowości. Jedynie polscy partyzanci w Beskidach mścili się za to wszystko, wyprawiając się nocami z lasów w doliny i na Bielsko.

Wreszcie nadeszła wolność.

Gdyby napisać, że przynieśli ją radzieccy żołnierze na bagnietach, można by to uważać za wyświechtany zwrot retoryczny. A jednak tak było. Wolność Bielsku przynieśli radzieccy żołnierze.

I rzecz dziwna. To niemieckie, szowinistyczne miasto Bielsko stało się w ciągu kilku dni polskim miastem. Przez kilka wieków napływający element niemiecki odpłynął tam, skąd był przyszedł. I to nie tylko z Bielska. Z całej Ziemi Cieszyńskiej. Dziejowej sprawiedliwości stało się przeto zadość.

Dzisiaj wszystka Ziemia Cieszyńska jest rdzennie polską ziemią.



Starzy górale lubią bajać o przesławnym hajtmannie zbójnickim Ondraszku, który był bardzo porządnym zbójnikiem, gdyż „brał bogatym, a dawał ubogim”.

Jest to postać prawdziwa, nie zmyślona, aczkolwiek w ciągu przeszło dwustu lat z okładem stała się legendarnym herosem ludowym obdarzonym szczerze wszystkimi cechami, jakie powinien posiadać taki heros ludowy. A więc kramarzył z diabłami i czarownicą Lucą i sprawował przy ich pomocy dziwy przedziwy. Posiadał bowiem zaczarowany obuszek, który czynił go tak długo nietykalnym, jak długo trzymał go w dłoni. Jeżeli jakiś portasz³⁰, czy inny zły człowiek strzelił do niego z pistoletu lub flinty, kula

nie trafiała w Ondraszka, lecz zawracała i uderzała w napastnika. Na piersiach nosił woreczek uszyty z jeleniej skóry, a w woreczku roślinę przytulię³¹, by go strzegła przed złym duchem, diabłami i utopcami. W lewym bucie miał pokrzywę zerwaną w tym miesiącu, w którym na niebie ukazał się dwukrotnie księżyc w pełni. A to się zdarzy raz na kilkaset lat. Owa pokrzywa chroniła go przed zmęczeniem, a jego nogi czyniła tak szybkie jak nogi jelenia. Nosił z sobą przedziwny kubek cynowy, którym spijał wino z pańskich piwnic. Gdy zaś znalazł się kiedykolwiek w jakiejś obieży, gdy go na przykład otoczyli portasze, wystarczyło, że ów kubek postawił na stole przewrócony dnem do góry i wtedy wszyscy napastnicy w tym oka mgnienu zasypiali. I spali tak długo, aż kubek odwrócił. Dukatów i talarów miał bez miary i co nie rozdał biedocie, zakopywał w ziemi. Pozostały w niej do dziś dnia i można by je wygrzebać, lecz trzeba znać zaklęcie. A zaklęcia nikt nie zna. Nie znał go nawet istebniański Kolumbus, czyli gajdosz Wawracz, który był trzy razy w Ameryce i który wszystkie rozumy pozjadał, a zaklęcia nie znał. Brakowało mu tylko jednego słówka.

I to jeszcze nie wszystko!

Ondraszek potrafił ciśniętym obuszkiem ścinać wierzchołki najwyższych jodeł. I potrafił trafić z pistoletu w dukat wyrzucony wysoko w górę. Na ziemię spadał dukat przestrelony.

A że był dorodny, przeto w każdej wsi miewał dziewczynę, która go puszczała na noc do komory. A gdy taka dziewczyna wychodziła za męża, wianował ją szczerze dukatami, wymawiając sobie tylko jedno: by pierworodny synek nazywał się Ondraszek. I nikt się nie dziwił, że w podgórskich i dolańskich wsiach pełno było Ondraszków.

Ale przede wszystkim miał on serce współczujące dla biedoty chłopskiej. Sypał jej zdobyte dukaty i talary w podstawione kłobuki, a w razie potrzeby stawał w jej obrocie, wymuszając na złym panu ustępstwa dla niej.

Potem Juroszek, złakomiwszy się na sto talarów cesarza rakuskiego Karola IV, zabił kamrata Ondraszka jego własnym obuszkiem w karczmie w Śniadowie. A było to w roku 1716. Ondraszek liczył wtedy trzydzieści pięć lat.

Chłopi z Cieszyńskiego oplakiwali go przez bardzo długie lata i podczas zimowych szkubaczek śpiewali smętnie:

*O, płaczcie góry, płaczcie doliny,
Płaczcie rzeki i lasy!
Już się pominął Ondrasz jedziny,
Odszedł po wszystkie czasy!...*

Wtedy dziewczyny chlipyły z wielkiej żalości, gaździnki pociągały nosami, a młodzi chaśnicy³² zmaiwali się, by pójść na zbijanie, jak zbijał Ondraszek. Nie poszli, bo wiedzieli, że nie potrafią dorównać Ondraszkowi.

Jeszcze rzewniej chlipyły dziewczyny i jeszcze mocniej pociągały gaździnki nosami, gdy starzyk jął śpiewać baranim głosem:

*Gdzieś Ondraszku miły? Pany cię zabiły!
Zabiły cię zradki, płaczą dzieci, matki,
Zarmuceni chłopci.*

*Gdzie jest twoja głowa piękna, kędzierzawa,
Gdzie twe oczy śliczne, usta koraliczne,
Rumiane oblicze?*

*Zgasły twoje oczy, ręce ci opadły,
Już twe nogi gibkie, w pościgu niemyślne,
Nigdy nie zatańczą.*

*Już jest wszystko darmo, nie czas robić larmo,
Ondraszek nie żyje, a jednak on żyje
I żyć będzie na wieki!*

*Żyje między nami, pańskimi chłopami,
A gdy przyjdzie wielki czas, to nas zaś powiedzie
W srogą rebelię!...*

Tak śpiewano i opiewano sławę Ondraszka podczas zimowych szkubaczek w góralskich chałupach i siedlaczyczych zagrodach na dolinach przy płonącej sosnowej szczapie.

A gdy skończono tamte ondraszkowe elegie, gdy dziewczyny przestały chlipać, a gaździnki pociągać nosami, starzyk jął opowiadać o przedziwnych stworach zamieszkujących Ziemię Cieszyńską. A ponieważ wszystkie widział lub spotykał się z nimi, przeto mu wierzone.

Otóż kiedyś hań downij, kiedy w Brennej grzebano za rudą, pojawiał się w czachach³³ duch Pustecki, srogi chłop o długiej, białej brodzie, z lampą o czerwonym świetle. Wyszedł z ociosu, pokazał się hawierzom, czyli górnikom i zniknął w przeciwległej ścianie. Potem kiedy habsburskiemu arcyksięciu na Cieszynie nie opłaciło się grzebać za chudą brenneńską rudą, Pustecki przeniósł się do kopalni węgla w Karwinie. I tam zadomowił się na długie czasy.

Na Górnym Śląsku nazywano go Skarbnikiem lub Fontaną.

Jak twierdzą starzy górnicy, był to bardzo porządny duch. Nie wolno było go tylko gniewać. A pogniewać go łatwo. Wystarczyło zagwizdać lub zbyt zapieronować, a wtedy pojawiał się i zuchwalca wyrznął pięścią tak mocno w gryzok³⁴, że mu zaraz spuchł lub zgoła zęby wyleciały.

Górnicy chwalą więc swojego Pusteckiego, czyli Skarbnika, czyli Fontaną i zawsze mu dobrorzeczą. Lecz za to beskidzcy górale i podbeskidzcy dolanie użalają się na cały regiment przeróżnych cudacznych istot zatruwających żywobycie porządnego człowieka. Złośliwe to bowiem istoty, licho wie, czy nie z piekła rodem.

Najgorsze z nich są utopce.



Siedzą lub pluskają się te psie marchy w Olzie i Wiśle oraz w stawach w Żabim Kraju, nurkują w głębokich płosach, baraszkują, kłóca się, biją i wymyślają sobie bardzo szpetnymi słowy w mowie „egipcjańskiej”. W południe wylażą z wody na brzeg, wyciągają z niej swoje pierzyny, suszą je w słońcu, a utopcułe wylażą na dudławe³⁵ wierzby i plotkują także w mowie „egipcjańskiej”. A gdy na kościelnym zegarze wybije godzina pierwsza, porywają pierzyny i skaczą z nimi do wody.

Bywają ich całe rodziny, a więc stare i młode utopce, stare i młode utopcułe i ogromna zgraja utopcząt. I wszystko to tałatajstwo dybie na człowieka i przemyśliwa, jak go wciągnąć pod wodę.

Śmieszne to i brzydkie stworzenia w czerwonych porcietach lub spódnicach, w czerwonych kabatkach, z małpimi mordkami, z palcami u rąk spiętymi błoną jak u kaczki. W jesieni, podczas powodzi, żenią się i urządzają weseliska. Spraszają wtedy sąsiednie familie utopców, pluskają w spienionej wodzie, płyną okrakiem na tramach niesionych powodzią, skrzeczą, wyskają, piszczą, opluwają się wzajemnie, spychają z tramów do wody, fikają koziołki, biją, imają za kudły przeciwników, słowem sądny dzień!... A ludziom stojącym na brzegu pokazują języki lub wypinają na nich tyłki.

Czasem przemieniają się w czerwoną wstążkę płynącą po wodzie, czasem w dużego, czarnego psa, a czasem w sporą ropuchę.

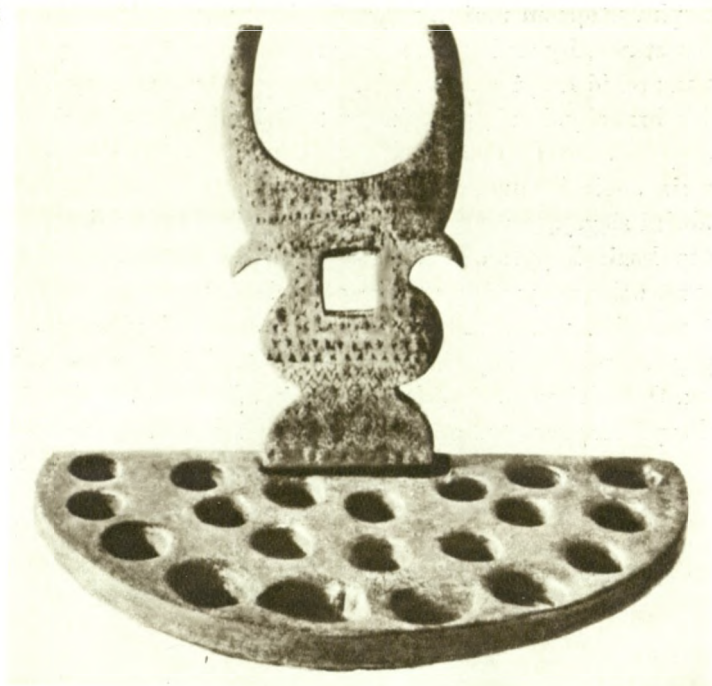
Przed takim głupim utopcem można uchronić się w następujący sposób: zanim wejdzie się do rzeki lub stawu, by się kąpać, należy zanurzyć duży palec prawej nogi w wodzie i owym palcem zrobić krzyż na czole. Nie każdy potrafi to uczynić, dlatego też ci, którzy mają wielkie brzuchy, kąpią się tylko w takich miejscach, gdzie woda sięga najwyżej do pępka.

Inaczej poczynają sobie jaroszki³⁶.

Są to małe diabełki sięgające dorosłemu człowiekowi do kolan. Mają na głowie kozie różki, zamiast stóp kozie kopytka, a zamiast krowiego ogona, jakie miewają diabli, potrzepują drobnym, zakręconym, prosięcym ogonkiem. Poza tym są czarne i kudłate. Siedzą na górze Ochodzitej w Koniakowie i strzegą talarów Ondraszka. Ondraszek tam je kiedyś ukrył, gdy wracał z rozboju na Uhrach³⁷. Potem się pominął, a jego zdobyczne talary pozostały na Ochodzitej pod opieką jaroszków. Jest ich niewiele tych jaroszków, bo można ich naliczyć niepełny tuzin. Gdy ktoś wraca w ciemną noc koło Ochodzitej, zobaczy na jej łysym szczycie niebieski ogienek. To jaroszki suszą tamte talary, miesząc

W starej góralskiej chalupie





je warzechami i strzegą przed ludzką chciwością. A strzegą skutecznie. Jeżeli jakiś śmiałek zakrada się do nich, to wtedy parskają na niego jak złe koty. A jeżeli podejdzie jeszcze bliżej, biją go warzechami i odpędzają aż na koniakowską drogę. Można do nich podejść bezpiecznie, znając zakłęcie. Lecz nikt go nie zna, a jeżeli je ktoś zna, jak wspomniany już gajdosz Wawracz z Istebnej, brakuje mu w owym zakłęciu tylko jednego, najskuteczniejszego słówka. Jakie to słówko — wiedział tylko Ondraszek, lecz zabrał je z sobą na drugi świat, Boże mu tam daj radość wiekiutą, amen!

Po dolinach zaś włączą się nocami nocznice w postaci błędnych, niebieskawych ogników. Taka nocznica spotyka idącego przechodnia, najczęściej pijanego gazdę, i wabiąc go słodkim głosem: — Pódź! Pódź!... — wiedzie przez bagniska, krzaki, tarninę, zarośla, błota i zapadliska. Wodzi go tak długo, aż zacznie świtać, a ptaki zaczną się budzić. Wtedy znika, a zdumiony gazda patrzy i w żaden sposób nie może pojąć, gdzie się tu zabląkał w takie odludne pustaczyny. Wraca wtedy do domu utyłany w błocie, z podrapaną gębą, w poszarpanym brucliku i chociaż wszyscy mu wierzą, że to nocznica smykała go po brzynach, nie wierzy mu żona i wtedy bywa piekło w domu. A nocznicy chodzi przede wszystkim o to piekło.

Siostry nocznice nazywają się polednice.

Jak wyglądają, trudno powiedzieć. Świadomszy sprawy twierdzą, że są jakby utkane z szarej mgły i łażą w samo południe po świecie. Gdy natrafiają na śpiących zniwiarzy, którzy wielce zmęczeni pokładli się w cieniu, wyłażą na nich i powtarzając: — Śpisz!

Śpisz!... — depczą im po brzuchach i obsikują ich szciodrze. Potem taki żniwiarz budzi się wielce utrudzony i mokry. Wtedy już wie, co to było i mówi do kamrata:

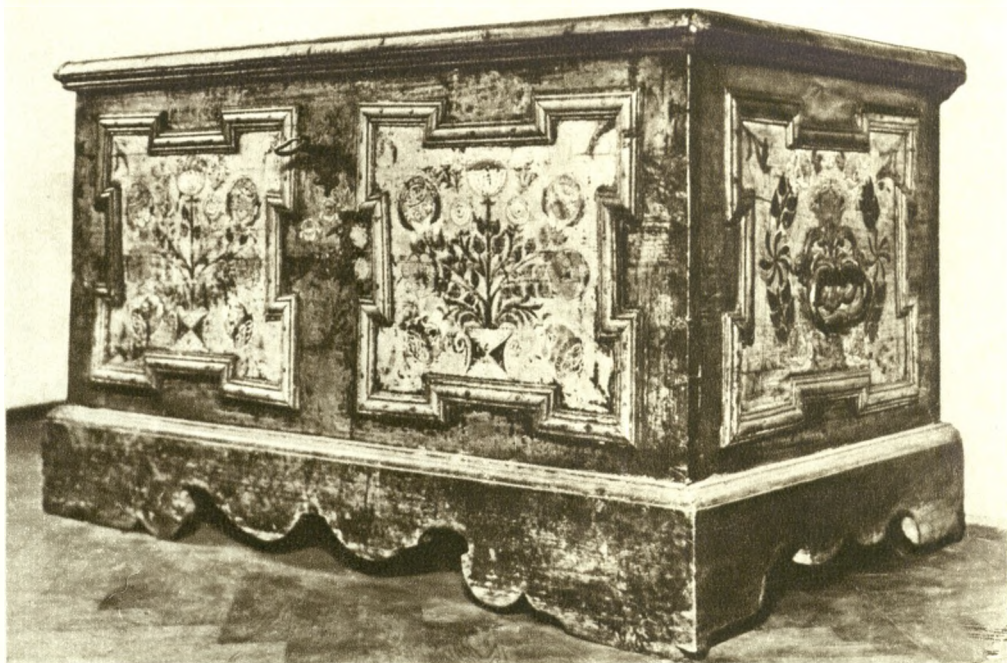
— Ty, Jura, czujesz? Zaś mnie ta przegrzeszono polednica deptała i pojscała!... Straszły kiedyś ogniste konie bez głowy.

Były to dusze złych panów, którzy worywali się w mizerne poletka chłopskiej biedoty i co roku uszczknęli z ich miedzy po jednej skibie. Za karę dusze ich musiały biegać po owych miedzach w postaci koni bez głowy, a z karku buchał im wielki płomień. Ciągnęły za sobą brzęczący łańcuch mierniczy, uwiązany do lewego tylnego kopyta i w taki sposób pokutowały za wyrządzoną chłopu krzywdę. Biegały tak długo, aż wypełnił się czas ich pokuty. Dzisiaj już nie straszą, bo swoje odpokutowały.

Są także diabły.

Kocą się one pod mostkami, na strychach plebanii, w starych dworach i w dudlawych wierzbach. Są to śmieszne pokraki, kuternogi, rokitki i marchy. Mają obwisłe brzuchy, kudły ich są poskręcane, mają zarośnięte dziurki w nosie, krowie ogony, są szczerbate i zezowate z ułamanym rogiem, jąkają, cudaki, czupiradła, strachy na wróble, chudeusze, garbuski, słowem sama piekielna hołota mocno zdiadowana. Siedzą w spróchniałych wierzbach, kucają na rozstajach dróg, ponukują³⁸ ludzi do grzechu, czynią ich żurzli-

Skrzynia malowana, tak zwana trówała



wymi sopuchami, podszeptują sprośne myśli, burzą w mężczyźnie krew na widok dziewczyny, kuszą, zwodzą i kminiają.

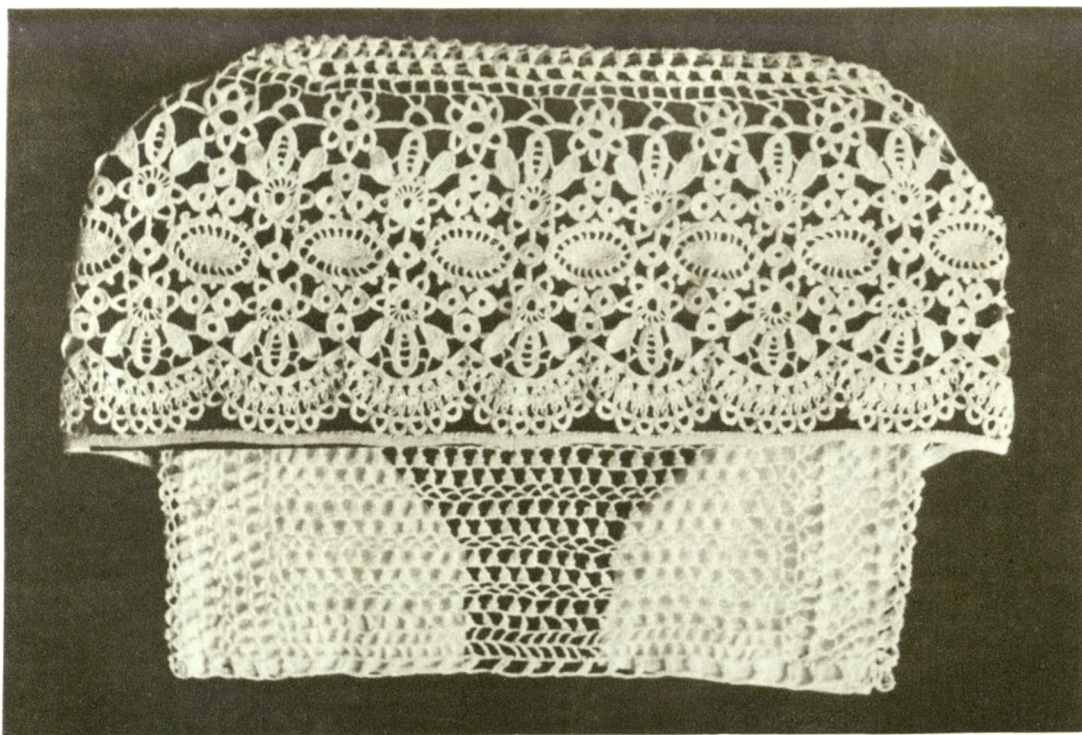
Ludzie mieli jednak na nich sposób. Wystarczyło przeżegnać się lub pomyśleć jakie święte słowo, a już takiego diabła nie było.

Diabły te najchętniej przebywały w starych młynach i na strychach pańskich dworów. Gdy północ wybiła na kościelnym zegarze, zaczynały tam czynić harmider, dzwonić łańcuchami, stękać, piszczeć, dziwy wyprawiać. Wystarczyło jednak wyjść na strych z zapaloną gromnicą i pokropić święconą wodą. Wtedy taki diabeł uciekał przez komin i było znów wszystko dobrze.

W jesieni nadlatują ogromne wichry, a z wichrami tamte diabły. Mają wtedy swój kiermasz, wyją w kominie, wydmuchują dym z pieca na izbę, tańczą koło chałupy, biją kopytami w jej przyciesie, skaczą na dachu, zrywają szyndzioly czyli gonty, robią domownikom na paskudę.

Tylko doświadczeni ludzie potrafią odróżnić, kiedy diabły wyją w kominie i wydmuchują dym na izbę, a kiedy płacze Meluzyna³⁹, która błąka się wśród rozdeszczonej nocy, nieszczęśliwa istota w kształcie pół ryby, a pół nadobnej dziewczycy, szukając swych pogubionych dzieci.

Czepek z Koniakowa



*Koszule męskie
zdobi haft kolorowy*

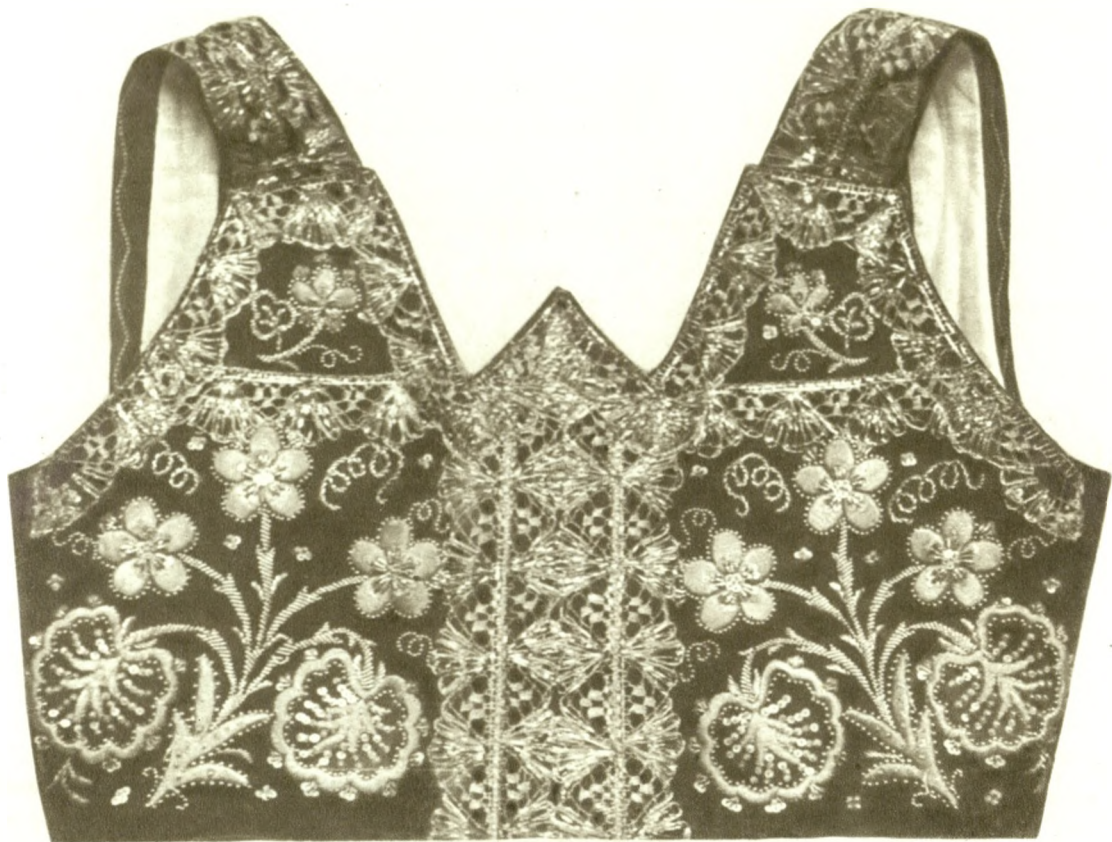


Owa Meluzyna nie jest rodem ze Śląska, lecz przybłąkała się z budującej książki średniowiecznej pt. „Gesta Romanum” i znalazła przytułek w Beskidach. Ludzie jej współczują i gdyby mogli — pocieszyliby ją dobrym słowem, kołaczem lub pacierzem.

Za Meluzyną przyplichciła⁴⁰ się tu cała czereda karzełków. Nie zabawily jednak długo na Śląsku, gdyż czuly się tu nieszczególnie. Gdzieś tam kiedyś nazywały się z niemiecka „Zwerglein”, z cudzoziemska „koboldami” lub gnomami, a jedynie Maria Kopnicka przeważa je krasnoludkami i pozwoliła im zadomowić się w polskiej książce i „Przekroju”. Czasem polscy bajkopisarze nazywają je krasnalami.

Na Śląsku Cieszyńskim mianowano ich karzełkami, lecz że były brzydkie, brodate z dużymi pijackimi nochalami, docierne⁴¹, wścibskie i szwargoczące po niemiecku, przeto rychło straciły mir i wól nie wól musiały sobie pójść tam, skąd przyszły.

Niemieccy gwarkowie chcieli zaludnić nimi śląskie kopalnie, lecz i tam długo nie zabawily, bo je przepędził Pusteki. Owa hołota bowiem szwandrosiła po niemiecku, a nasi gwarkowie mieli dosyć różnych cudzoziemskich przybusiów znad Renu i z Erzge-



Dawne hafty

birge, przeróżnych wydrzyduchów i pasibrzuchów. Za gwarkami ujął się więc Pustecki i przepędził ich na cztery wiatry jako że i on nie mógł ich ścierpieć w swym państwie.

Nie było więc na Śląsku karzelków, gnomów „cwerglów”, krasniali czy zgoła krasnoludków i jak się tam jeszcze nazywali, a były zacne i potulne, i dobrodajne duszyczki, przewane bożatkami, a bardziej z polska bożatkami.

Duszyczki, czyli bożatka przebywały w chałupach, mieszkały w mysich dziurach, malutkie, że je ledwo od ziemi było widać, szare i niepozorne. Były jednak życzliwego serca i za miseczkę mleka postawioną pod ławą lub piecem, za pozamiatanie podłogi, by sobie nie zbiły noska na rozrzuconych słómkach — za te drobne rzeczy czarowały, by się dobrze wiodło gazdom, by im się szczęściło, by rodzili się synkowie podobni do Ondraszaków, a dziewczyny podobne do księżniczek, by krowy dawały sporo mleka, by czarownice nie miały dostępu do obejścia, by kury nosły jajka, by cwancygiery i guldeny mnożyły się w trówałowym przyskrzynku⁴², by córki gazdów miały zacnych galanów i by się dobrze wydały, i by synowie gazdów znaleźli porządne dziouchy sied-

lacze⁴³, robotne, ohotne, z pierzynami i sporą gowiedzią⁴⁴. I to wszystko za mizerną miseczkę mleka stawianego na noc pod ławą. I za to zamiatanie podłogi wieczorem, by sobie nie zbiły noska, gdyby się na ździebelku potknęły.

Były jednak bezradne i bardzo się smuciły, jeżeli matka wybiegała na klachy do sąsiadki, a swoje dzieciątko pozostawiła opuszczone w kołysce. Zwłaszcza, jeżeli nie było jeszcze ochrzczone. Na to bowiem czyhał diabeł, wpadał kominem do izby, porywał niemowlę z kołyski, na jego miejsce podrzucał swego bękarta i uciekał z dzieciątkiem. Taki bękart nazywał się podciepem. Był brzydalem, szpetną poczwara o wielkiej głowie, wrzeszczał w kołysce i darł się jakby go ze skóry obdzierano.

Można było jednak ustrzec się przed taką czarcią zamianą niemowlęcia na podciepa, jeżeli matka włożyła do kołyski przytulnię (*Gallium mollugo*), która odpędza diabły. Albo jeżeli przyniosła do izby koguta, którego diabeł bardzo się lęka. Jeśli bowiem kogut zauważy diabła skradającego się po niemowlę, wszczyną wrzask, pieje przeraźliwie, a diabeł wtedy ucieka ze swoim podciepem, smrodząc obrzydliwie ze strachu.

W zimowe wieczory



Były jeszcze straszydła. Diasi wiedzą, co to było. Po prostu coś takiego, co straszło porządnym ludzi i pijaków wracających po nocy do domu. Był to albo czarny kot z wytrzeszczonymi ślepiami i z zadartym ogonem, albo czarny pies z kłapiącą paszczką i z wywalonym językiem, albo wisielec dyndający na gałęzi nad drogą, albo jakaś zwiewna postać jęcząca, albo wybałuszone, zielonkawe ślepie w lesie, albo jakiś cudak tłukący się na strychu z brzęczącym łańcuchem, albo ogromny wojak płomienisty strzelający z płomienistej strzelby do człowieka, albo tocząca się kula, która przemienia się w kobylicę,⁴⁵ jeżeli ją złapać i podnieść, albo też śmierć w białej płachcie, z kosą na ramieniu, albo też ropucha gadająca ludzkim głosem, albo otwierająca się ziemia w noc świętojańską, a w ziemi kotliczek z dukatami. Jeżeli nabrać tych dukatów, pobiec z nimi do domu i wyłożyć na stół, dukaty przemieniały się w zeschnięte liście. Słowem dużo tego było i nie sposób wyliczyć, w jakich postaciach ukazywały się straszydła między godziną dwunastą a pierwszą w nocy.

I tutaj także skutkowało ziele zwane przytulią.

Był jeszcze wąż Złotogłowiec. Raz w roku, również w noc świętojańską wyczołgiwał się z rozpadliny na górze Goduli i włókł się do najgłębszego plosa w Olzie pod Kiczera. Był bardzo duży, a na głowie miał złotą koronę. A za nim wkłóły się węże, gady, żaby i jaszczurki. Złotogłowiec kładł koronę na brzegu i pluskał się w Olzie, a tamte wszystkie węże, gady, jaszczurki i żaby pilnowały złotej korony. I tak twierdzą istebniańscy starzykowie, byli tacy zuchwali śmiałkowie, którzy łakomili się na ową koronę, gdyż jak obliczyli, można by za nią kupić mendel baranów, pięć krów i wybudować porządną chałupę z jedli. Zakradli się więc i porywali koronę. Lecz nikt z nich nie odbiegł daleko, bo ściagały go węże, gady, jaszczurki i żaby, syczały, szczypały, i przerażony śmiałek porzucał koronę i uciekał. Potem bywał niespełna rozumu i plótł trzy po trzy. Słowem „nie miał wszystkich w domu”⁴⁶ od tej nieszczęsnej chwili. I tu nawet przytulia nic nie pomagała.

Inaczej miała się rzecz ze strzygoniem. Strzygonie były bardzo złośliwe. Były to nieboszczyki leżące już w grobie. Albo pomarłe niemowlęta, których nie zdołano ochrzcić, albo tacy dziwni ludzie, młodo pomarli, którzy na lewej łopacie mieli znak w kształcie nożyc. Jeżeli to była nieboszczka, nazywała się strzyga.

Taki strzygoń lub strzyga wyłazili z grobów o północy, na cmentarzu zostawiali swoją śmiertelną koszulę i czatowali na drodze. Szedł ktoś spóźniony do domu, strzygoń lub strzyga podbiegali i cyk! cyk! nożycami. Już ubranie na tamtym nieszczęśniku było pocięte na kawałeczki. Szedł na ten przykład chłopiec z dziewczyną z zabawy tanecznej, wybiegała strzyga lub strzygoń i strzyg! strzyg!... I już dziewczyna stała naga przed zdumionym chłopcem. A jeżeli napatoczył się strzygoń, podbiegał i cyk! cyk!... I już przed zdumioną dziewczyną stał jej galan, tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Jedynie przytulia, noszona w kieszeni, mogła ustrzec przed tego rodzaju czutorami⁴⁷, jakimi były strzygonie i strzygi.

Gdy zbyt dokończali przechodniom, jakiś śmiałek wybierał się o północy na cmentarz i czatował w ukryciu, kiedy taki strzygoń lub strzyga wygramoła się z grobu, ściągną



Kawulok, jeden z ostatních trombitůw

z siebie śmiertelną koszulę, a potem poszmatłają się na drogę. Wtedy śmiałek porywał koszulę i zanosił na wieżę kościelną. Potem strzygoń lub strzyga wracali, a tu nie ma koszuli!... Włazili przeto do grobu bez koszuli i już więcej nie robili ludziom na paskudę.

Byli jeszcze śpiący rycerze w górze Czantorii i była Czarna Księżna na cieszyńskim zamku. Nazywała się po prawdzie Elżbieta Lukrecja. Starzykowie opowiadali, że na wieży frysztackiego kościoła wisiał dzwon, który świnią wyryła na pastwisku pod Frysztatem. Było tam kiedyś miasto, lecz że w nim żyli ludzie źli, przewrotni, porubcy i nieponie, przeto miasto za karę zapadło się. Otóż świnią wyryła ich dzwon, a mieszczenie zawiesili go na wieży swego kościoła. Głos jego był tak piękny i tak donośny, że dochodził aż do Cieszyna. Czarna Księżna postanowiła odkupić ów dzwon od frysztaczan. Frysztaczanie sprzedali go Czarnej Księżnie za tyle talarów, ile ich zmieściło się na drodze z Frysztatu do Cieszyna, pięknie jeden obok drugiego ułożony. Ów dzwon trzykrotnie uciekał z Cieszyna do Frysztatu. Nie chciał być w Cieszynie. Wtedy Czarna Księżna uprosiła frysztackich mieszczan, by zamurowali okno w wieży od strony Cieszyna.

A gdy Czarna Księżna umarła, ziemia nie chciała jej przyjąć i co ją złożono do grobu, ziemia wyrzucała ją na wierzch. Trumnę z jej zwłokami ułożono przeto na zwykły wóz zaprzężony w czarne woły i pozwolono im jechać dokąd oczy poniosą. Dojechały aż na cierlicki kopiec i tam zapadły się w ziemię wraz z wozem i z nieboszczką Czarną Księżną.

Dziś już niewiele pozostało z tamtych romantycznych bajd, powiarek, bajek i legend. Czasem starzykowie lub starki przypominają sobie jeszcze, co kiedyś ich starzykowie



„Mikołaje z kolędą”

lub starki bajały w czas zimowych wieczorów i to, co słyszały — opowiadają wnukom. Lecz wnukowie nie chcą wierzyć.

Ów cały świat mitologiczny był wytworem bujnej fantazji ludowej. Dzisiaj już nie tylko mocno wypłowił, lecz prawie że zanika. A owe wierzenia nadawały Ziemi Cieszyńskiej osobliwego, bardzo romantycznego uroku, podobnie jak nadawały mu go również zanikające już obrzędy i zwyczaje.

I podobnie powoli zanika wytworny, dystyngowany strój cieszyński dziewczyn i kobiet — męski już dawno przepadł, że go nawet w muzeum nie ma — a staje się strojem widowiskowym podczas występów zespołów regionalnych.

Podobnie ma się rzecz z obrzędami i zwyczajami. Zachowały się jeszcze w Istebnej, Koniakowie i Jaworzynce, następnie w Brennej, a zanikają już całkiem w Wiśle, Ustrońiu.

Do zachowanych zwyczajów należą przede wszystkim szkubaczki. W domu, gdzie jest dziewczyna sposobiąca się do wydaju⁴⁸ rodzice jej zapraszają w jesienne wieczory kobiety i dziewczyny z sąsiedztwa i wtedy pospólnie drą pierze przeznaczoną na pierzynę dla przyszłej młoduchy⁴⁹. Podczas takich szkubaczek starzyk opowiada przeróżne historie, najczęściej o duchach i straszydłach, a tymczasem pod okna schodzą się chłopcy, czyli pacholy. Gdy widzą, że darcie pierza już się kończy, wchodzą gromadnie do izby i wtedy zaczyna się zabawa. Muzykanci grają na gajdach i skrzypcach, inni tańczą, a gaździnka częstuje gości warzonką i buchtą z pszennej mąki.



*Antoni Kubaszczyk,
twórca ludowy
z Koniakowa*



Koniaków. Dziady spod Ochodzitej

W zimie, w okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku aż do Trzech Króli, chłopcy chodzą po wsi z kolędą. Czasem miewają szopkę, czyli betlejemek, najczęściej jednak przebierają się za owych trzech króli, wędrują od chałupy do chałupy i winszują. Wyśpiewują winsze, czyli życzenia oraz śpiewają kolędy. Czasem owi trzej królowie dobierają sobie jeszcze diabła i anioła do kompanii i wtedy takie winszowanie czy kolędowanie przemienia się w ucieszne intermedium z okolicznościowymi przyśpiewkami.

Nadejdzie wiosna, a z wiosną czas wypędzenia owiec na hale, wtedy gazdowie spędzają swoje owce na umówione miejsce. Baca i gazdowie wiodą je następnie na hale, po drodze przygrywiają na gajdach i skrzypcach. Na hali baca wtyka w ziemię świerkową choinkę i zaczyna chodzić koło niej ze swym owczarkiem z pogwizdywaniem. I wtedy gazdowie podpędzają za nim swoje owce w taki sposób, że poszczególne grupy owiec mieszają się z sobą. Gdy już się całkiem zmieszają, baca wprowadza je do koszoru⁵⁰ przez dogasające ognisko w bramie, co ma być skutecznym sposobem przeciwko chorobie owiec. Na zakończenie bawią się wszyscy, tańczą, śpiewają, a owce beczą i lamentują za pogubionymi towarzyszkami.



Gajdoszek

o błogosławieństwo dla obojga młodych. Przed tym jednak popisują się krasomówczą oracją pełną przykazań i nauk dotyczących się wzajemnych obowiązków małżeńskich.

Igdy starostowie już się wygadali, a rodzice pobłogosławili córkę i żenicha, jedzą wszyscy śniadanie złożone z siedmiu potraw, po czym jadą do ślubu z szumem, helokaniem, kapelą i strzelaniem z batów. Chłopcy zaś sposobią się na powrót orszaku weselnego z kościoła. Zastawiają mu drogę barierą i weselnicy muszą im się opłacać.

Po ślubie, weselnicy udają się do gospody, „na muzykę”, trwającą do wieczora, a nowożeńcy jadą do domu rodziców żenicha. Młoducha prosi swoich teściów o przyjęcie jej za synową i córkę. Następnie wracają z muzyką do gospody, gdzie taniec rozpoczyna starosta z młoduchą i družka z družką. Następnie młoducha z družką i obie starościny. W końcu dopiero może tańczyć żenich z młoduchą.

Wieczorem weselnicy udają się do domu żenicha na wieczerze złożoną z siedmiu dań. Podczas wieczerzy starościny wyprowadzają młoduchę do komory, gdzie wśród lamentu i płaczu następują oczepiny. Zdejmują jej wianek z głowy, włosy zwijają w dudek, a starościna wkłada jej na głowę czepiec z koronek i białą, haftowaną chustę, czyli szatkę.

Starościny sadzają teraz młoduchę między dwie družki i wszystkie nakrywają przecieradłem. Wezwany żenich powinien odgadnąć, która z nich jest jego żoną. Jeżeli odgadnie — to dobrze. Jeżeli nie odgadnie — jest sporo wesołości i dworowania z żenicha.

A potem to już bawią się, tańczą, śpiewają, częstują i jedzą aż do białego rana.

W noc świętego Jana wybiera się młodzież na gronia i pagórki, pali ogniska „puszcza fachle”, czyli wyrzuca w powietrze stare miotły płonące, unurzane poprzednio w smole, skacze przez ognisko, śpiewa i tańczy.

W wieczór wigilijny, po wieczerzy złożonej z siedmiu potraw, dziewczyny wróżą, która z nich wyjdzie w następnym roku za mąż. Wyrzucają trzewik lub pantofel poza siebie i jeżeli spadnie na podłogę z noskiem skierowanym do drzwi — wyjście za mąż w przyszłym roku pewne. Albo wychodzą na dwór i słuchają, w której stronie pies szczeka. Skąd dobiegnie jego szczekanie, stamtąd może spodziewać się przyszłego narzeczonego. Gazdowie tymczasem zapalają świecę w lichtarzu, zwołują domowników i każą wszystkim po kolei zdmuchiwać jej płomyk. Jeżeli dym po zdmuchnięciu unosi się w górę, znak to niechybny wróżący zdrowie. Jeżeli się waha i nie wie, dokąd ma się wznieść — wróży to chorobę. A jeżeli dym zmierza wprost do drzwi — trudno, trzeba szykować dla dmuchającego trumnę. O zdrowiu prawią także cztery orzechy, a każdy orzech przepowiada zdrowie lub chorobę w jednym kwartale. Jeżeli rozłupany ma zdrowe jądro — to i zdrowie czeka szczęśliwca. Jeżeli jądro szerniałe — choroba ista. A jeżeli jądro zmarniałe — hm, raz kozie śmierć!...

W noc wigilijną o północy gadają z sobą ludzkim językiem krowy, owce, kozy, ba, nawet kury i gęsi. Ich rozmowę można usłyszeć, ale trzeba być bez grzechu. A ponieważ nie ma takiego bezgrzesznego człowieka prócz niemowlęcia, przeto nikt jeszcze nie słyssał gadających krów, owiec, kóz, gęsi, kur i kaczek. Za to krowom i owcom, czy kozom wynosi się resztki potraw wraz z opłatkiem, by i one miały „świętą wieczerzę” i w przyszłym roku nie chorowały.



Oczepiny

W dzień Bożego Narodzenia zaś wynosi się z domu wszystkie łupiny z orzechów, ości z karpi, odpadki ze stołu i wysypuje się pod jabłoń lub gruszę, która nie chce rodzić. Na drugi rok gałęzie takiej jabłoni lub gruszy łamią się pod nadmiarem owoców.

W wieczór Andrzeja dziewczyny leją roztopiony воск lub stearynę na talerz z wodą i z formujących się w niej kształtów wnioskują, czy wyjdą za mąż, czy ten wybrany będzie żołnierzem czy gospodarzem, czy rzemieślnikiem. Czego nie dopowie niekształtny wizerunek woskowy, dopowie fantazja.

Gościom nie podaje się przez próg ręki na powitanie, bo to wróżyłoby nieporozumienie.

Gdy gospodarze prowadzą gościa do stajni lub obory, by się pochwalić dobytkiem, należy rzec: — Bez uroku!... — na dowód, że nie ma się zamiaru rzucać uroku na bydło. Jeżeli zaś ktoś człowieka urzeknie⁵⁹, że potem zacznie go boleć głowa i zbiera mu się na

wymioty, należy splunąć trzy razy za siebie i wypić garnuszek wody, w który wrzucono trzy rozpalone węgliki. Czarny kot przebiegający drogę wróży nieszczęście. Stara kobieta z próżnymi konewkami, spotkana jako pierwsza wcześniej rano — nieszczęście murowane. Niosąca konewki z wodą — szczęście. Spotkana jednak dziewczyna, obojętnie, czy z próżnymi, czy też z pełnymi konewkami, zawsze przynosi szczęście.

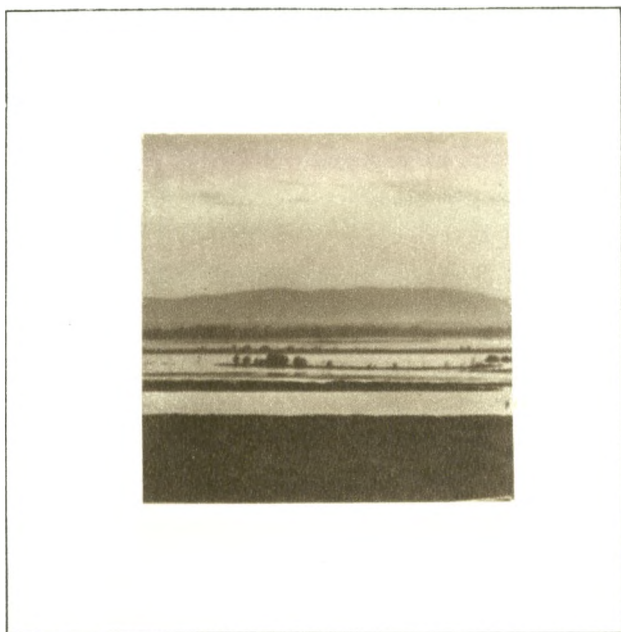
Te wszystkie obrzędy, zwyczaje i powiarki są spuścizną po naszych przodkach z czasów pogańskich. Dotrwały one do dziś w szczątkowej, prawie już wymierającej formie. Najdłużej jednak dochowały się w Beskidzie.

* * *

Obrzędowi i zwyczajom towarzyszą pieśni, pieśniczki, przyspiewki, a czasem ballady Ziemia Cieszyńska jest chyba najbogatsza w pieśni ludowe ze wszystkich polskich regionów. Są to pieśni stare, przekazywane z pokolenia na pokolenie i pieśni nowe, często-kroć improwizowane przy jakiegokolwiek okazji. W samej tylko Istebnej utrwalono na taśmie magnetofonowej 1500 pieśni oryginalnych, istebniańskich. A każda prawie wieś posiada poza pieśniami powszechnymi swoje własne „domowe”.

Na upartego w niektórych pieśniach można się doszukać wpływów pieśni słowackich, czeskich i nawet węgierskich, lecz ów wpływ jest nikły i bez znaczenia. Za to śląskie pieśni, zwłaszcza beskidzkie, znajdują łatwe wzięcie w pieśniach czeskich i słowackich. Bywa nawet tak, że w pieśni ludowej z Ziemi Cieszyńskiej zmienia ktoś pisownię z polskiej na czeską i wtedy staje się ona rzekomą czeską pieśnią. Wystarczy przejrzeć zbiór pieśni pt. „Narodni pisne a tance z Tesinska”. W zbiorze tym zamieszczono jako czeskie takie pieśni, jak: „Gdzieżeś ty bywał czarny baranie”, „Pognała wołki na Bukowinę” i... „Uciekła mi przepióreczka w proso”. W poprzednim zaś wydaniu tego zbioru znajdowała się pieśń „Przybyli ułani pod okienko” jako pieśń czeska ze Śląska Cieszyńskiego, aczkolwiek napisał ją i melodię skomponował dla Legionów Piłsudskiego Feliks Gwizdź, redaktor „Gazety Podhalańskiej” w roku 1913—1914 w Zakopanem.

Pieśniom towarzyszą tańce i odwrotnie. Taki świńszczok, owczorz, żebrok, piłka, boćkany, owięziok, kołomajka, stołkowy i wiele dziesiątek innych tańców stanowią dzisiaj wspaniały repertuar Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, oraz wielu innych pomniejszych zespołów amatorskich, wśród których prym wiedzie amatorski Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej w Cieszynie.



Ani to stare pokolenie niemieckie, ani to młode nie spodziewały się tak tragicznego zakończenia drugiej wojny światowej. Owi starzy bielscy, strumińscy, skoczowscy i cieszyńscy Niemcy, przewani „bürgerami” umiejący po polsku tyle, że mogli się porozumieć bez trudności ze Ślązakami w ich gwarze, wychowani w dawnym patriotyzmie i duchu austriackim — byli tak zwanymi „porządnyimi Niemcami”. I ci nie bardzo podzielali rozhisteryzowany entuzjazm młodego pokolenia niemieckiego, gdy wybuchła druga wojna światowa. Dla tamtych „bürgerów” Hitler był ponurą zapowiedzią ponownej wojny, którą już raz przeżyli boleśnie w latach 1914—1918, a której nie pra-

gnęli teraz na stare lata, młode pokolenie jednak widziało w nim proroka, cudownego męża, wieszczą, geniusza, czarodzieja i anioła z ognistym mieczem, który wygoni z Ziemi Śląskiej ludność polską, oni zaś jemu pomogą.

I pomagali skutecznie. Pomagali skutecznie tak długo, aż nadeszła klęska.

Już w styczniu roku 1945 padło na nich tak wielkie przerażenie, że w popłochu, z narzekaniem i płaczem opuszczali gromadnie Bielsko. To nie był wyjazd, to była paniczna ucieczka.

A gdy dnia 12 lutego wojska radzieckie wkroczyły do Bielska, nie było już w nim niemieckiej ludności, podobnie jak już jej nie było we wsiach podbielskich.

A za nimi pociągnęli w głąb Reichu Niemcy strumieńscy, nieliczni zresztą, skoczowscy, także nieliczni, i cieszyńscy.

Nikt ich nie wypędzał. Sami poszli. Gnał ich strach, przerażenie a może i sumienie. Zdawali sobie sprawę, że w stosunku do nich spełnia się zapowiedziane przez Schillera „przekleństwo złego czynu”, czyli „der Fluch der bösen Tat”.

Gdy więc wojska radzieckie zajęły Bielsko, nie było już w nim Niemców, tych zagozdzonych, fanatycznych, opętanych hitleryzmem. Pozostali staruszkowie bladzi i skamlący o łaskę. Pozostały stare Niemki, które teraz przeklinały Hitlera w łamanym języku polskim. Nikt im nie robił krzywdy. Siedzieliście spokojnie za Hitlera, siedźcie teraz spokojnie wśród nas. Nie usiedzieli, bo w ciągu następnych miesięcy i oni pociągnęli z tłumokami za swymi dziećmi.

I gdy dniu 1 maja wojska radzieckie wkroczyły do Skoczowa, także nie było w nim Niemców. A gdy dnia 3 maja zajęły Cieszyn — także już ich tam nie było.

Innymi słowy Ziemia Cieszyńska stała się teraz rdzennie polską ziemią. Albo jakby powiedział jakiś śląski eklezjasta, że „dom został oczyszczony z robactwa”. Albo jak orzekł stary góral istebniański Wawracz, przezwany Kolumbusem: — „Poszli, bo mieli masło na głowie!...”

Owym jowialnym eufemizmem chciał powiedzieć, że uciekli przed słuszną karą za swe zbrodnie, za denuncjowanie Polaków, za pomaganie gestapo w aresztowaniach, za polowanie na ukrywających się proskrybowanych Ślązaków, za policzkowanie tych, którzy ośmielali się rozmawiać na ulicach Cieszyna, Skoczowa, Strumienia i Bielska po polsku, za te nie policzone dotychczas ofiary w niemieckich obozach koncentracyjnych, za szubienice w Cieszynie i Jabłonkowie, za strzelanie do ustrońskich robotników jak do zajęcy — słowem za hitlerowskie zbrodnie.

Poszli więc i nikt za nimi nie płakał.

Wojna przewaliła się przez Ziemię Cieszyńską jakoś dziwnie łagodnie. A raczej wcale się nie przewaliła, tylko przeszła jakby ukradkiem. Zburzyła kilka kamienic w Bielsku, Strumieniu i Skoczowie i to wszystko.

A gdy już przeszła i wojska radzieckie popędziły za niedobitkami na czeską Pragę i Berlin, ludzie na Śląsku ocknęli się z psychicznego odrętwienia, imali się roboty.

Wracali nieliczni niedobitkowie z niemieckich obozów koncentracyjnych, wracali ci, których zmuszono do służby w „Wehrmachcie”, wracali ci, którzy z fałszywą „Kenn-

kartą” ukrywali się w Generalnej Guberni, z beskidzkich lasów wychodzili partyzanci, a wszyscy, gdy się spotykali, obliczali z bolesnym skurczem serca, ilu kamratów poginęło w obozach, więzieniach, na szubienicach i w partyzantce.

Dobrorzeczono zmarłym, postawiono im krzyże na mogiłach lub skromne pomniki, odmówiono za nich pacierze i podejmowano się roboty.

Patrząc z perspektywy dzisiejszej na miniony okres owej roboty „raduje się serce, raduje się dusza”, jakby powiedział poeta.

Trzeba było naprawić powalone płoty, załamane mostki, wysadzone mosty, odbudować zburzone domy i obejścia gospodarskie — uczyniono to rychło. Z bielskich i cieszyńskich fabryk Niemcy nie zdołali wiele wywieźć. Trochę maszyn, trochę surowca. Robotnicy bowiem sabotowali niemiecką gorączkową ewakuację. Ruszały więc fabryki, jedna, druga, dziesiąta, setna!... Czasem brakowało chleba, czasem ziemniaków, ba nawet węgla w ziemie — to nic! Głód uciszy się czymkolwiek — fasolą, bobem, kaszą, razowcem...

Dom zdrojowy w Wiśle



Po odbudowie zakładów przemysłowych nastąpiła ich rozbudowa. I dzisiaj wytworzone w nich towary wędrują w daleki i w bardzo daleki świat, jak udoskonalone przez śląskich inżynierów motory elektryczne z Cieszyna, bielskie tokarki i maszyny przędzalnicze, tkaniny, kapelusze, fezy, skóra i miły Bóg wie, co tam jeszcze. Gdyby to wszystko spisać, utworzyłaby się długa litania najeżona cyframi.

Macierz Szkolna Księstwa Cieszyńskiego przestała istnieć. Próbowano ją wskrzesić, zmieniono jej nazwę na Macierz Księstwa Cieszyńskiego, lecz jej dalsze działanie stało się teraz prawie niepotrzebne. Swoje zadania spełniła, dzięki niej bowiem dzisiejsza Ziemia Cieszyńska znalazła się w granicach Polski Ludowej. Z jej szkół powszechnych i dwóch gimnazjów wyszły szeregi nowego pokolenia, nowej inteligencji wyłącznie pochodzenia chłopskiego i robotniczego, ta młodzież — to dzisiaj świetni inżynierowie, prawnicy, lekarze, ba, nawet ministrowie.

Protoplastą inżynierów z Cieszyńskiego jest chyba Józef Bożek, wynalazca maszyny parowej w roku 1815. Wprawdzie Stephenson wynalazł ją w roku 1814, lecz Józef Bożek



Na turystycznym szlaku



Schronisko PTTK w Wiśle-Maliniec

nie wiedział nic ani o Stephensonie, ani o jego maszynie parowej, jako że ówczesna blokada Anglii przez Napoleona I uniemożliwiała dotarcie wieści o tym wynalazku do Józefa Bożka.

Warto o nim wspomnieć.

Urodził się w roku 1782 jako syn młynarza w Bierach w powiecie bielskim. W roku 1799 stał się uczniem gimnazjum w Cieszynie. W gimnazjum tym, rzecz jasna, musiał się zniemczyć, gdyż taki los był pisany każdemu śląskiemu dziecku w ówczesnej niemieckiej szkole średniej. Udając się na dalsze studia do Brna na Morawach, a następnie

na wydział filozoficzny na uniwersytecie praskim, stał się mechanikiem praskiej politechniki i w roku 1815 pokazał prażanom swój pierwszy wóz mechaniczny, poruszany parą, mogący zmieścić trzy osoby. W roku 1817 zaś urządził pokaz swej pierwszej łodzi parowej na Wełtawie oraz pokaz wozu parowego na grobli przy Wełtawie. Zmarł w roku 1835 prawie w zapomnieniu.

Gdy go sobie przypominano, zaczęła się utarczka między Niemcami i Czechami o jego przynależność narodową. Jedni i drudzy pragnęli się szczycić tak zacnym wynalazcą. Lecz jako się rzekło, nie był to ani Czech, chociaż studiował w Brnie i Pradze, ani Niemiec, chociaż zniemczył się w cieszyńskim gimnazjum, lecz Ślązak, narodowości polskiej, spod Skoczowa, gdzie jeszcze dzisiaj żyją potomkowie Bożków.

Protoplastą więc dzisiejszego legionu wybitnych inżynierów z Cieszyńskiego był Józef Bożek, z tą różnicą, że tamten zniemczył się, a ci stali się chlubą polskiego Śląska Cieszyńskiego.

Macierz szkolna zaś, instytucja bardzo szacowna i zasłużona w dziejach Ziemi Cieszyńskiej, nie musi już działać, gdyż w ustroju politycznym i kulturalnym Polski Ludowej jej istnienie z jej dotychczasowymi celami stałoby się anachronizmem. Pozostało po niej radosne i budujące wspomnienie.



*Dom
Zasłużonego
Leśnika
w Ustroniu*



Zamiast dawnych bibliotek przy poszczególnych Kołach Macierzy powstały świetlice i biblioteki gminne, gromadzkie i miejskie.

Zamiast dawnych szkół prywatnych Macierzy, wszystkie szkoły przeszły na etat państwowy i wciąż powstają nowe: podstawowe, średnie, zawodowe, fachowe, kursy takie i owakie, licea. Gdyby je zliczyć, znowu powstałaby długa ich litania upstrzona cyframi, które „radują serce i radują duszę”.

Jedynie koła amatorskie, czyli teatry ludowe mogłyby istnieć przy dzisiejszej Macierzy Księstwa Cieszyńskiego, jako że ten dział został zaniedbany.

I koła śpiewacze.

Wszak ongiś Śląsk był najbardziej rozśpiewaną dzielnicą polską. Ludowa pieśń śląska posiada bowiem bogatą tradycję, historię i zasługę. W okresie najbardziej wyteżonej akcji germanizatorskiej, polskość całego Śląska ratowały tylko pacierz odmawiany przez dziecko za swoją matką i pieśń ludowa. „Gesangverein” usiłował narzucić Ślązakowi niemieckie pieśni. Podczas służby wojskowej uczono go pieśni niemieckich i czeskich lub

Wesele w Istebnej



zgoła żargonowych czesko-niemieckich, jak „Od Kajzer-wojacy szabliczki pucują...”. W rezultacie nic z tego nie wychodziło. Niemiecką pieśń wypierała śląska pieśń ludowa.

W porównaniu z pieśniami innych regionów polskich pieśń śląska, a więc i na Ziemi Cieszyńskiej, jest bardzo bogata i melodyjna. Jest to najbardziej oryginalna dziedzina sztuki ludowej, a jej piękno i bogactwo polega przede wszystkim na szczerym, bezpośrednim wyrazie i odwiecznym związku z szarym żywobyciem chłopca śląskiego. Seweryn Goszczyński w swym „Dzienniku podróży do Tatrów”, pisze o śląskiej pieśni ludowej, że „lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej dla celu poważnego. Jeśli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje i cierpi, to był ktoś dotknięty istotnym nieszczęściem, przyciśnięty smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni”. I tym się tłumaczy jej żywotność i rozwój, to ciągle nawracanie do własnych zasobów pieśniarskich pełnych

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”



serdecznej liryki i wzniosłości. Archaiczność melodii i złożoność rytmiczna przy tematyce różnorodności nadają pieśni ludowej świeżość i lokalny koloryt. W pieśni śląskiej przeważa liryka nad epiką, a więc pieśni o zalotach i miłości, pieśni sieroce, wygnańcze, dotyczące losów krzywdzonego człowieka, nad utworami balladowymi, historycznymi czy wojackimi.

Przed pierwszą wojną światową śpiewano je tylko w domu, podczas uroczystości domowych i rodzinnych, i podczas obrzędów ludowych. Potem przeszły w repertuar chórów śpiewaczych, zbierane i częstokroć harmonizowane przez takich wybitnych zbieraczy na Śląsku Cieszyńskim, jak: E. Chroboczek, K. Hławiczka, W. Kisza, A. Podzorski, F. Pustówka, J. Taciña, A. Cinciała, J. Londzin, Feliks Nowowiejski, Hadynowie, ojciec i syn, obecny dyrektor Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, J. Broda i cały legion nauczycieli.

Po drugiej wojnie światowej wspomniany wyżej Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” wyniósł ludową pieśń cieszyńską i górnośląską w mistrzowskim opracowaniu Stanisława Hadyny do wyżyn prawdziwego arcyzmu, czarującego nie tylko polskich słuchaczy, lecz setki tysięcy zagranicznych melomanów: Rosjan, Litwinów, Niemców, Francuzów, Finów, Szwedów, Belgów, Amerykanów, a przede wszystkim polskich emigrantów rozsianych po całym świecie. Dla nich zwłaszcza śląska pieśń ludowa była radosnym olśnieniem, objawieniem jakiejś tęczowej Polski, urzeczywistnieniem stukolorowego snu o Niej, radością i arystotelesowskim katharsis, zwłaszcza podczas słuchania słynnego Hadynowego helokania i niemniej słynnej suplikacji zbójnickiej „Ondraszku, Ondraszku” — opartych na motywach ludowych pieśni z Ziemi Cieszyńskiej.

Młodszym bratem Zespołu „Śląsk” jest Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, kultuwujący przede wszystkim cieszyńskie pieśniczki i tańce oraz obrzędy ludowe. Jest to zespół amatorski o wysokim poziomie i o bardzo dużych ambicjach, rywalizujący poniekąd nawet ze „Śląskiem”. Jego występy w Czechosłowacji i NRD zyskały entuzjastyczne oceny w tamtejszej prasie, a w eliminacjach ogólnopolskich zdobywa raz po raz poczesne miejsce.

Za przykładem Zespołu Ziemi Cieszyńskiej powstały mniejsze zespoły w różnych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego.

Amatorski ruch śpiewaczy i taneczny odradza się wprawdzie powoli, ale odradza po tamtym ponurym okresie okupacji hitlerowskiej, podczas której gestapo wymordowało wszystkich wybitnych działaczy i członków chórów polskich, a między nimi zamordowano w obozie koncentracyjnym wybitnego kompozytora, wiślańskiego nauczyciela, Jana Sztwiertnię.

Krajobraz Ziemi Cieszyńskiej, który był inspiratorem ogromnej liczby cieszyńskich pieśniczek, czarujących swą melodią tak samo, jak czaruje piękno owej ziemi, nie dał jeszcze pieśni o zmienionym charakterze Żabięgo Kraju, gdzie wśród dawnych licznych stawów powstało olbrzymie rozlewisko, zamknięte zaporą goczałkowicką.

Górny Śląsk potrzebował wody.

— Dajcie nam wody, my wam damy węgiel i stal!



Zapora w Goczałkowicach

I postanowiono wybudować zaporę, największą w Polsce, która by spiętrzyła wody Wisły między Strumieniem, a Goczałkowicami, która by zatopiła wieś Zarzecze i utworzyła jezioro o powierzchni 3600 ha, a którego zapora byłaby długa 3 km.

Była to olbrzymia inwestycja na terenie Ziemi Cieszyńskiej, nader kosztowna, lecz konieczna. Budowa trwała pięć lat.

Drugą gigantyczną inwestycją ma być „kombinat sanatoryjny” na przestrzeni Ustroń — Wisła. Na południowym stoku Równicy i wzdłuż rzeki Wisły powstaną sanatoria wznoszone przez poszczególne zakłady pracy i gwarectwa, i w rezultacie cały ów teren beskidzki zamieni się w jedno olbrzymie uzdrowisko z nowymi drogami, parkami, alejami, willami i sanatoriami.

Dużo zmieniło się po drugiej wojnie światowej na Ziemi Cieszyńskiej, zmieni się jeszcze więcej w najbliższych latach i to, o czym marzyli zuchwale działacze społeczni i narodowi od pierwszych dni Wiosny Ludów, staje się rzeczywistością w Polsce Ludowej.



Restauracja na Kubalonce



Od czasu, kiedy Gustaw Morcinek ukończył „Ziemie Cieszyńską”, dużo się na tej ziemi zmieniło. Powstało wiele nowych zakładów produkcyjnych, ośrodków wypoczynkowych, a ruch turystyczno-krajoznawczy z roku na rok przybiera na sile; zmienia się oblicze tej pięknej i ciekawej krainy. Dlatego Wydawnictwo postanowiło uzupełnić „Ziemie Cieszyńską” nowym rozdziałem, pt. „Dnia dzisiejszego ciąg dalszy”, napisanym przez Bolesława Lubosza.

* * *

Od Bielska aż po Cieszyn towarzyszą podróżnemu zielone i modre zbocza gór śląskiego Beskidu, który miękko opada w doliny i sfalowane pola. Czasami pejzaż ten zostaje zakłócony żelbetowymi konstrukcjami i wysokimi kominami, wyrastającymi jak gdyby z samego środka górskiej płataniny. Coraz bardziej zawężlające się sąsiedztwo przemysłu z niezwykłą urodą krajobrazu oraz rolnictwem — jest tak bardzo charakterystyczne dla dnia dzisiejszego powiatów cieszyńskiego i bielskiego. Te bowiem właściwości gospodarze i krajobrazowe określiły postęp oraz wielki awans społeczny tej ziemi. Miejsce wspomnianego regionu na mapie ekonomicznej Polski jest obecnie jakże wyraźnie zaakcentowane.

Dzień dzisiejszy Ziemi Cieszyńskiej zaczął się jednak na wiele lat przed rokiem 1945, który przyniósł wolność wschodniej połaci naszego kraju. Zaczęli go kształtować ludzie, którzy nie załamali się po utracie wolności i już w pierwszych dniach okupacji podjęli trud konspiracyjnej pracy, myśląc równocześnie o zmartwychwstaniu Polski — ojczyzny równości społecznej, ojczyzny ludowej. To właśnie komuniści pierwsi sięgnęli po broń i stworzyli szeroki ruch oporu i działalności podziemnej.

W grudniu 1940 roku zebrali się u Józefa Magi w Dankowicach starzy działacze KPP — Stanisław Bularz, Józef Kluska, Leon Lasek i Leon Wieczorek, którzy założyli pierwsze na ziemi cieszyńskiej Koło Przyjaciół Związku Radzieckiego. Grupa ta przystąpiła do niezwykle ożywionego działania. Nie upłynęło nawet pół roku, a już w najbliższej okolicy pracowało 15 takich kół, a mianowicie — poza Bielskiem i Cieszynem — jeszcze w Bestwinie, Bujakowie, Dankowicach, Dziedzicach, Jasienicy, Kaniowie, Kętach, Komorowicach, Mikuszowicach, Straconce, Wilamowicach, na Zaolziu i w Żyweu. W Cieszynie organizacja przybrała nazwę „Jednolity Front Robotniczo-Chłopski Współpracy ze Związkiem Radzieckim” i jako główne zadanie postawiła przed sobą stworzenie bojowych oddziałów Gwardii Ludowej. Dowodzili tym ruchem — Franciszek Zawada (pseudonim „Franek”) oraz Józef Łabudek. Wówczas oczy wszystkich zwróciły się w stronę gór, gdzie rozciągały się przepaściste jary, strome zbocza i gęsto zbity las, upatrując słusznie w tym krajobrazie sprzymierzeńca dla swoich zamierzeń. I znowu odżyły podania i tradycje ondraszkowe — ludzie zaczęli zbierać się w ostepach, naradzając się i oczekując na zawołanie do czynu.

Pierwszy oddział zbrojny pod dowództwem Karola Szejbera i Stanisława Zawady powstał właśnie na połoninach Baraniej Góry. Żołnierze-partyzanci rekrutowali się przeważnie — jak przystało zresztą na spadkobierców szlacheckich tradycji góralskich z okresu szwedzkiego potopu — z mieszkańców Istebnej i Kamesznicy. Była to grupa silna, zwarta, która dała się mocno we znaki okupantowi i kontrolowała wcale okazały obszar rozciągający się od Baraniej Góry poprzez Tyniok, Złoty Groń, Pietroszonkę, Malinowską Skalę aż do Magórki.

Wkrótce powstały inne oddziały Gwardii Ludowej, m. in. mająca silne powiązania z Zaolziem grupa na Czantorii (dowódca Klemens Starzyk, zastępca Jan Klancznik), dalej — w Ustroniu (komendant Franciszek Zawada, zastępca Józef Głajc), na Równicy—Orłowej (Michał Gomola) oraz w Skoczowie i Kończycach Wielkich.

Do pierwszej potyczki zbrojnej doszło w dniu 20 maja 1942 roku w Istebniej nad brzegiem Olzy. Te pierwsze strzały rozniosły się szeroko po ziemi śląskiej i napełniły serca patriotów otuchą, bo była to walka zwycięska, w której zdobyto broń, zabito i raniono wielu żandarmów.

Bilans trzyletniej działalności oddziałów Gwardii Ludowej w powiecie cieszyńskim jest zaiste imponujący. Stoczono bowiem 65 większych i mniejszych potyczek oraz walk z hitlerowskimi żandarmami i Wehrmachtem, przeprowadzono 13 akcji na pociągi wojskowe, 12 akcji sabotażowych, w trakcie których niszczone linie elektryczne i telegraficzne. A trzeba tu jeszcze dodać liczne wystąpienia przeciwko osadnikom z Bukowiny, zdrajcom i wysokim hitlerowskim partyjnikom.

W Bielsku działała jednak główna centrala ideowa, która potrafiła nawiązać ściśle kontakty z innymi ośrodkami w kraju. Leon Lasek („Mały”) i Józef Maga („Marcin”) zaczęli wydawać drukowany na powielaczu organ „Okręgu Kół Przyjaciół Związku Radzieckiego — Biuletyn Informacyjny”, a także liczne ulotki i odezwy w językach polskim i niemieckim, w których nawoływali do sabotażu, bojkotowania zarządzeń władz okupacyjnych, dezercji z niemieckiego wojska itp.

Wczesną wiosną 1942 roku dotarły na Śląsk pierwsze instrukcje Polskiej Partii Robotniczej. Bielscy towarzysze już w czerwcu nawiązali kontakt z Krakowskim Obwodem PPR, a po niecałym miesiącu, w Lasku pod Starą Wsią, wybrano w obecności delegata Komitetu Centralnego — Komitet Okręgowy PPR na teren Bielska, w skład którego weszło pięciu pierwszych założycieli Koła Przyjaciół Związku Radzieckiego.

Praca polityczna zataczała coraz szersze kręgi i coraz głośniej było na Podbeskidziu o ludziach, którzy głosząc ideę wolności społecznej zadawali równocześnie dotkliwe straty okupantowi. Oni też byli decydującą siłą patriotyczną na tych terenach — stąd nastąpił tak pokaźny wzrost szeregów partyjnych oraz licznych zwolenników i sympatyków.

Równocześnie został powołany Okręgowy Sztab Gwardii Ludowej w składzie: Leon Lasek — komendant okręgowy, Józef Maga — komisarz polityczny i Józef Kluska — szef propagandy. Pierwszymi ośrodkami objętymi żołnierskim działaniem były: Jasionica (Jan Stefek), Kaniów (Ludwik Gawlik), Kęty (Stanisław Stanisławek) i Bujaków (Szymon Stanisławek). Zaczęły się mnożyć liczne akcje dywersyjne, likwidowano posterunki żandarmerii, wysadzano szyny kolejowe i pociągi. W raportach gestapo aż gęsto było od słów nienawiści, którymi kwitowano udane przedsięwzięcia podbeskidzkich partyzantów. Tamte dokumenty są w głównej mierze naszymi obecnymi informatorami. Niestety żniwo śmierci w szeregach gwardzistów było aż nadto obfite. Ginęli niezwykle wartościowi i zasłużeni ludzie, nieustraszeni przywódcy. A ci, których oszczędziła kula bitewna — często stawali się ofiarami przekupnych zdrajców. W tych bezpardonowych zmaganiach oddali życie prawie wszyscy przywódcy pierwszego Komitetu Okręgowego.

Ale w styczniu 1944 roku jaśniała jeszcze nadzieja. Partia okrzepla. Na mapie Śląska zagęszczała się siatka konspiracyjnej działalności. Okręgi bielski, katowicki i sosnowiecki stworzyły formę wyższą — Komitet Obwodowy PPR. Na czele stanął dotychczasoso-

wy sekretarz bielski — Leon Wiczorek, a Leon Lasek został zastępcą dowódcy Obwodu Armii Ludowej. To wydarzenie było przyczyną reorganizacyjnych zmian w bielskim Komitecie Okręgowym PPR. Obecnie sekretarzem został Franciszek Niedziółka a jego zastępcą Stanisław Stanisławek. Sprawy wojskowe przypadły w udziale Józefowi Farudze, natomiast finansami zajął się Stefan Lenczewski.

Nie sposób wyliczyć wszystkich noszących broń w tamtym okresie. Pracowali, walczyli, ginęli i umierali z myślą o naszym obecnym dniu dzisiejszym. Obraz takiej właśnie Polski pielęgnowali w swoich marzeniach. Dał temu wyraz m. in. Kazimierz Sumper — jeden z konspiracyjnych redaktorów Trybuny Robotniczej i Trybuny Gwardzisty, który działał również na terenie Bielska. W swoich wierszach opisywał ginący świat ucisku, oddał narastającą w społeczeństwie atmosferę niechęci wobec tych, którzy zawinili klęskę wrześniową:

*Dziś się od was lud odwraca,
Bo obludy ma już dość,
Ani klątwy nie pomogą,
Ani wasza wściekła złość.
Dziś się oczy otwierają
Nawet tym co przeciw nam
Razem z wami pyskowali.
Nawet ci nie wierzą wam!
My walczymy dziś o wolność...*

* * *

Dzień dzisiejszy Ziemi Cieszyńskiej spłynął z gór wraz z oddziałami partyzantkimi. Armia Ludowa — bardzo często przed przybyciem wojsk IV Ukraińskiego Frontu — przepędzała nieco wcześniej siły okupacyjne z licznych miejscowości Podbeskidzia. Partyzanci też tworzyli pierwszą kadrę administracyjną i zaprowadzali nowy ład.

Kiedy 12 lutego 1945 roku wojska radzieckie wkroczyły do Białej i Bielska — wszystkim wydawało się, że region ten odetchnie wreszcie szeroko nadchodzącą wolnością. Niestety, front zatrzymał się na linii Zebrzydowice — Pruchna — Brenna. Broniły tego odcinka doborowe i zdesperowane oddziały SS, które może z jednej strony i wierzyły w obiecywaną cudowną broń, z drugiej — wiedziały jednak, że nie będzie dla nich poślazania.

Doszło do takiej sytuacji, że gdy dzieci w Bielsku i najbliższej okolicy już chodziły do polskiej szkoły, a robotnicy przejmowali fabryki we władanie, zaś chłopom rozdzielano ziemię obszarników — to zaledwie kilka kilometrów dalej szalał nadal hitlerowski terror, rozstrzeliwano patriotów, a w Cieszynie zaprowadzali porządki „własowcy”. Nikt wówczas nie myślał, że walki przeciągną się blisko do samego zakończenia wojny. Krwawiła przedzielona ziemia.

W Bielsku działacze PPR i partyzanci przystąpili do organizowania władzy ludowej, organów bezpieczeństwa i do uruchomienia zdewastowanych fabryk. Prezydentem miasta został działacz konspiracyjny, Szczepan Jurzak, starostą — Stefan Lenczewski. W skład nowo utworzonego Komitetu Powiatowego PPR weszli: Józef Zarębski, Leon Wiczorek, Stefan Lenczewski, Szczepan Jurzak, Gertruda Pawlak-Finderowa, Franciszek Niedziółka i inni.

Mijały miesiące. Wiosna rozkwitła w całej pełni. Poprzez linie frontowe dochodziły wieści o okrucieństwach hitlerowców i mordowaniu patriotów w Cieszynie, Brennej, Hażlachu, Wiśle, Koniakowie, Goleiszowie, Górkach... Strzały w górskich ostępach nie zawsze zwiastowały normalne działania wojenne; mówiły często o tym, iż odbywały się tam masowe egzekucje. I oto 30 kwietnia rozpoczęła się wreszcie ucieczka i większe i mniejsze grupy hitlerowców przedzierały się na własną rękę — byle dalej od Rosjan i tej nasiąkniętej krwią ziemi. Ustroń, który w tym frontowym okresie najwięcej ucierpiał, oswobodzony został przez Armię Ludową. To 60-osobowy oddział Karola Jastrzębia ruszył na odsiecz spod Równicy. Natomiast 3 maja radzieckie czołgi pojawiły się na ulicach Cieszyna i wreszcie — po 5 latach i 8 miesiącach — znowu załopotala polska flaga na starej, piastowskiej wieży. W tym samym dniu pojawiła się również polska władza: starosta Łysogórski, prezydent miasta — Jan Smotrycki, I sekretarz Komitetu Powiatowego PPR — Gertruda Pawlak-Finderowa.

Pierwsze dni speszły na obliczaniu strat i na zabezpieczeniu mienia. Łatwo powiedzieć — „rozpoczęła się planowa gospodarka”, gdy powiat był okrutnie zniszczony. Na 9569 zagród wiejskich aż 6952 uległy zniszczeniu lub silnej dewastacji. O dojechaniu koleją do Bielska też nie było w ogóle mowy: 12 mostów na tej trasie leżało w gruzach. Przed trudnymi problemami stanęła młoda władza ludowa.

Ale oto jeszcze nie przebrzmiały radosne wiwaty, gdy o beskidzkie gronia odbiła się kanonada wystrzałów. Echo niesło ustokrotnione odgłosy — ludzie przystawali na drogach i trwożnie podnosili głowy. — Myśleliśmy, że nareszcie spłyną z nas wszystkie okropności wojny — pisali później w pamiętnikach działacze — a tu miał się rozegrać ostatni akt tragedii, najbardziej bolesny, bo utopiony w bratobójczych walkach. I znowu połała się krew starych i młodych działaczy partyjnych. Pojawiły się bowiem w górach bojówki NSZ — oddziały doskonale uzbrojone, z ryngrafami na piersiach, walczące o przywrócenie dawnych porządków Polski przedwrześniowej. Najgłośniejszą i najbardziej okrutną była grupa „Bartka”. O tamtych trudnych chwilach pisze m. in. Jan Zieliński w książce pt. „Śląska jednostka Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w walce z reakcyjnym podziemiem”. Zacytujmy fragment tej publikacji:

„... 24 maja pracownicy UBP wspólnie z grupą żołnierzy KBW osaczyli w Zabrzegu jedną z bojówek „Bartka” dowodzoną przez osobnika o pseudonimie „Dratewka” vel „Błysk”, która znajdowała się na noclegu u swego współpracownika. Podczas obustronnej wymiany strzałów zginęło dwóch członków bojówki „Świerk” i „Maciek”, reszta zaś ratowała się ucieczką. Dom ich współnika został w czasie walki spalony. W parę dni później w Komorowicach Śląskich, grupa zwiadowców KBW wspólnie z pracownikami UBP

otoczyła dom, w którym kwaterowali inni członkowie bojówki „Burza”. I tym razem ratowali się oni ucieczką, w czasie której zabito jednego z nich — „Śmiałego”, a ujęto drugiego — „Skalę”.

W drugiej połowie maja ta właśnie bojówka dowodzona na przemian przez „Konara” i „Pikolo” była najaktywniejsza ze wszystkich innych grup „Bartka”: zamordowała w Czechowicach aktywistę partyjnego Antoniego Biernata, rozbroiła posterunek MO w Komorowicach Śląskich, zamordowała w Ligocie Ottona Gamrota, zdemolowała Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Mazańcowicach, a wreszcie napadła na dom wójta gminy Bestwina. Ożywiła się również bojówka „Poldka”...

* * *

Nic nie potrafiło zatrzymać rodzącego się nowego. Od razu ujawniła się nadzwyczajna ekspansywność gospodarcza obu największych miast tej ziemi, które jeszcze w roku wyzwolenia dostąpiły wielkiego awansu kulturalnego. Po raz pierwszy w ich dziejach miała się tu osiedlić stała scena zawodowa, która przybrała z biegiem lat nazwę „Państwowy Teatr Polski Bielsko — Cieszyn”. Zanim to nastąpiło rozpoczęła się wielka krzątania kulturalna. Założono w Bielsku Dom Kultury, przy którym powstał „Teatr Społeczny”. Z jego szeregów wyszło później wielu znanych aktorów i śpiewaków, m. in. Pola Bukietyńska, Elwira Kamińska, Maria Koterbska, Janina Widuchowska, Rudolf Luszczyk, Kazimierz Meres, Józef Chrobak i inni. Ta scena amatorska istniała cztery lata i wystawiła 48 sztuk. Oglądało ich spektakle około 120 tysięcy widzów.

Wkrótce pojawił się dyrektor pierwszego teatru zawodowego. Był nim aktor katowickiej sceny, Stanisław Kwaskowski. Posłuchajmy więc jego opowieści: „Jeszcze nie było żadnej komunikacji, gdy wynajętym, zużytym gruchotem ciężarowym nie przypominającym wozu Tespisa, na zabytkowy stary rynek cieszyński dumnie zajechał zespół teatru. Z obowiązku kronikarza tych pierwszych, pionierskich dni, wspomnieć muszę, że na czele miasta stał przyjaciel teatru, ob. prezydent Jan Smotrycki, człowiek doświadczony, już w latach, który z radością i serdecznie powitał nas, jednocześnie okrutnie się zdumiał. No, bo jakże! „Z czego wy tu będziecie żyć? Miasto liczy 15 tys. mieszkańców. Co prawda gmachu teatru może zazdrościć wam sama Warszawa. Ale co dzień teatr nie może grać”. Toteż w niedługim czasie siedziba teatru została przeniesiona do Bielska... Do Cieszyna przybyliśmy 1 października 1945 roku, a już 18 października odbyła się uroczystość otwarcia sceny, inauguracja sezonu 1945/46. W kilka dni potem, 25 października, odbyła się także uroczystość w Bielsku. Na inaugurację wystawiona została komedia „Pan Jowialski” Aleksandra Fredry w reżyserii Stanisława Skalskiego, w dekoracjach miejscowego, cenionego artysty-malarza, Kazimierza Stopkowicza.”

Państwowy Teatr Polski połączył ścisłymi kontaktami te dwa miasta Podbeskidzia, które przecież do tej pory współżyły ze sobą dosyć luźno, wytworzył się wreszcie klimat pewnej wspólnoty kulturalnej. O scenie tej było również głośno w kraju. Leon Schiller — wielki autorytet dobrej roboty — zaliczył ten teatr do sześciu najlepszych scen Polski.



Nowe Bielsko. W stronę słońca i gór

Były to wielkie słowa i do tej pory pamięta się o nich w Bielsku. Wiele spektakli przeszło do historii i należą już do ogólnopolskiego dorobku. Ale bo też widziano tu sporo znakomitości aktorskich i reżyserskich. W Bielsku i Cieszynie występowali m. in. tacy mistrzowie, jak Ludwik Solski, Karol Adwentowicz, Edmund Wierciński, Iwo Gall, Karol Frycz (świetne kompozycje scenograficzne), a dalej — Maria Malicka, Maria Bogda, Adam Brodzisz, Kazimierz Fabisiak, Władysław Stoma i wielu innych.

Dali o sobie również znać plastycy. Gdy po wyzwoleniu grupa kilkunastu artystów przystąpiła do wiązania życia związkowego, nie miała wcale lepszych warunków do startu, niż inne miasta naszego województwa. Co więcej — wolność nadeszła nawet do tych miast z pewnym opóźnieniem. A przecież właśnie w Bielsku odbyła się pierwsza po wojnie ogólnowojewódzka wystawa malarstwa i rzeźby. Widać, że od samego zarania plastycy byli tutaj ruchliwi i przedsiębiorczy.

Pierwszym prezesem oddziału był Jan Chwierut. Sekretarzem został obecny dyrektor Muzeum, Stanisław Oczko, a skarbnikiem Zenobiusz Zwolski. Artyści przyjęli pod swoją opiekę zamek książąt Sułkowskich i tam właśnie odbyła się w kwietniu 1946 r. prezentacja dorobku śląskich artystów plastyków. Było to wydarzenie dużej miary



Bielsko.
Teatr
„Banialuka”



*Grupa młodzieżowa Zespołu Pieśni i Tańca
„Beskid” w Bielsku-Białej*

i odbiło się szerokim echem zarówno w prasie kulturalnej, jak i codziennej. Katowicka „Odra”, która ekspozycji poświęciła wiele miejsca i wysłała nawet do Bielska swego przedstawiciela, z niezwykłą sumiennością scharakteryzowała dorobek wystawy. Oddajmy głos sprawozdawcy: „Ogólnopolska wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i tkanin artystycznych, otwarta dnia 14 kwietnia, w Bielsku — w zamku Sułkowskich, jest pierwszym większym pokazem sztuki na Śląsku. Bierze w niej udział 100 artystów reprezentujących: Bytom, Bielsko, Cieszyn, Gliwice, Katowice, Koźle, Nyse, Sosnowiec i Zabrze. Ogółem wystawiono 232 prace, z czego: 163 obrazy, 21 rysunków, 26 grafik, 13 rzeźb, 7 tkanin i 1 sgrafitto. Poziom wystawy jest dość nierówny; obok prac nacechowanych dużym zrozumieniem struktury obrazu, stawiających sobie problem koloru i formy za naczelne założenie, mamy obrazy słabsze, oparte na banalnych wzorach naturalistycznych, świadczące o braku zrozumienia istotnych zagadnień współczesnej plastyki.”

Upłynęły lata. Środowisko plastyków w Bielsku-Białej okrzepło i wzrosło liczebnie. Szeregi zasilili ludzie młodzi, którzy studia ukończyli już w Polsce Ludowej. I wreszcie spełniły się marzenia miejscowych artystów: w mieście wybudowany został pierwszy po wojnie w kraju pawilon wystawowy. Powodzenie tej cennej inicjatywy zawdzięczamy ścisłej współpracy Zarządu Oddziału z miejscowymi władzami. Na otwarcie pawilonu plastyków w 1960 roku przygotowano kolejną okręgową wystawę malarstwa i grafiki. Zaprezentowano 53 artystów, którzy wypowiedzieli się w 109 pracach. A już w rok później odbyła się pierwsza ogólnopolska ekspozycja malarstwa, grafiki i rzeźby. W ten sposób nie tylko podtrzymano dobre tradycje popularyzatorskie, ale znacznie je poszerzono. Była to bowiem pierwsza ogólnopolska wystawa w naszym województwie.

Powstały poza tym w Bielsku dwie inne placówki artystyczne mające duże znaczenie nie tylko dla śląskiego województwa. W roku 1947 rozpoczęła swoją pracownitą działalność scena lalkowa „Banialuka”. Wymyślili ten teatr — na przekór sztywnej planowości — dwaj zapaleni plastycy: Jerzy Zitzman i Zenobiusz Zwolski. Inauguracja tej placówki odbyła się w dniu 7 grudnia. Dzieci zobaczyły sentymentalne, lecz i wielce wzruszające widowisko miejscowego poety, Zygmunta Lubertowicza, pod tytułem „O Marysi sierotce i złotookiej Srocze”. Z czasem „Banialuka” — pod dyrekcją Jerzego Zitzmana — stała się czołową sceną lalkową w Polsce.

Prawie w tym samym czasie powstało Studio Filmów Rysunkowych. Wpierw znalazło ono oparcie w redakcji Trybuny Robotniczej, później rozpoczęło swój samoistny żywot i zlokalizowane zostało w Bielsku. Rzecz charakterystyczna, że twórcą i organizatorem tego ośrodka był także plastyk, a mianowicie Zdzisław Lachur. Dziś sława reżyserów tego Studia rozbrzmiewa głośno na obydwu półkulach naszego globu.

Gdybyśmy próbowali podsumować jeszcze bogaty plon działalności amatorskiej — szczególnie ciekawych zespołów w Cieszynie (Teatr Kukielek „Skrzaty cieszyńskie”, Teatr Dziecięcy „Rozkwit”, zespoły pieśni i tańca itp.) — obraz przedsięwzięć kulturalnych w tym regionie nabrałby szczególnej wymowy i mocy. Zresztą ziemia ta posiadała w tej dziedzinie długie i bogate tradycje.

Z jakim wzruszeniem przystępowali do organizowania życia społecznego dawni działacze sędziwej Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, która w latach rozbiorów i niewoli była synonimem wszystkiego co polskie. Tam się właśnie ogniskowało serce wielkiej narodowej sprawy. Odżył także ów dom wybudowany w 1901 roku, o którym, gdy powstawał, napisał Kazimierz Tetmajer wiersz nadziei. Radośnie pocieszał Ślązaków:

*Bracia! To wolność, wolność idzie!
Próżno krew na żołdaka dzidzie,
Próżno na piersiach ludzkich świeci!
Bracia! Prorocy w jasnowidzie
Pokazywali nam z oddali,
Daleko — słońce, co się pali,
Jak gwiazda kędyś w mgle stuleci.*

*Bracia!... Ta wolność idzie!
Wolność widziana w jasnowidzie,
Wolność narodów, wolność ludów!
Oddana pastwie i ohydzie,
Wolność kast wszelkich! Wielkie prawo
Krwią kupowane, zmyte krwawo,
Wyszarpywane trudem trudów!*

* * *

Dzień dzisiejszy Bielska i Cieszyna znajduje swoje najpełniejsze odzwierciedlenie w rozwoju gospodarczym, w jakże dynamicznej rozbudowie przemysłu. Wysiłek i trud lat powojennych nie wymagają wielkich słów, nie przylegają do nich patos ani egzaltacja. Często — jak to w takich wypadkach bywa — najbardziej romantyczną wymowę posiadają cyfry, szczególnie cyfry porównawcze. Dla ekonomistów, dla ludzi techniki w całej Polsce pojęcie obejmujące Bielski Okręg Przemysłowy — ma swoją sprecyzowaną wymowę, która posiada dźwięk stali i zapach wełny, przelicza się na niezwykle precyzyjną aparaturę konstruowanych maszyn i silników, wskazuje nanaftę i węgiel, na wielką chemię i małe fabryczki produkujące bardzo potrzebne przedmioty codziennego użytku. Jest to konglomerat różnych wysiłków, bogatej inicjatywy przemysłowej i twórczej myśli.

Nie zawsze tak jednak było. Nawet ten przemysł, który wyrósł z wiekowych tradycji bielskich rzemieślników — nie reprezentował większej siły. Wojna pogłębiła kryzys.

Jeżeli ktoś mówi Bielsko-Biała — słuchacze dopowiadają sobie od razu w umyśle — „wełna”, piękne materiały czesankowe. Już tak jest, że z pojęciem tego miasta zrosł się nierozzerwalnie przemysł włókienniczy. I mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że wełna w tym regionie zajmuje dopiero drugie miejsce za fabrykami metalowymi. To jednak nie ma znaczenia. Wyobraźnia ludzka związana jest w tym wypadku z dawnymi tradycjami. Bielsko bowiem, oprócz stolicy Moraw, Brna, zalicza się do najstarszych, żywych ośrodków przemysłu wełnianego Europy środkowej — ośrodków, które od wieków średnich po dzień dzisiejszy zajmują się nieprzerwanie tkactwem.

Praca w tym rzemiośle patronuje mieszkańcom bodajże od samego zarania, od założenia miasta. W początkach XV w. Bielsko przechodziło okres świetności. Mieszczanie otrzymali od Bolka I. cieszyńskiego prawo zatwierdzania statutów cechowych. Wiemy, że po roku 1424 założony został Cech Wytwórców Sukna. Najstarszy zachowany dokument potwierdzający prawa tego cechu pochodzi z roku 1548, kiedy bielscy tkacze reprezentowali w grodzie wielką siłę ekonomiczną. W piśmie tym zwracali się do księcia Wacława Adama m. in. o uszanowanie ich zwyczajów, lecz przede wszystkim domagali się wydania zakazu, który by wstrzymał wywóz wełny z „naszego kraju”, a chłopów żeby przynaglił do dostarczania wełny na targi miejskie w Bielsku. Już wówczas starano się podporządkować wszelką gospodarkę w okolicy temu rozwijającemu się przemysłowi

w starym mieście, a później i poza jego murami, gdy wielu „braci cechowych” nie znalazło dla siebie miejsca w obrębie lub sąsiedztwie rynku. Tak powstało górne i dolne przedmieście Bielska.

Z innego zapisu dowiadujemy się, że w 1613 roku w foluszu cechowym barwiono sukna na cztery zasadnicze kolory: modry, brunatny, czerwony i fioletowy. Wyroby tkaczy cieszyły się już w tamtych odległych wiekach dobrą reputacją i były poszukiwane daleko poza granicami Śląska. Ta dobra sława przetrwała nie tylko po dzień dzisiejszy, lecz w ostatnim dwudziestoleciu znacznie poszerzyła swoje kręgi o wiele egzotycznych krajów.

Wojna nie oszczędziła bielskich fabryk. Pięć zakładów przemysłu wełnianego zostało bardzo poważnie uszkodzonych, a pozostałe nosiły także na sobie mniejsze lub większe ślady frontowej zawieruchy. Straty te powiększała jeszcze znaczna dewastacja parku maszynowego i budynków fabrycznych, które były przez okupanta bezwzględnie eksploatowane przy prawie zupełnym braku konserwacji.

Jednak już po dwu miesiącach wolności przemysł ten zatrudnił ponad tysiąc pracowników, a produkcja miesięczna wyniosła 40 tysięcy metrów tkanin. Od tej pory fabryki

Tak mieszkamy dzisiaj

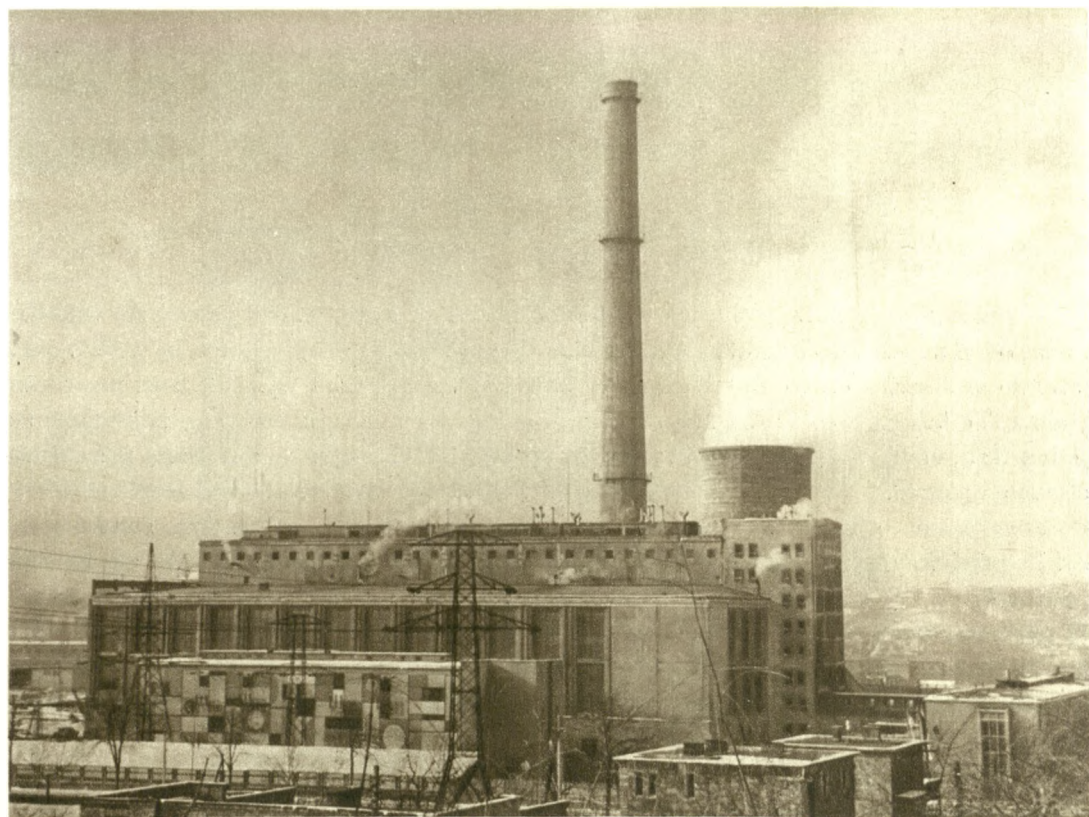


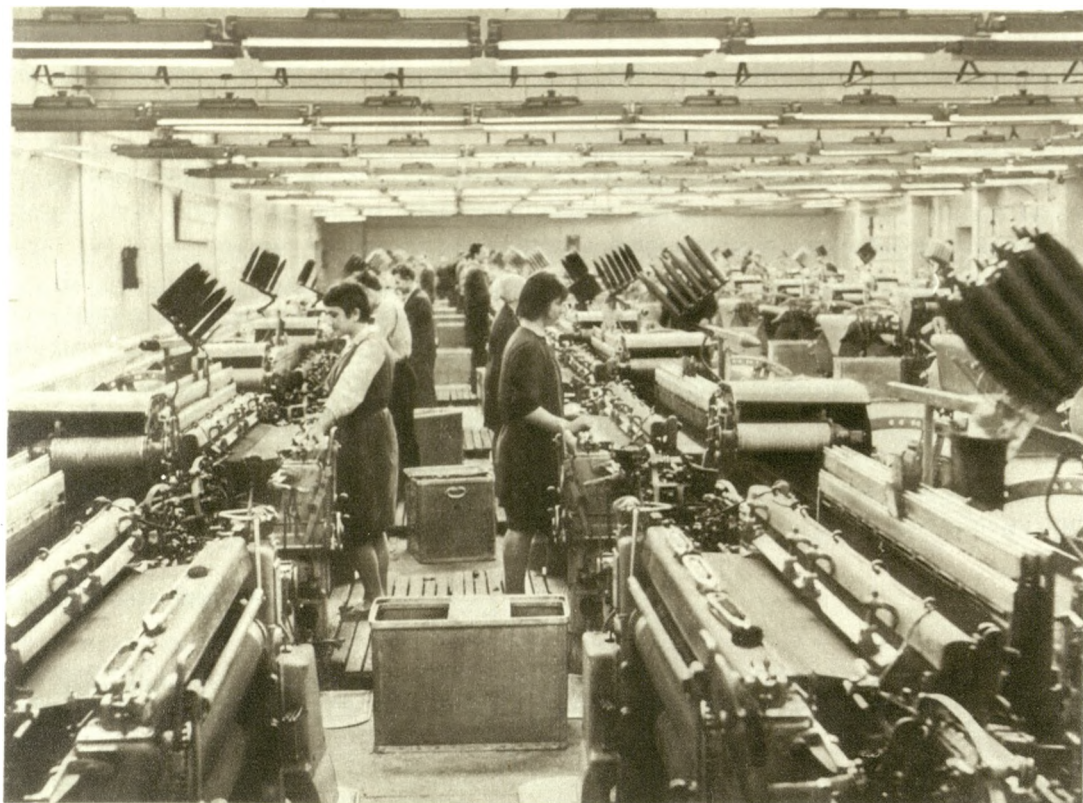
welny, dzięki intensywnej pracy inżynierów i techników, podnosiły swoją wydajność. W 1946 roku ośrodek bielski wyprodukował około 4,8 miliona metrów tkanin, zatrudniając równocześnie około 9 tysięcy ludzi. Można było zameldować: osiągnęliśmy poziom produkcji przedwojennej z lat 1935—1939.

Trzeba obiektywnie przyznać, że jakość materiałów nie dorównywała przedwojnemu standartowi. Chodziło jednak przede wszystkim o jak największą ilość tkanin i to bardzo szybko wyprodukowanych. Ludzie w kraju wyniszczonym wojną nie mieli się po prostu w co ubrać.

Plan 3-letni postawił przed przemysłem wełnianym zwiększone wymagania oraz zadania produkcyjne. Od tej chwili zaczęła wydatnie poprawiać się jakość wyrobów. W 1949 r. wyprodukowano 3600 ton przędzy zgrzebnej i 10,2 miliona metrów materiałów, z czego 57 procent wynosiły tkaniny czesankowe. Ten olbrzymi skok nie byłby możliwy bez dokonania we wszystkich zakładach odpowiednich inwestycji, bez rozbudowy i remontu parku maszynowego. Doszło również do logicznej komasacji różnych drobnych przedsiębiorstw.

Elektrociepłownia w Bielsku





Bielsko. Przy włókienniczych maszynach

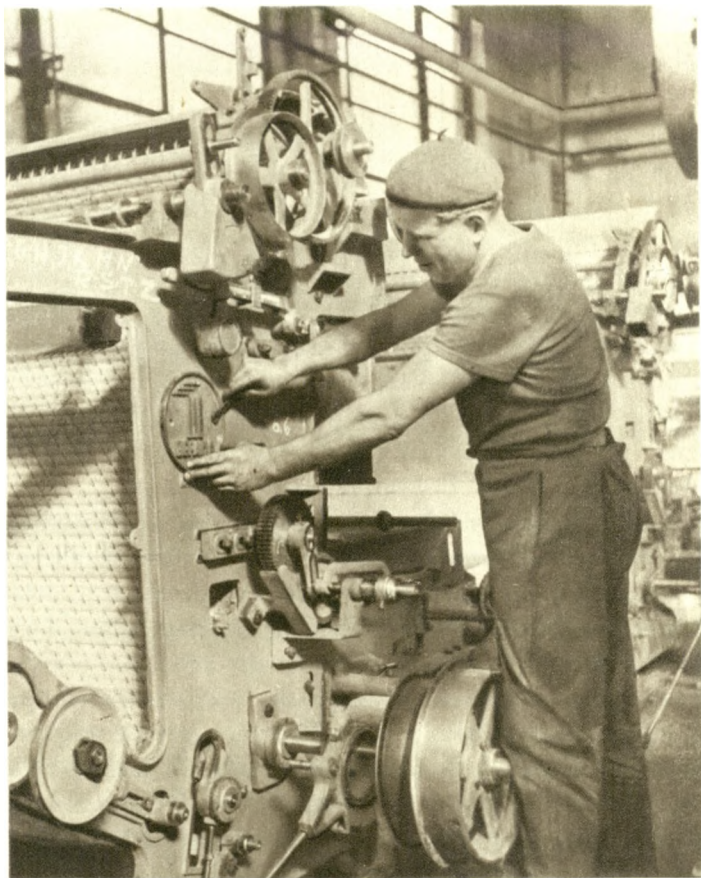
W przedwojennym 20-leciu, jak i w latach wcześniejszych, rozwój przemysłu włókienniczego był zupełnie żywiołowy, a nawet chaotyczny. Należy przypomnieć, że w 1939 roku istniało w Bielsku około 150 zakładów, natomiast tuż przed wyzwoleniem pracowało jeszcze 77 fabryk wełny. Większość z nich stanowiły małe przetwornie, zajmujące się jedną fazą, bądź niecałym cyklem produkcyjnym. Trzeba było tę spuściznę pokapitałystyczną uporządkować oraz dokonać planowej komasacji, w wyniku której doszło w 1950 r. do stworzenia trzynastu samodzielnych kombinatów wełny — o pełnym, zamkniętym cyklu produkcyjnym. I znowu na licznych światowych rynkach pokazały się bielskie materiały — tylko, że ich jakość teraz często przewyższała znane do tej pory wyroby. W piątym roku po wojnie sprzedaliśmy za granicę jedną czwartą produkcji, a w 1955 już 33 procent wszystkich materiałów. Wzory i desenie bielskich tkanin sięgały tysięcy, a w kręgu eksportowym znalazły się takie kraje, jak Albania, Dania, Finlandia, Iran, Islandia, Jugosławia, Liban, Nigeria, NRD, Rumunia, Szwecja i ZSRR.

W 1958 roku produkcja osiąga 17 milionów metrów tkanin, czyli o 270 procent więcej niż najwyższa wydajność roczna w okresie przedwojennym.

Pod koniec lat pięćdziesiątych przemysł ten przeżył chwilę małej rewolucji. Do produkcji wkroczyło włókno syntetyczne. Nowy surowiec wymagał opracowania specjalnej technologii. Fabryki musiały odpowiednio przygotować i przystosować maszyny oraz przeszkolić fachowców. Wkroczyła wreszcie na rynek elana — włókno czterokrotnie silniejsze od wełny, prawie niemnące się — i opanowała w pełni nową produkcję. Wkrótce miliony metrów tkanin elanowych ruszyły w świat. Rozmach tej ekspansji uwypukla się najwyraźniej w cyfrach. W 1959 roku udział włókien syntetycznych w ogólnej produkcji tkanin wynosił tylko 1,3 procent, natomiast w 1963 roku już 20 procent.

Obecnie ubrania bielskich fabryk noszą ludzie w przeszło czterdziestu krajach. Przemysł tego ośrodka jest również znakomitym handlarzem i sprzedawcą — uwzględnia wszelkie życzenia swoich klientów. Specjalne tkaniny opracowuje się np. dla Murzynów w środkowej, czy południowej Afryce, odpowiednio inne musi otrzymać Fin mieszkający na dalekiej północy.

Do końca roku 1950 Bielsko i Biała stanowiły odrębne organizmy miejskie. Stan powyższy hamował zdecydowanie rozwój gospodarczy obu ośrodków, albowiem jakże wiele



Bielsko. Befama

spraw nie tylko z zakresu działalności przemysłowej, ale i z obszarów życia obywatelskiego zajął się, a przecież musiało być rozpatrywane oddzielnie. Nie wpływało to dodatnio na tę operację, na szybkość i skuteczność postulowanych decyzji. Wreszcie zniesiono ów sztuczny podział i od 1 stycznia 1951 roku nowy organizm miejski przybrał nazwę Bielsko-Biała. Na marginesie warto dodać, że na skutek gęstej zabudowy urbanistycznej dwa te ośrodki dawno już spotkały się z sobą i jedynie w niektórych miejscach niezbyt widoczna rzeka Białka próbowała je rozgraniczać. Od chwili ogłoszenia odpowiedniej uchwały Rady Ministrów prowadzona jest obecnie jedna konsekwentna polityka gospodarcza, której dobrodziejstwa już u samego zarania szczególnie dodatnio mógł odczuć miejscowy rozdrobniony przemysł.

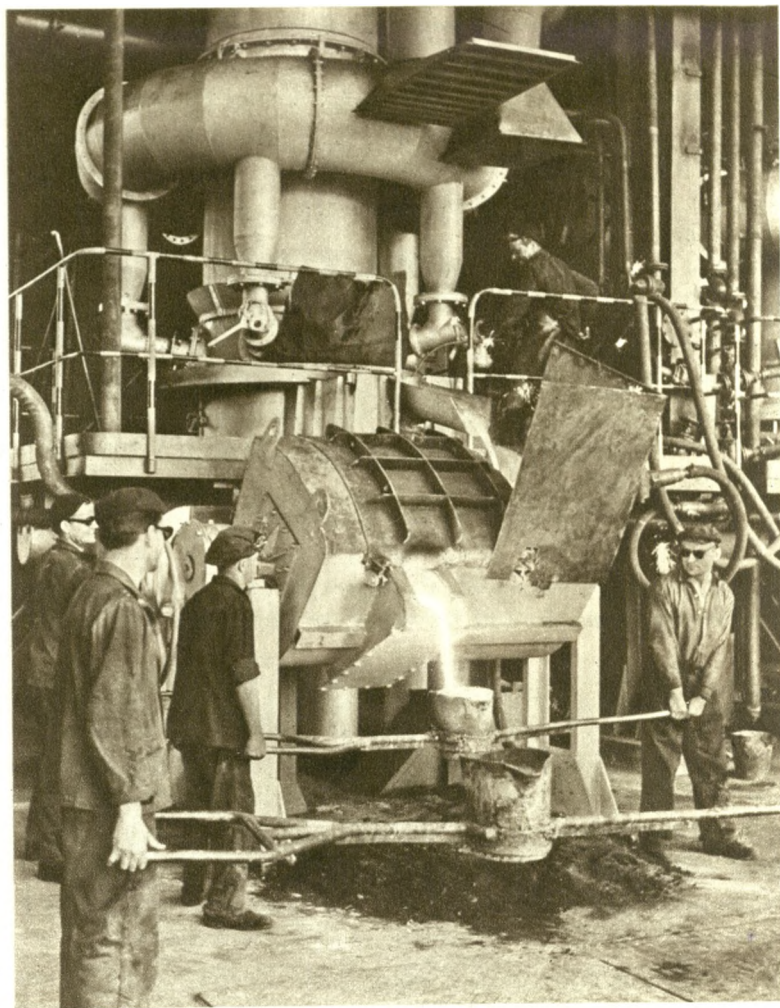
Był to rok przełomowy. Miasto mogło wreszcie uporządkować sprawy wewnętrzne — zarówno obywatelskie (synchronizacja powszechnego nauczania, służby zdrowia, drobnych zakładów wytwórczych), jak i w dziedzinie urządzeń sanitarnych oraz komunikacji, budowy dróg itp.

Przemysł włókienniczy dyktował i dyktuje nadal swoje prawa. Od niego uzależnionych było wiele spraw, między innymi rozwój niektórych innych ośrodków fabrycznych, szczególnie branży metalowej i to z zakresu budowy maszyn. Dziś pracuje w Bielsku-Białej trzynaście tego rodzaju zakładów. Produkują one głównie maszyny oraz części i elementy maszyn dla przemysłu włókienniczego. Czołowym potentatem w tym zakresie jest Bielska Fabryka Maszyn Włókienniczych „Befama”, o której produkcji ubiegają się największe zakłady przędzalnicze w świecie. Nic więc dziwnego, że znajduje się w stałej rozbudowie, mimo iż należy do najlepszych zakładów tego typu w kraju. W chwili obecnej wytwarza „Befama” około 60 typów maszyn włókienniczych, które wędrują do odległych zakątków naszego globu (ubiega się o nie dwadzieścia państw).

W sposób niezwykle dynamiczny rozwinęły się zakłady metalowe oraz przemysł elektrotechniczny. Szczególnie wyróżniają się tu Śląskie Zakłady Wytwórcze Aparatury Elektrycznej „Apena”. Gdy przekracza się próg tej fabryki zauważyć można, że na podwórku powiewają liczne, często bardzo egzotyczne flagi. Reprezentują one państwa, do których „Apena” wysyła swoje wyroby. Odbiorcy znajdują się na pięciu kontynentach. Zakłady te zwiększyły już obecnie 12-krotnie swoją produkcję.

Bielsko-Biała jest największym i najpoważniejszym ośrodkiem przemysłowym na Podbeskidziu. Codziennie wczesnym rankiem pociągi z różnych stron wyrzucają wielotysięczne rzesze robotników na miejscowym dworcu. Gromady ludzkie przybywają tu za chlebem z gór i całego okręgu żywieckiego. Miasto liczy ponad 80 tysięcy mieszkańców. Natomiast w uspołecznionej gospodarce zatrudnionych jest ponad 63 tysiące osób, z czego w przemyśle blisko 44 tysiące. Stosunek liczby zatrudnionych do ogółu mieszkańców wysuwa pod tym względem Bielsko-Białą na pierwsze miejsce w województwie.

Zbliżamy się do końca naszej wędrówki po ośrodkach trudu i wielkiego twórczego wysiłku ludzi pracy największego miasta Podbeskidzia. W procesie usprawniania i modernizowania ośrodków produkcji poważne usługi oddaje Elektrociepłownia (największa powojenna inwestycja na tym terenie), która produkuje około 310 ton pary na godzinę.



Odlewnia w Skoczowie. Uruchomiona w 1968 roku nowoczesna aparatura wytwarzająca żeliwo dla przemysłu motoryzacyjnego

Należy dokonać krótkiego podsumowania. W obrębie miasta rozwija się i pracuje 40 dużych zakładów przemysłowych oraz 23 mniejsze fabryczki. W tej chwili bielski kombinat włókienniczy produkuje 20 milionów metrów tkanin wełnianych i wełnopodobnych.

Powiat tego miasta jest bardzo interesujący i pod względem geograficznym niezwykle urozmaicony. O ile na północnym wschodzie rozciągają się równiny i podmokłe tereny „Żabiegu Kraju”, o tyle na południu ciemnieją masywy górskie. Z jednej strony dymią kominy kopalni i zakładów chemicznych, z drugiej — urzekają malownicze miejscowości

wczasowe wtopione w zielen lasów i pejzaż Beskidów. W obrębie powiatu znajduje się 27 miejscowości, wśród których na czoło wysuwa się miasto Czechowice-Dziedzice, urastające w tym regionie do drugiego, po Bielsku, ośrodka przemysłowego. Tam też znajduje się jedyna kopalnia, która łączy jak gdyby w sposób symboliczny te ziemie z najbardziej charakterystycznym krajobrazem Górnego Śląska. Przemysłowy charakter powiatu bielskiego wyznacza 38 wielkich fabryk i innych ośrodków gospodarczych o znaczeniu centralnym.

W latach 1961—1964 rozbudowano Rafinerię Nafty w Czechowicach-Dziedzicach, która jest dziś jednym z największych i najnowocześniejszych zakładów tego typu w kraju. Nic dziwnego, inwestycja ta pochłonęła 700 milionów złotych. Rafineria stworzyła równocześnie możliwości do powstawania nowych obiektów przemysłowych. Dlatego wkrótce w tej samej miejscowości wybudowano kosztem około 60 milionów złotych nowoczesny, spółdzielczy zakład chemiczny „Terpen”, który już jedną czwartą swoich wyrobów produkuje na eksport.

A tuż obok rozciągają się tereny wiekowej „Silesii”. Ta kopalnia węgla kamiennego jest na tym terenie niewątpliwie obiektem egzotycznym. Poza tym — ileż to godzin historii przechyliło się już nad wieżami wyciągowymi, ileż trudu, cierpień i potu wsiąkło w tę umęczoną ziemię. Przeszło 100 lat temu, w 1860 roku, prowadzono już na tych ziemiach — i nie bez skutków — poszukiwania czarnego złota Śląska. Potem, z każdym upływającym rokiem, wiązano nadzieję z coraz to nowymi miejscowościami. Po Czechowicach i Dziedzicach wymieniano — Ligotę, Zabrze, Mazańcowice, Komorowice, Międzyrzecze, Kaniów, Bestwinę ... Wreszcie zawiązała się spółka akcyjna i przystąpiono w 1902 roku do głębiania pierwszego szybu, którego przekrój wynosił zaledwie 4,2 metra. Formacje węglowe wystąpiły na głębokości 180 metrów a po dalszych 80 otwały się przed geologami autentyczne pola wydobywcze. Po trzech latach powstał drugi szyb o nieco większym przekroju i kopalnia rozpoczęła normalną pracę. Początkowo wszystko wyglądało dosyć prymitywnie — od szybu, w którego klatce wydobywczej mieścił się zaledwie jeden wózek o pojemności 650 kg, poprzez gazowe i prymitywne przodki górnicze, nieuporządkowaną powierzchnię, aż do samego końcowego wyniku produkcyjnego, albowiem w 1906 roku wydobyto zaledwie 15 tysięcy ton węgla. W ciągu następnych lat pogłębiono szyb drugi; zaczęto łączyć także poziomy i labirynt chodników. Powoli podnosiło się wydobywanie: w 1908 roku zanotowano 76 tysięcy ton, w 1909 — 99 tysięcy ton, a w 1913 — 175 tysięcy ton.

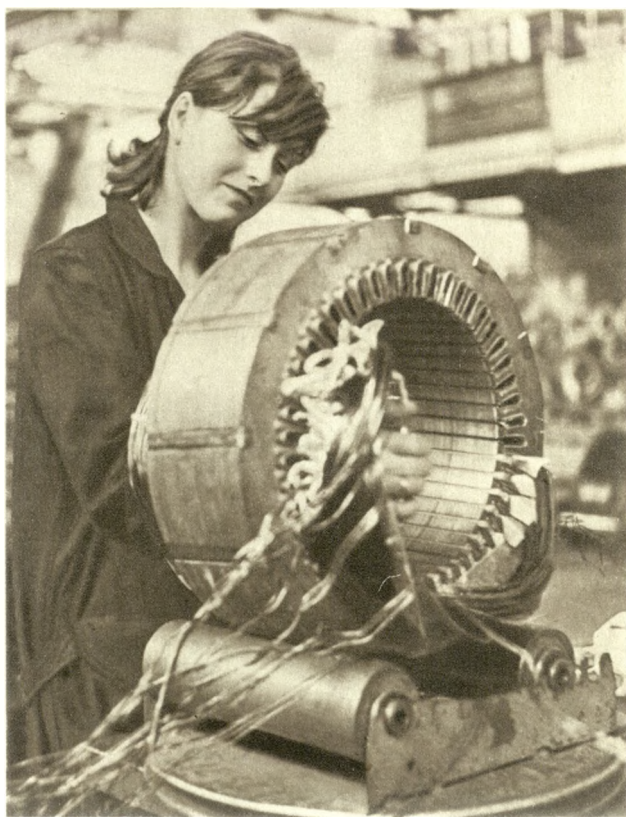
Kopalnia miała różnych panów i właścicieli — przeważnie obcych. Jej życiem produkcyjnym wstrząsały kryzysy i strajki. Górnicy skupiali się wokół organizacji lewicowych, komunistycznych. Stanowili także poważną siłę patriotyczną. Dokumentowali krwią swoje przywiązanie do języka ojczystego, do Polski i to w różnych okresach historycznych. Także w latach okupacji Polska Partia Robotnicza miała wśród tej rzeszy górniczej szerokie wpływy.

Pierwsze chwile w wyzwolonej ojczyźnie były bardzo ciężkie. Jeden z publicystów opisuje ówczesną sytuację „Silesii” w sposób następujący: „Okazało się, że wskutek

rabunkowej gospodarki okupanta wszystkie najlepsze ściany na dole są niemal doszczętnie wyeksploatowane, prawie wszystkie urządzenia kopalniane począwszy od lokomotyw dołowych, szybów, maszyn wyciągowych, kompresorów, sortowni i płuczki, wag, przesuwnic, znajdują się w opłakanym stanie i wymagają natychmiastowej wymiany, bądź też generalnego remontu.”

Te rozliczne trudności spowodowały, że w 1945 roku wydobycie wyniosło zaledwie 111 tysięcy ton, ale już w następnym roku wzrosło do 263 tysięcy ton. W Polsce Ludowej „Silesia” przeżyła swoją drugą młodość, otworzono nowe pola wydobywcze, zupełnie zmodernizowano kopalnię i co najważniejsze — zadbano o bezpieczeństwo pracy i odgazowano cały podziemny labirynt. Dzisiaj ta stara kopalnia, której kapitaliści nie wróżyli długiego żywota, dobywa rocznie ponad 400 tysięcy ton węgla.

W ciągłym rozwoju — oprócz „Silesii” — znajdują się dalsze następujące zakłady produkcyjne w powiecie: Rafineria Nafty, Walcownia Metali, Zjednoczone Zakłady Rowerowe, Fabryka Sprzętu Elektrycznego „Kontakt”, Śląska Fabryka Kabli w Czechowicach-Dziedzicach, Fabryka Pił i Narzędzi w Wapienicy, Zakłady Przemysłu Włókienniczego im. S. Bularza i Zakłady Przemysłu Włókienniczego im. M. Fornalskiej w Mikuszowicach Krakowskich.



*W cieszyńskiej
Celmie*



Kolejka linowa na Szyndzielnię



Samotna podróż. Szczyrk jest obok Zakopanego największym w Polsce ośrodkiem sportów zimowych

Natomiast wielki przemysł w okolicy piastowskiego Cieszyna leży po drugiej stronie granicznej Olzy. Tam w okolicach Trzyńca i Karwiny jest węgiel i stal, tam znajduje się właściwe zagłębie przemysłowe Ziemi Cieszyńskiej. Po stronie polskiej — na pierwszy rzut oka krajobraz wydaje się sielankowy. Trzeba jednak wnikać głębiej w strukturę i istotę życia tego powiatu, by przekonać się, że tak nie jest. To prawda, że dominuje tutaj rolnictwo, ale już wkrótce decydować będzie przemysł. Stworzono na tych terenach w pierwszym dwudziestoleciu Polski Ludowej realne przesłanki dla rozwoju różnych gałęzi gospodarki narodowej i ludzie tego regionu szansy tej nie zaprzepaścili.

A w 1945 roku trzeba było zaczynać od zera, albowiem ośrodki pracy zniszczone zostały nie tyle działaniami wojennymi, ile rabunkową gospodarką okupanta. Największym zakładem w Cieszynie jest słynna „Celma”, która obecnie zatrudnia 2,5 tysiąca ludzi oraz produkuje ponad 10 tysięcy odmian różnych wyrobów, lecz głównie silniki i prądnice. Posłuchajmy relacji o tym, jak zakład wyglądał w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Mówi J. Cholewa — jeden z tych, którzy odbudowywali swoją fabrykę: „Pamiętam dokładnie, a było to 4 lub 5 maja 1945 roku. Od wybuchu wysadzonego

mostu na Olzie wszystkie okna w naszym zakładzie wyleciały z ram, dach uległ całkowitemu zniszczeniu. Po pustych, zrabowanych halach snuli się pierwsi — przerażeni ogromem zniszczeń — ludzie. Ktoś krzyknął: „Chłopcy do roboty, nie stać i nie biadolić”. Pozatykaliśmy najpierw dziury w dachach, aby padający deszcz nie zniszczył maszyn, których nie zdążyli okupanci wywieźć. O tym, żeby produkcja szła, nie było mowy. Najpierw porządkowaliśmy zakład, później ze starych zapasów miedzi zaczęliśmy wyrabiać brakujące części do frezarek, obrabiarek i innych maszyn. Wiele spośród 60 wywiezionych maszyn odnaleziono później w Czechosłowacji, skąd wróciły do nas. Pracowaliśmy, choć nikt nam za to nie płacił. Trochę mąki, oleju lub cukru, zachowanych gdzieś w magazynach, wystarczyło jako zapłata. Zresztą, kto tam myślał o tym. Przyspieszaliśmy termin uruchomienia zakładu wiedząc o tym, że tu znajdziemy pracę i chleb.”

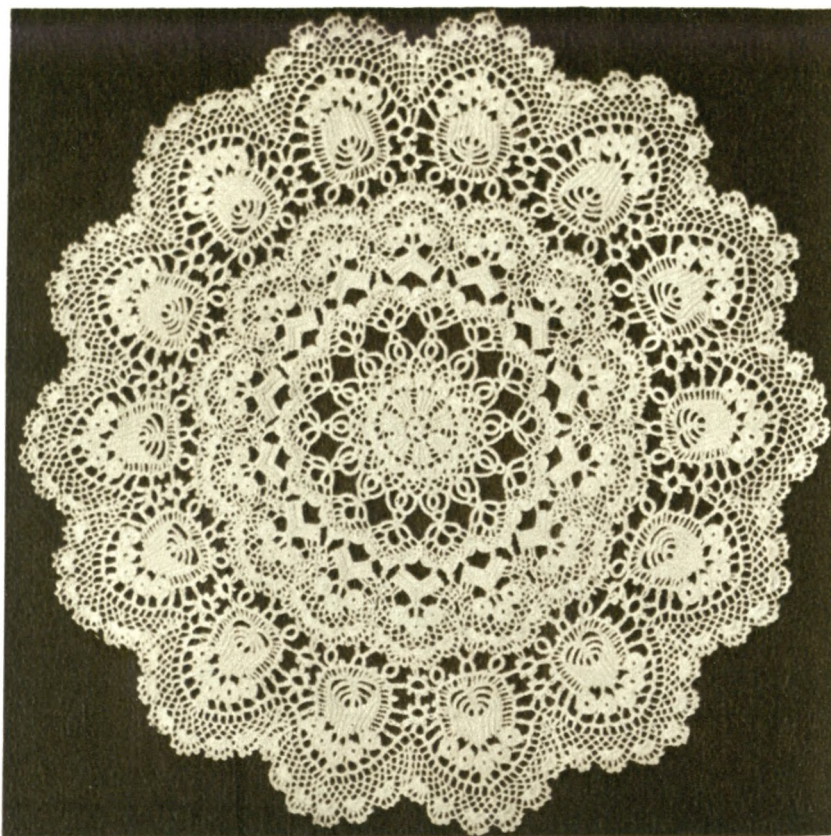
A oto inne wyznanie — tym razem z powiatu. Mówią robotnicy cementowni w Golezowie: „Cementownia w Golezowie, jak większość zakładów naszego powiatu, była w roku 1945 zdewastowana. Uciekający okupant wywiózł w głąb Niemiec cenne urządzenia produkcyjne. Szczęsiuset robotników, którzy już 4 maja zgłosili się do odbudowy zniszczonego zakładu zastało puste hale produkcyjne, nieczynne turbiny, kolejki wyciągowe i uszkodzone tory kolejowe. Pierwsze prace ograniczyły się do porządkowania terenu zakładu, odszukania zrabowanych części do turbin. Wielu pracowników zgłosiło

Ustroń. Motel w Jaszowcu





Ustroń. Nowy wielki ośrodek wypoczynkowy w Jaszowcu



Koronka z Koniakowa

się ochotniczo do prac przy układaniu torów kolejowych na linii: Skoczów — Golezów — Cieszyn. Dzięki ofiarnej pracy załogi już w styczniu 1946 roku cementownia mogła rozpocząć produkcję.”

Powróćmy jeszcze do Fabryki Maszyn Elektrycznych. „Celma” zatrudnia obecnie jedną dziesiątą mieszkańców Cieszyna. O ile w całym okresie przedwojennym zakład ten wyprodukował 46 tysięcy silników, to w 1965 roku fabryka miała ich już na swoim koncie pół miliona. Z różnych względów jest to ciekawy zakład produkcyjny. Jedyne w Cieszynie, w którym zlikwidowano kontrolę osobistą przy bramach i w którym istnieją kioski bez sprzedawców. Jak powiadają władze: troska o załogę i zaufanie do załogi spłoty się tu w jedną nierozzerwalną całość. — W roku 1970 „Celma” ma wyeksportować towary za 18 milionów złotych dewizowych.

Niemal we wszystkich 48 przedsiębiorstwach pracujących w powiecie cieszyńskim prowadzone są na szeroką skalę roboty inwestycyjne. Zakłady wznoszą nowe hale produkcyjne, modernizują całe wydziały, rozbudowują i unowocześniają obiekty socjalno-

-bytowe. Z większych przedsiębiorstw powstały po wojnie — Cieszyńska Fabryka Narzędzi „Olza”, Cieszyńska Wytwórnia Sprzętu Gospodarczego; poważnie rozbudowano Wytwórnię Urządzeń Chłodniczych.

W powiecie rozwija produkcję 17 wielkich fabryk, a wśród nich wymienić należy zmodernizowaną cukrownię w Chybiu, nowy zakład farb i lakierów w Markłowicach, rozbudowaną cementownię w Goleszowie oraz Odlewnię Żeliwa i Zakłady Mechaniczne w Skoczowie, które otrzymały nowoczesną halę roboczą do produkcji wyrobu odlewów ciśnieniowych.

* * *

W czołówce krajowej znajduje się cieszyńskie rolnictwo. Zawsze było głośno o znakomitych hodowcach i sadownikach tego regionu. Nic więc dziwnego, że w obecnych warunkach, kiedy państwo jakże wydatnie opiekuje się rolnictwem, kiedy nauka i wiedza wkraczają szerokim frontem do chłopskich zagrod — gospodarstwa cieszyńskiej wsi mogą służyć za przykład.

Jest to również ziemia licznych i ofiarnych działaczy społecznych. Cieszyńskie wydało wielu wybitnych budzicieli ducha narodowego. Żywe są więc w tym regionie tradycje czytelnicze, a amatorski ruch kulturalny nawiązuje do dawnych zwyczajów i obyczajów ukazując nie tylko piękno góralskiego i nadolziańskiego folkloru, ale równocześnie nawiązuje do przemian, jakie zaszły w odrodzonej ojczyźnie. Wspaniałą wizytówką tego ruchu jest tradycyjny już obecnie i niezwykle atrakcyjny Tydzień Kultury Beskidzkiej.

Jeszcze tutaj można spotkać autentycznych twórców ludowych, którzy w drewnie lipowym utrwalają postacie utrudzonych gazdoszków, którzy budują instrumenty ludowe i komponują najpiękniejsze i najdelikatniejsze koronki.

„Dużo zmieniło się po drugiej wojnie światowej na Ziemi Cieszyńskiej — jak pisał zasłużony Gustaw Morcinek — zmieni się jeszcze więcej w najbliższych latach, i to, o czym marzyli zuchwale działacze społeczni i narodowi od pierwszych dni Wiosny Ludów, staje się rzeczywistością w Polsce Ludowej.”

Bolesław Lubosz



Objaśnienia do tekstu

- ¹ gęsie pępki — stokrotki
- ² przენaremny — ogromny
- ³ plosó — głębía, głębina w rzece lub potoku
- ⁴ hajtman — hetman
- ⁵ jurgieltnik — najemny żołnierz
- ⁶ soldner — żołdak, żołnierz najemny
- ⁷ żurzliwy — szybko popadający w gniew
- ⁸ trówła — skrzynia drewniana, w której dawniej przechowywano na wsi odzież
- ⁹ diurnista — pisarczyk pracujący za dzienne wynagrodzenie
- ¹⁰ kobiela — biedota
- ¹¹ „barbora” — ława służąca do wymierzania kary chłosty chłopom pańszczyźnianym
- ¹² „cielętnik” — austriacki tornister wojskowy z cielej skóry z sierścią na wierzch
- ¹³ erbowizna — dziedzictwo
- ¹⁴ skryba — pisarz, pisarczyk
- ¹⁵ otrok — chłopiec, młodzieniec, tu niewolnik
- ¹⁶ przycieś — podwalina ściany drewnianej
- ¹⁷ wiergulowie — różdżkarze
- ¹⁸ bez ochyby — bez wątpienia
- ¹⁹ „cesarska cesta” — szosa
- ²⁰ pierścćzanie — mieszkańcy Pierścća, wsi w Cieszyńskim
- ²¹ farmazon — bufon
- ²² *pecunia non olet* — pieniądż nie cuchnie
- ²³ utopiec — demon wodny
- ²⁴ „niskie goje” — zarośła nadrzeczne
- ²⁵ łęg — łąka nadrzeczna
- ²⁶ naprany — podpity
- ²⁷ rybiorz — rybak
- ²⁸ barzyna — bagnisko
- ²⁹ ocas — ogon
- ³⁰ portasz — żandarm pograniczny
- ³¹ przytulia — przytulia łąkowa (*Galium mollugo*), zióło z rodziny marzanowatych
- ³² chaśnik — kochanek, zalotnik

- ³³ czach — szyb
³⁴ gryzok — gęba, pysk
³⁵ dudławy — wypróchniały
³⁶ jaroszek — diablik
³⁷ Uhry — Węgry
³⁸ ponukiwać — namawiać, nakłaniać
³⁹ Meluzyna — w podaniach kobieta z ogonem ryby
⁴⁰ przyplihciec się — przyłączyć się do towarzystwa nie prozonym
⁴¹ docierny — dokuczliwy
⁴² trowłowy przyskrzynek — szafkowy schowek w skrzyni drewnianej
⁴³ siedlak — kmieć, bogaty chłop
⁴⁴ gowiedź — bydło
⁴⁵ kobyliniec — koński nawóz
⁴⁶ „nie miał wszystkich w domu” — brak mu było piątej kleпки
⁴⁷ czutora — czarownica, jędza
⁴⁸ „do wydaju” — do zamążpójścia
⁴⁹ młoducha — panna młoda
⁵⁰ koszar — ogrodzenie, w którym zamyka się owce na noc
⁵¹ pacholek — młodzieniec
⁵² karwacz — różga upleciona z prętów wiklinowych
⁵³ goiczek — mała choinka ustrojona kolorowymi wstążkami, obnoszona po wsi od domu do domu w obrzędzie wiosennym
⁵⁴ zolyty — zaloty
⁵⁵ smowy — zmówiny, zaręczyny
⁵⁶ poczęsna — poczęstunek
⁵⁷ żenich — pan młody
⁵⁸ jednać — umawiać się
⁵⁹ urzekać — rzucać uroki

Opracowanie graficzne
Tadeusz Grabowski

Redaktor książki
Czesław Slezak

Redaktor techniczny
Stefania Lejowa

Korektor
Elżbieta Serwinowa

Autorzy fotografii

*A. Bogusz, N. Boronowski, St. Deptuszewski, St. Gadomski, B. Gajdzik,
F. Holeksa, J. Michalik, K. Lojza, M. Seko, W. Waurzynkiewicz,
Z. Wieczorek, J. Zahradnik oraz archiwum Wydawnictwa*

Autorzy zdjęć kolorowych

*B. Krasicki (na obwolucie)
J. Wróbel (w tekście)*

Wydawnictwo „Śląsk” Katowice 1968

Wydanie II poszerzone. Nakł. 8145 egz. Ark. wyd. 14. Ark. druk. 20,8
Format 192×243 mm. Papier rotograviurowy kl. III 84×54/54 110 g.
Oddano do składania 12. 8. 1967. Podpisano do druku 24. 7. 1968.

Druk ukończono we wrześniu

Symbol 31337/L Zam. nr 1788/67-S-3/818 Cena zł 50,—

ZAKŁADY GRAFICZNE im. M. KASPRZAKA W POZNANIU

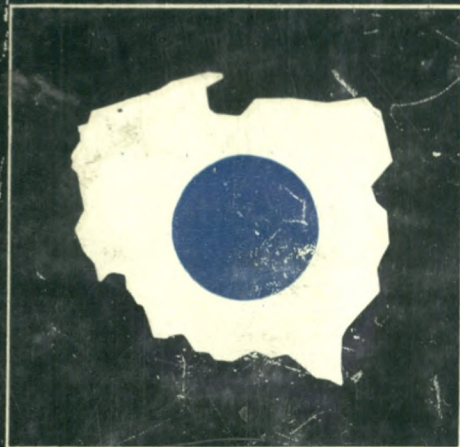




Książki z cyklu

POLSKA · ZIEMIA · LUDZIE
pokazywać mają to nade wszystko, co w przeszłości i teraźniejszości określonej ziemi czy regionu było najpiękniejsze, najciekawsze i najbardziej dla Polski — jako tej wielkiej i wszystko ogarniającej całości — przydatne i potrzebne. Wierzmy, że rolę taką wypełniło wiele ziem i regionów polskich, niekiedy niewiele już dzisiaj znanych, zintegrowanych w wielkich obszarach administracyjnych czy ekonomicznych. Dlatego nie chcemy, żeby seria Polska · Ziemia · Ludzie opisywała tylko piękno i znaczenie wielkich administracyjnych jednostek, ale przypominała również te nawet niewielkie obszary, które posiadają własną i nader ciekawą przeszłość i które w równym co w całej Polsce mozole i z równą ambicją starają się odbudować świetność przeszłości i zwielokrotnić ją współczesnymi dokonaniami.

100 A / L 1



100 A / L 1